T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 4—5 KWIECIEŃ — MAJ 1937 Rok XII

OCALMY MŁODZIEŻ.

Przemówienie prezesa Towarzystwa „Trzeźwość" na uroczystej inauguracji Kursu przeciwalkoholowego pod hasłem „Ocalmy młodzież" w sali Kopernika na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie 5. IV 1937 r.

Zapewne nie ma między nami obywatela, dla którego sprawą obojętną byłoby dobro naszej Rzeczypospolitej. Wszak tyle ofiar bezcennych złożyliśmy chętnie dla odzyskania straconej niepodległości i zjednoczenia rozebranych ziem Polski, że tem bardziej gotowiśmy dziś wszyscy bronić umiłowanej Ojczyzny, gdyby jej miało z zewnątrz zagrażać jakie nowe niebezpieczeństwo. Toteż każde wezwanie Naczelnego Wodza przyjmowane u nas bywa z patrjotycznem zrozumieniem. Natomiast jeżeli idzie o niebezpieczeństwo nie z zewnątrz — to nie ma jeszcze w społeczeństwie polskim dostatecznego zrozumienia. Należy sobie jednak zadać poważne pytanie, czy w tej chwili istnieje jakieś rzeczywiste, nie urojone lub wmówione tylko niebezpieczeństwo wewnątrz państwa, niebezpieczeństwo zagrażające jego dalszemu bytowi suwerennemu, niebezpieczeństwo mogące jutro zachwiać jego stanowiskiem mocarstwowem, niebezpieczeństwo, któreby zagrażało przyszłości narodu polskiego.

A cóż to jest jutro państwa? Któż to jest przyszłość narodu? Niewątpliwie zgodzimy się wszyscy na jedną odpowiedź, że to przyszłe pokolenia, a więc młodzież. Od lat stukilkudziesięciu powtarzali narodowi naszemu wielcy nauczyciele, że taką będzie Polska, jaką sobie wychowamy młodzież. A mówili nam wieszcze, co to duch narodu zatruty. I przypominali wychowawcy społeczeństwa starożytną maksymę, że duch zdrowy jeno w zdrowym ciele. Tymczasem my, niestety, jesteśmy świadkami, że właśnie ta młodzież, której mamy powierzyć przyszłość państwa — nosi już ducha zatrutego i schorzałe ciało. Z lękiem stajemy tedy przed obliczem jutra Polski — albowiem ono tylko takie będzie, jaką dziś jest nasza młodzież. Oto wewnętrzne niebezpieczeństwo, z którego grozy naród w swojej masie nie zdaje sobie sprawy, ledwie ją przeczuwa, a państwo dopiero ją dostrzega.

A tymczasem niebezpieczeństwo jest już groźne, ponieważ lekce-

ważąc je, nie przeszkadzając mu, a nawet dając warunki sprzyjające jego bezkarnemu rozwojowi, sami pozwoliliśmy hydrze zła uróść i wokół szerzyć spustoszenie. To jest owo powszechne zepsucie wśród młodzieży, to schamienie, zdziczenie młodego pokolenia w środowisku bądź co bądź kulturalnem, to jest ta masowa przestępczość nieletnich, której statystyka wykazuje wzrost o 70%, to jest ta zatrata u młodych wszelkiego autorytetu, to jest ten zanik wszelkich podstaw moralnych i wraz z nim i zagubienie ideału na bezdrożach materjalizmu. A przecież tylko, o miedzę od takich manowców zaczyna się na trzęsawisku bolszewizmu chaos anarchji. O krok dalej czyha otchłań bezbożnictwa i w jej odmętach ostateczna zatrata człowieczeństwa. Przerażenie ogarnia na myśl, że to mogłoby dotyczyć naszej młodzieży, która ma tworzyć przyszłość Polski. Otóż czy my mamy prawo pozwolić tej zarazie szerzyć się dalej i zagrażać Rzeczypospolitej gangreną wewnętrzną, która dotrze do serca, porazi mózg, zabije ducha — nawet może groźniej aniżeli najazd z zewnątrz wroga, przed którym z taką jednomyślnością i z taką energją organizujemy obronę narodową. Czy poczucie patrjotyzmu nie nakazuje nam obowiązku obywatelskiego porwania się do obrony właśnie przed tym wrogiem wewnętrznym, który podgryzając najzdrowsze korzenie przyszłości narodu, poważnie osłabia siłę obronności państwa, a ta przecież może mieć wartość istotną jedynie wówczas, gdy szeroko wspiera się mocno na fundamentach natury moralnej.

Przypomnijmy sobie, że w rozmowie z polskimi biskupami marszałek Foch przestrzegał właśnie, by za wszelką cenę od zepsucia ochronić młodzież. Powiedzcie Polsce — wołał — że dla niej to sprawa „być albo nie być“: bo jeżeli skruszy potęgę zła moralnego, pójdzie w jasne jutro dziejowego posłannictwa mocarna siłą wewnętrzną; jeżeli zaś ono jak rdza zeżre hartowną stal duszy narodowej, to Polska nie zdoła oprzeć się nowemu najazdowi, pod którego kopytami przepadnie przedmurze chrześcijaństwa. Taką nam przyjacielską radę dawał wielki wódz przed laty.

A dzisiaj nad niebywałą demoralizacją młodzieży w Polsce biada się w Sejmie i w prasie, na konferencjach kuratorów szkolnych i na wiecach rodzicielskich. Dzisiaj na trybunie parlamentarnej staje nasz minister sprawiedliwości i żali się, że w państwie przestępczość powszechna wzrasta w sposób przerażający. Przytacza czyfry budzące zaiste zgrozę. W ciągu ostatnich lat dziewięciu sądy w Polsce ukarały siedem miljonów przestępców, a więc po 700 tysięcy rocznie. Drugie tyle nie dostało się do kryminału tylko dlatego, że nie można im było winy niewątpliwej udowodnić. Ale znacznie wyższą cyfrę stanowią pono przestępstwa, które celowo, rozmyślnie ukryto przed sądem sprawiedliwości. A gdzież te jeszcze przestępstwa, o których sądy nie wiedzą, bo je spełniono bez świadków. Więc chyba miał powód dostateczy ten najwyższy w państwie strażnik prawa biadać nad przerażającą w Polsce przestępczością. Jego ówczesna mowa dała sposobność do rozważań wśród społeczeństwa nad źródłem zła. Zapewne nie jest jedno. Oczywiście są różnorodne, ale przedziwnie od siebie wzajemnie zależne, zawile między sobą poplątane. Mówiąc o nich, przemilczano jedno z najważniejszych i to takie właśnie, z którego rodzą się inne.

Chcąc je tu wskazać, pozwolę sobie przytoczyć dwa charaktery-

styczne momenty z czasów najświeższych, a z życia dwóch wielkich państw na przeciwnych krańcach świata i to państw i społeczeństw tak biegunowo odmiennych, jak Rosja i Stany amerykańskie. Pamiętamy wszyscy niedawne drwiny prasy europejskiej z prohibicji, drwiny, które tak kompromitowały Stany Zjednoczone. Prohibicję wreszcie wypadło znieść, mimo, że już wchodziła w skład konstytucji. Nie pozwalała ona ani na wyrób, ani na handel na terenie państwa jakichkolwiek napojów alkoholowych. Przemytnicy jednak z zewnątrz umieli sobie z tym zakazem poradzić i robili złote interesy na słabości natury ludzkiej.

Ale w pierwszym okresie istnienia prohibicji dało się zaobserwować rzeczy wiele nam mówiące. Oto nauczycielstwo stwierdziło, że po szkołach, do których masowo przychodziły dzieci źle obute i odziane, od zimna nie okryte, wogóle zaniedbane stale i wygłodniałe — naraz wszystko zmieniło się do nie poznaki. To ojciec w dniu wypłaty przyniósłszy do domu zarobek, spostrzegał, w jakim stanie nędznym są jego dzieci i kupował dla nich odzież, obuwie, książki, pomoce naukowe, lepiej je odżywiał, bo zarobku nie stracił w szynku, na którego miejsce dosłownie powstały sklepy z buciczkami dziecinnymi, z przyborami szkolnymi i t. p. Wszystko to spisało nauczycielstwo tamtejsze w pamiętnikach. A sądownicy zanotowali, że po wielkich miastach amerykańskich w pierwszym roku prohibicji na gmachach największych więzień dla tysięcy kryminalistów — wywieszono białe chorągwie na znak, że ani jedna cela nie ma lokatora. To dla nas ma wymowę nadzwyczajną.

A teraz z poza Atlantyku przenieśmy się na wschód. W Rosji przed wojną świetnie się rozwijał państwowy monopol spirytusowy, dając skarbowi takie sumy, że mawiało się naówczas za granicą, iż w caracie operuje się budżetem pijanym. I naraz w chwili wybuchu wojny europejskiej rząd petersburski zwinął monopol, utworzył ścisłą prohibicję, zrozumiawszy, że skłonny do pijaństwa chłop rosyjski mając na każdym kroku okazję do zdobycia sobie wódki — napewne państwa nie obroni. I rzecz szczególna, że właśnie w tej Rosji, gdzie tradycyjna łapówka czy wódczany poczęstunek pozwalały zawsze obejść każdą ustawę, — w tym jednym wypadku zakaz prohibicyjny przeprowadzono od razu z taką surowością, że istotnie wódki nie można tam było dostać w pierwszych miesiącach wojny roku czternastego. I w tym samym czasie po miastach w głębi Rosji pozamykano wielkie więzienia, gdyż straży licznej utrzymywać nie było dosłownie dla kogo. A sądownicy oświadczyli, że skoro wytrącono ludowi z ręki kieliszek, wyschło też źródło przestępczości powszechnej. Mieli słuszność.

Oto jeden z poważnych sędziów polskich niedawno wyznał publicznie, że zawsze wierzył, iż 90% procesów karnych wywodzi się wprost, lub pośrednio z kieliszka, ale wreszcie doszedł do przekonania, że i ta reszta ma właściwe źródło w alkoholiźmie dziedzicznym. Właśnie to jego zdanie, wypowiedziane po długoletniem doświadczeniu, tłomaczy nam również masową przestępczość nieletnich. Zajęto się tą sprawą w Polsce ostatnimi czasy. Już mówią o tem okólniki premjera Składkowskiego, mówi rozkaz generała Zamorskiego do podległej mu w państwie policji. Oddanie pod jej opiekę ucznia gimnazjalnego przeraziło pedagogów, którzy życzliwie patrzą na policję kobiecą, ratującą dziecko ulicy, odprowadzającą je do izb zatrzymań, stanowiących świetlicę, — ale wo-

leliby oczywiście młodzieżą szkolną poza szkołą zająć się sami z pomocą domu rodzinnego.

Ten jednak rozkaz naczelnego komendanta policji państwowej miał następstwa pożądane: poruszył wychowawców i rodziców, ukazawszy im niebezpieczeństwo, w jakiem znalazła się już nasza młodzież. Dla ludzi nie zdających sobie sprawy z rzeczywistego stanu rzeczy prawdziwą rewelacją stały się publiczne wystąpienia prof. Skoczylasa, naczelnika Gałeckiego i po nich całego szeregu publicystów w prasie po kraju, albo jak na naszym terenie, świetne odczyty pedagogiczne zorganizowane przez Towarzystwo Nauczycieli szkół średnich i wyższych wspólnie z Kołem Księży Prefektów.

Wprawdzie wszędzie wspominano, że z tem zdziczeniem naszej młodzieży łączy się i pijaństwo, ale większej uwagi nie poświęcono stosunkowi, jaki zachodzi między wzrostem przestępczości nieletnich i wzmagającą się demoralizacją wśród młodzieży z jednej strony, a z drugiej masowym alkoholizmem dorosłego społeczeństwa i szerzeniem się wszelkiego rodzaju narkomanji między uczącą się młodzieżą, poczynając od dzieci małych. Tem zagadnieniem nowem świat pedagogiczny w Polsce i zwłaszcza ogromna rzesza rodziców — niestety jeszcze mało się interesuje i nie poznaje wyników w tej dziedzinie najnowszych badań naukowych, które dopiero tłomaczą i wyjaśniają sto różnych objawów niepokojących współczesnego wychowawcę A właśnie te najświeższe wyniki badań naukowych, oraz oparte na nich doświadczenia oddanych owej sprawie społeczników — musi dziś niezbędnie poznać nasza inteligencja na to, by ocalić młodzież od zmarnienia, zagrażającego przyszłości narodu i państwa.

Zaszła więc potrzeba zorganizowania w tym celu kursu, który mam zaszczyt niniejszym zainaugurować tem oto słowem wstępnem. Otwieram go z urzędu jako prezes Zarządu Głównego w Warszawie Polskiego Towarzystwa „Trzeźwość“, które na terenie całego państwa prowadzi społeczną walkę z alkoholizmem, korzystając w swojej działalności ze stałej pomocy Ministerjum Opieki Społecznej, a wszczególności jego departamentu służby zdrowia. Corocznie w stolicy urządzamy w Państwowej Szkole Higjeny jednotygodniowy kurs dla wyszkolenia działaczy przeciwalkoholowych.

Zjeżdża się na ten kurs po kilkaset osób delegowanych z wszystkich województw. Lokalne kursy urządzamy również po większych miastach, między innymi w Krakowie co rok. Tym razem z łaskawie udzielonej mi przez Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego sali Kopernika skorzystałem inaczej niż w poprzednich latach.

Zamiast kursu poświęconego wyłącznie alkoholizmowi, złożyłem cykl 44 wykładów, który w ciągu 14 wieczorów, poruszając całokształt zagadnienia demoralizacji współczesnej młodzieży, ma przez uświadomienie groźnego niebezpieczeństwa, stać się przestrogą dla nauczycielstwa i rodziców. Niestety brak w tym programie kilku ważnych tematów projektowanych, gdyż w ostatniej chwili niektórzy z prelegentów poważnie zachorowali, inni zgoła niespodziewanie musieli gdzieindziej wyjechać, i trzeba było ich wykłady zastąpić innymi. Ale pomijając te z konieczności powstałe luki, nasi szanowni słuchacze, zdaje mi się znaj-

dą tu różnorakie oświetlenie aktualnego zagadnienia z rozmaitego stanowiska i przez pierwszorzędnych znawców przedmiotu.

Jeżeli w ubiegłe święta kupcy narzekali, że w handlu ruch był mniejszy skutkiem warunków materjalnych, a jednocześnie pobierający prowizję funkcjonarjusze monopolu spirytusowego zacierali ręce z zadowolenia — wszak w samej stolicy zakupiono na tę Wielkanoc 40 tysięcy litrów wódki za dwa miljony złotych, gdy na tradycyjne święcone przecież najmniej odchodzi monopolówki, a więcej butelek wykwintniejszych i droższych napojów...

Jeżeli teraz w ciężkich czasach kryzysowego bezrobocia przepija Polska corocznie przeszło miljard złotych, a więc taką sumę, jaką świeżo przeznaczyła na dozbrojenie swej armji, czyli na obronę państwa przed wrogiem zewnętrznym... Jeżeli corocznie poprzez mózgi 30 miljonów mieszkańców Rzeczypospolitej dosłownie przepływa istne morze zabójczej trucizny, bo najmniej trzy miljony hektolitrów różnego alkoholu, który, jak stwierdziły badania naukowe, najprędzej i w największym procencie z wypitej wódki dostaje się z obiegiem krwi do mózgu ludzkiego... Jeżeli ankiety i statystyki przeprowadzone po szkołach wykazują co rok większe postępy alkoholizmu uczniów gimnazjów, zakładów zawodowych i szkół powszechnych, oraz z każdym rokiem gorsze tego następstwa... To my, którzyśmy to zagadnienie gruntownie poznali i w pracy społecznej mamy z niem codziennie do czynienia, uważać sobie musimy za obowiązek obywatelski ułatwić społeczeństwu zaznajomienie się należyte z niebezpieczeństwem, by poznawszy wreszcie jego istotę i zrozumiawszy jego grozę — samo zawołało: *Ocalmy młodzież!*

I jeszcze jest jeden powód, dla którego pragnęlibyśmy niebezpieczeństwem narkomanji bliżej zainteresować jak najszersze koła naszej inteligencji. Mianowicie w tym roku między 12-ym a 17-ym września odbędzie się w Warszawie, pod wysokim protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, wielki zjazd działaczy z różnych państw świata pracujących nad ocaleniem od zmarnienia przyszłych pokoleń. To dwudziesty pierwszy z rzędu Międzynarodowy Kongres Walki z Alkoholizmem.

W czasie poprzedniego światowego kongresu, który odbywał się w Londynie, Rząd nasz zaprosił następny Kongres Przeciwalkoholowy do Polski. Zaproszenie to, jako upoważniony delegat Rządu Polskiego złożył wówczas w Londynie dyrektor państwowego zakładu leczniczego dla alkoholików i narkomanów w Świacku, dr. Zajączkowski, który na tym kursie obiecał wygłosić interesującą prelekcję. ale niestety w tej chwili leży ciężko chory. Otóż, ten światowy Kongres w Warszawie ma m. i. obcym badaczom i działaczom dać poznać, co się robi w Polsce i w jakim stopniu interesuje się tem ważnem zagadnieniem inteligencja, a co dla powstrzymania pochodu następstw klęski społecznej robi ona w szerokich masach ludowych, zwłaszcza w zakresie ocalania młodzieży.

Przygotowania do Kongresu warszawskiego są w pełnym toku. Komitetowi organizacyjnemu przewodniczy, doświadczony na terenie międzynarodowym, minister Chodźko. Generalnym sekretarzem, jak wogóle duszą całego naszego ruchu przeciwalkoholowego od wielu lat jest referent spraw walki z alkoholizmem w Departamencie Służby Zdrowia,

p red. Jan Szymański, który na zamknięcie kursu krakowskiego, jak zazwyczaj, przybędzie jako delegat Ministerjum Opieki Społecznej. Na terenie światowym przygotowania do Kongresu prowadzi dr. Hercod w Lozannie, gdzie jest stałe Biuro Międzynarodowe do walki z alkoholizmem. Pisał on nam świeżo, że na Zjazd warszawski wybiera się kilkaset osób bardzo wybitnych rozmaitej narodowości, a nasze Ministerjum Spraw Zagranicznych rozesłało już w tych dniach oficjalne zaproszenia do wszystkich rządów obcych akredytowanych przy Rządzie polskim.

W ramach tego ogólnego Zjazdu obradować będą zjazdy specjalne, a między nimi międzynarodowy katolicki Kongres abstynencki pod protektoratem obu polskich Kardynałów, a przygotowanie tego zjazdu Prymas Polski powierzył księdzu dyrektorowi Gałdyńskiemu w Poznaniu. Referatów na plenum i w sekcjach zarówno ogólnego Kongresu, jak i Zjazdu katolickiego zadeklarowano dużo do wygłoszenia w językach: polskim, francuskich, angielskim i niemieckim. Nauka polska wystąpi poważnie. Nasi uczeni i nasze uniwersytety przygotowują specjalne prace na Kongres, między innymi bardzo ciekawe wyniki badań nad działaniem alkoholu na mózg przez znakomitego specjalistę w uniwersytecie wileńskim, prof. Rosego.

Znaczna część uczestników zagranicznych Kongresu po zamknięciu obrad wybierze się na zwiedzanie Polski i w drodze do Tatr i Pienin zawita do Krakowa, gdzie podejmować ich mamy 18 września. Niechże więc i z tych względów także, inteligencja polska zainteresuje się nowem dla niej zagadnieniem i dowie się, co w tej dziedzinie robi się u nas dla ocalenia od zwyrodnienia przyszłych pokoleń, a czego właśnie wynikami co rok staramy się dzielić z szerszym gronem publiczności na naszych kursach, które w Polsce w zakresie alkohologji przeszkoliły już kilka tysięcy działaczy społecznych, a uświadomiły w sprawie alkoholizmu ogromną rzeszę z różnych sfer ludności.

Otwierając dziś nowy kurs w czcigodnych murach Wszechnicy krakowskiej, urządzony staraniem Polskiego Towarzystwa Trzeźwość z pomocą Ministerjum Opieki Społecznej, z wykładami z zakresu współczesnych zagadnień wychowania i opieki społecznej ze szczególnem uwzględnieniem walki z alkoholizmem, zapobiegania psychopatji i leczenia narkomanji, składam podziękowanie Dostojnym Gościom, że zechcieli swą łaskawą obecnością zaszczycić naszą inaugurację, a zarazem jak najserdeczniej witam naszych nowych słuchaczy z nadzieją, że z pomiędzy nich znajdziemy w przyszłości pożądanych towarzyszy pracy na niwie społecznej dla dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Kraków. *Kazimierz Kalinowski.*

BIOLOGICZNE PODSTAWY RODZINY.

Są sprawy jasne, jak słońce, zrozumiałe same przez się, jakgdyby przyrodzone, i do takich należy twierdzenie, że rodzina jest podstawą Narodu, tą komórką organiczną, która buduje społeczeństwo. Doświadczenia wszystkich czasów i wieków uczą, że z niej wychodzą co do ilości i jakości te siły, które tworzą historję i kulturę Narodu.

Zapewne, teoretycznie są do pomyślenia również inne formy utrzymania ciągłości społeczeństwa. Największy filozof starożytności Platon na kilka wieków przed Chrystusem, patrząc z boleścią patrjoty na rozkład i grożący upadek społeczeństwa helleńskiego, proponował znieść instytucję rodziny, złożyć ją na ołtarzu szerszej miłości całego społeczeństwa i zaprowadzić najsurowszą hodowlę ludzi, której jedynym celem byłoby rodzenie najdzielniejszych, t. j. wyhodowanie dzielniejszej rasy, która byłaby w stanie ocalić ginące społeczeństwo helleńskie. Wiemy, że praktyczne próby wprowadzenia takiego ustroju społecznego na Sycylji nie udały się.

Dziś nikt poważny nie myśli o tem, by rozbijać tę przyrodzoną wspólnotę życiową, jaką stanowi rodzina — i jedyne drogi, jakie prowadzić mają do udoskonalenia społeczeństwa, muszą wieść poprzez rodzinę. W sferze naszej europejskiej kultury, opartej na podstawach rzymskich i chrześcijańskich, żadna inna droga nie jest do pomyślenia i nie prowadziłaby do celu.

Od ćwierć wieku rozwija się jednak nowa nauka biologiczna, która rzuca nowe światło na biologiczne podstawy rodziny i na drogi, któremi należałoby dążyć do odrodzenia i uzdrowienia społeczeństw europejskich. Bo że one są chore, że kryzys obejmuje nie tylko dziedzinę gospodarczą, ale również inne dziedziny obecnej kultury, temu dzisiaj już nikt nie przeczy. Tą nową gałęzią biologji jest nauka o dziedziczności czyli genetyka. Początek jej możemy określić zupełnie dokładnie na rok 1900, gdy trzech botaników europejskich równocześnie i niezależnie od siebie odkryło u roślin prawa dziedziczenia, t. j. prawa według których cechy rodziców zostają przekazywane potomstwu. Ponieważ okazało się następnie, że prawa te odkrył już w r. 1867 Ks. Grzegorz Mendel, Augustjanin w Bernie na Morawach, przeto prawa te nazywamy dziś również prawami Mendla, a całą naukę Mendelizmem.

Otóż okazało się, że prawa dziedziczenia Mendla stosują się zarówno do roślin, jak i do zwierząt i do ludzi, że podlegają im nie tylko cechy fizyczne, morfologiczne czy fizjologiczne, ale również psychiczne, jak zdolności, temperament i inne t. zw. cechy wrodzone. Kwintesencja tej nowej nauki w zastosowaniu do człowieka jest taka, że jak dotychczas upatrywaliśmy główne czynniki kształtujące wartość społeczną jednostki w warunkach zewnętrznych otoczenia i wychowania, tak dziś, nie negując wielkiego znaczenia tych ostatnich, *główne* znaczenie przypisujemy czynnikom dziedzicznym, jak często mówimy rasowym, t. j. według praw Mendla „dziedziczonym po przodkach". Odkrycie to śmiało możemy nazwać jednem z najdonioślejszych odkryć biologicznych, gdyż przekształca ono cały nasz pogląd na świat, na ustrój społeczny, na prawodawstwo, na wychowanie, na etykę. Dzielności nie można nabyć przez wychowanie, dzielnym trzeba się urodzić. Wychowanie może zrobić z urodzonego tchórza człowieka, który nie będzie uciekał, ale nigdy człowieka odważnego. Z leniwego z natury można zrobić człowieka, który będzie pracował, ale nigdy pracowitego. Żadne kształcenie nie może rozwinąć zdolności do matematyki, czy do muzyki, jeżeli brak dziedzicznych zawiązków w tym kierunku. Zatem zdrowie fizyczne, dzielność kulturalna, rola w historji, jako czynnika dynamicznego poszczególnych narodów zależy od zawiązków dziedzicznych składających

je jednostek, od rasy, jak mówimy dzisiaj — i przyszłość społeczeństwa zależy od tego, jakie jednostki ze względu na cechy dziedziczne powołują do życia jego nowe pokolenia: czy jednostki zdrowe, dzielne, twórcze i utalentowane, czy też chorowite, obarczone defektami dziedzicznemi, upośledzone na umyśle i wogóle mało wartościowe.

Aby podkreślić tę dziś jeszcze całkowicie niedocenianą rolę dziedziczonych po przodkach zawiązków w rozwoju człowieka, mówi znany myśliciel angielski Ellis: „Los dziecka leży w jego przeszłości, a nie przyszłości. Rodzice zapalają te gwiazdy, które będą rządziły losami dziecka".

Oto są owe najbardziej witalne prawa biologiczne, od których właściwego stosowania zależy przyszłość społeczeństwa. Zastosowaniem tych zdobyczy genetyki do życia społeczeństw zajmuje się głośna dziś nauka eugenika, zwana również higjeną rasy. Eugenika stwierdza postępującą degenerację współczesnych społeczeństw, a źródła jej widzi przedewszystkiem w t. zw. niewłaściwej selekcji, t. j. większej płodności rodzin obarczonych zwyrodnieniami, niż rodzin zdrowych, dzielnych i utalentowanych. Dzięki takiej selekcji zmienia się na niekorzyść w ciągu wieków skład populacji, t. j. tej mieszaniny różnych typów dziedzicznych, jaką przedstawia każdy naród — i wreszcie zabraknie jednostek twórczych, ofiarnych i dzielnych, by utrzymać jego niezależność kulturalną i państwową. Takiemi przyczynami tłumaczy eugenika upadek wszystkich narodów historycznych od Greków i Rzymian począwszy. Zwłaszcza wojny np. powodują wybitnie niekorzystną selekcję — i upadek Polski w dużej mierze należy przypisać temu, że przy ochotniczym zaciągu, w ciągłych wojnach ginęły jednostki i wymierały rody dzielne i ofiarne, a pozostawali w domu i mnożyli się tchórze, niedołęgi i sybaryci, którzy w chwili ciężkiej próby nie potrafili państwa utrzymać.

Drugim głównym czynnikiem zwyradniającym współczesne społeczeństwa jest alkohol, gdyż, jak okazało się, należy on do tych trucizn, które nadużywane, są w stanie uszkadzać również owe dziedziczne zawiązki, stanowiące największy skarb każdego narodu i powodować u potomstwa pijaków różne dziedziczące się już dalej defekty fizyczne i psychiczne.

Otóż jako środki zaradcze przeciw grożącej narodom degeneracji i wiodące do wytworzenia zdrowszego, dzielniejszego młodego pokolenia wskazuje eugenika przedewszystkiem *odpowiedni dobór jednostek wstępujących w związki małżeńskie.* Twórca eugeniki, jako nauki, Francis Galton pisał, że głównym celem eugeniki jest takie społeczeństwo, w którem jednostki kojarzyć się będą w małżeństwa w myśl ideałów eugenicznych, t. j. powodować względami na prawdopodobieństwo otrzymania w małżeństwie licznego zdrowego potomstwa. Wszyscy poważni eugenicy europejscy jedyną drogę do lepszej przyszłości widzą w uzdrowieniu rodziny. Tylko rodziny o licznem, zdrowem, utalentowanem potomstwie mogą wytworzyć lepsze społeczeństwo przyszłości. Jest to droga długa i daleka, bo jak wieki złożyły się na opłakany stan dzisiejszych zdegenerowanych w dużej mierze społeczeństw, tak też wieki trwać muszą zabiegi koło zmazania win ojców, tych ciążących na nas grzechów pierworodnych. Gdybyśmy dziś wstąpili na tę drogę, to widocznych re-

zultatów spodziewać się możemy po latach około 300. Innej pewnej drogi do lepszej przyszłości nie ma, im prędzej na nią wstąpimy, tem lepiej, zwłaszcza, że sąsiedzi nasi z za zachodniej granicy wykazują nadzwyczaj ożywioną działalność na tem polu. Ostatnio czytaliśmy nawet o projekcie upaństwowienia biur kojarzenia małżeństw.

Są również pomysły pewnych eugeników, którzy chcieliby prędzej dojść do celu drogą stosowania różnych zabiegów t. zw. eugeniki negatywnej, do których należy np. głośno dziś dyskutowana sprawa sterylizacji upośledzonych. Trzeba jednak stwierdzić, że nawet w Niemczech uważa się to za środek drugorzędny i mniej np. skuteczny, niż t. zw. wyrównanie ciężarów rodzinnych, t. j. uprzywilejowanie pod względem finansowym i społecznym licznych zdrowych rodzin. Środki eugeniki negatywnej pozostawiają dużo do życzenia z punktu widzenia moralnego, potępiane są przez moralność katolicką i przedstawiają olbrzymie pole do nadużyć w walce politycznej.

Więc z ograniczeniami, wskazanemi przez zasady moralności chrześcijańskiej, trzeba i należy korzystać z tego nowego światła nauk biologicznych. Przyszłość zależy od nas wszystkich, od tego, jakie powołamy do życia nowe pokolenie. A tem ogniwem spajającem przeszłość z przyszłością, komórką, w której dokonywują się procesy decydujące o losach narodów, — jest rodzina.

Poznań.

Prof. Dr. Adam Wodziczko.

PROFILAKTYKA PRZECIWPRZESTĘPCZA I AKCJA PRZECIWALKOHOLOWA.

(Referat wygłoszony w Tow. „Trzeźwość“).

Od czasu, jak świat istnieje, społeczeństwo karało przestępców. Kary odpowiadały zawsze warunkom życia społecznego i kulturalnego danej epoki. Jeżeli 250 lat temu zwyczajny złodziej był skazywany na karę śmierci, wyrok ten uważany był wówczas za normalny i sprawiedliwy tak, jak dziś wyrok, skazujący oskarżonego o ten sam czyn, na miesiąc więzienia. Jeżeli dziś z przerażeniem wspominamy czasy, kiedy czarodzieja spalono na stosie, — a bandytę kołowano, to, być może, po 100 lub 200 latach potomstwo nasze będzie uważało, że niesłusznie skazywaliśmy ludzi chorych umysłowo na osadzenie w więzieniach, lub deportację do kolonji o klimacie zabójczym.

Dziś, jak i w przeszłości, do złoczyńców, jeżeli nie są niepoczytalni, stosuje się zwyczajne kary, przeważnie — pozbawienie wolności.

Przepisy prawa karnego ustalają zasady ogólne i podstawy kierownicze, określają cechy każdego czynu przestępnego, lecz w ramach ich nie mieści się wewnętrzna, ukryta treść tego czynu. Łączność i spójność zjawisk, stwarzających przestępstwo, oraz walka, która się odbywa wewnątrz człowieka między jego wolą a namiętnością, sumieniem a uniesieniem i innymi odruchami ducha, zanim decyduje się on na fatalny krok, nie są znane teorji prawa.

Kwestji wewnętrznej treści przestępstwa, czyli kwestji, w jaki

sposób występna skłonność, fałszywa idea, namiętność — zwyciężyły i strach przed grożącą karą i przyzwyczajenie do poddawania się warunkom normalnego współżycia społecznego, ustawa nie rozstrzyga.

Ponadto nasuwa się zagadnienie o karze w tej postaci, w której ona istnieje, i co do jej celowości. Jeżeli kara według najnowszych zasad szkoły pozytywnej stała się przeważnie środkiem naprawy i wychowania przestępcy, to wykonanie kary pozbawienia wolności należałoby uznać za niedoskonałe. Najlepszym dowodem jest nie tylko ogólne powiększenie się przestępczości, lecz, co najważniejsze, zastraszający wzrost czynów przestępnych, popełnionych przez osoby skazane już po odbyciu wymierzonych im kar [1]).

Więzienia w chwili obecnej są przedewszystkiem zakładami odwetowymi; nie zważając na to, że władza więzienna dąży ku temu, ażeby, za pomocą wychowania moralnego i wykształcenia, wpłynąć dodatnio ku naprawie odbywających karę. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż skazany pozostaje w więzieniu nie do czasu poprawy, lecz tylko do czasu odbycia ściśle określonego w wyroku terminu.

Już w końcu zeszłego stulecia znani prawnicy: Holzendorf, Lenc, Garraud, Locard i wielu innych, zwrócili uwagę na ujemne i szkodliwe skutki krótkoterminowego pozbawienia wolności, które w większości wypadków nie tylko nie wychowuje, decz deprawuje skazanego.

Jeżeli dążenia do naprawy i przekształcenia duchowego przestępcy dorosłego, w szczególności zawodowego lub nałogowego, pozostaje zawsze bardzo problematyczne, to zagadnienie prewencji przestępczości nieletnich w dobie obecnej coraz bardziej interesuje nie tylko kryminologów, prawników i lekarzy, lecz i społeczeństwo, albowiem w tej przestępczości tkwi główne i pierwotne źródło przestępczości ogólnej. Młodzież w każdym społeczeństwie jest tem tworzywem, z którego wyrastają obywatele kraju. A przeto wszystkie środki, zmierzające do ochrony młodzieży od zepsucia zarówno przed spełnieniem przestępstwa, jak i po jego dokonaniu, powinny wchodzić w zakres polityki kryminalnej każdego kulturalnego państwa.

Ponadto zawodowi niepoprawni przestępcy sami przez się nie byliby tak zastraszająco niebezpieczni dla społeczeństwa, albowiem, jak to stwierdza, na podstawie danych statystycznych, prof. Locard, „nie są oni długowieczni wskutek nienormalnego trybu życia, które prowadzą. Ponadto apasz nie żeni się i w rezultacie związków przygodnych nigdy się nie rozmnaża; umiera młodo, gdyż gruźlica, syfilis, alkoholizm i więzienie przyczyniają się do skrócenia żywota, którego przeznaczeniem było szkodzić innym".

Ponieważ prewencja czyli profilaktyka przeciwprzestępcza ma zapobiegać przestępstwu jeszcze przed jego dokonaniem, dlatego za teren swej działalności powinna wybierać te ośrodki społecznego współżycia, gdzie najłatwiej mogą powstać bodźce do przestępstwa kierujące, gdzie się złoczyńcy rekrutują.

Złoczyńcy, jak to słusznie zaznaczył profesor Uniwersytetu Rzymskiego Dr. Benigno di Tullio, znany przedstawiciel Italskiego Związku

---

[1]) Julles Jolly: „La France Criminelle". Loucille: „Les malfaiteurs de profession".

dla Antropologji i Psychologji Kryminalnej, w swym odczycie, wygłoszonym 28 listopada 1936 roku w Warszawie, rekrutują się przeważnie pośród dzieci i wśród alkoholików.

Doskonałym przeto terenem walki z przestępczością jest teren akcji przeciwalkoholowej, jak również teren zakładów wychowawczych i poprawczych, szkół dla dzieci porzuconych, zaniedbanych i upośledzonych.

Na podstawie statystycznych danych, zebranych przez węgierskiego prof. Németh [2]), liczba przestępstw, popełnionych przez nieletnich po światowej wojnie we wszystkich państwach, powiększyła się o 65—75%. Objaśnić to można tylko brakiem dozoru nad dziećmi. Okres czasu któryśmy niedawno przeszli a dokładnie mówiąc, okres wojny, był w tym kierunku wprost zgubny. Podczas gdy ojciec był zmobilizowany, a matka pracowała w fabryce, dziecko spędzało cały dzień na ulicy, mając przed oczyma jak najgorsze przykłady.

Dziecko, nie mając żadnego zajęcia, szuka na ulicy współtowarzyszy w swoim wieku, z którymi bawi się. Włócząc się obok sklepów, widzą one różne przedmioty, które, ze względu na ubóstwo, są dla nich niedostępne, a pokusa przywłaszczenia sobie tego, czego kupić nie można, jest bardzo silna. Przyłapany na takim czynie, mały chłopak bywa nieraz mocno poturbowany przez pokrzywdzonego, a czasem nawet doprowadzony na posterunek policyjny. Oczywiście powstaje myśl o wynalezieniu takiego podstępnego sposobu zwędzenia cudzego mienia, żeby nie zostać przyłapanym. Na tem tle rozwija się współzawodnictwo, wydzielają się najzdolniejsi w tym kierunku. Od tej chwili, twierdzi Locard [3]), formuje się szajka z przywódcami na czele, która nabiera wprawy i zamiast drobnych przedmiotów rzucają się na rzeczy poważniejsze, które pozwalają na hulankę. Od tego czasu alkohol we wszystkich postaciach jest niezbędnym towarzyszem przed i po popełnieniu każdego przestępnego czynu, albowiem nadaje odwagi i kurażu, a po szczęśliwie skończonej wyprawie następuje hulanka, nie znająca granic i częstokroć kończąca się bójką ze spowodowaniem ciężkich uszkodzeń ciała, lub nawet śmierci... Następnie banda takich dzieci przekształca się w stowarzyszenia młodych złoczyńców, wreszcie w bandytów uzbrojonych w browningi, w ostatnich czasach nawet w ręczne granaty i kulomioty (gangsterzy amerykańscy).

Otóż w taki sposób, zdaniem znanego kryminologa Locarda, pomiędzy 12 a 15-ym rokiem życia dziecko robotników uczciwych, lecz niedbałych, których przeważnie szynk lub gra w kręgle przy kuflu piwa zajmuje bardziej niż wychowanie, staje się najpierw złodziejaszkiem, później rabusiem, a wreszcie bandytą.

Nie tylko dziecko opuszczone lub porzucone narażone jest na wszelkie złe wpływy ulicy, lecz dotyczy to i dziecka czasem zbyt związanego z rodziną, która wskutek tych, czy innych przyczyn prowadzi niemoralny tryb życia.

Głód i chłód, bezskuteczne poszukiwanie kawałka chleba, ciągłe kłótnie pijanego ojca, jęki pobitej przezeń matki, brak jakichkolwiek zdrowych wrażeń, zapomnienie poszukiwane wyłącznie w alkoholu i roz-

---

[2]) Zeitschrift für die gesamte Strafrechtswissenschaft. Band 55. r. 1935.

[3]) „Jak się rekrutuje armja przestępców".

puście, wszystko to razem wzięte pozostawia głębokie ślady, które boleśnie ranią młodocianą duszę. Od dziecka wychowanego w takich warunkach trudno żądać w wieku dorosłym czystych i moralnych bodźców.

Dawne ustawy karne zupełnie nie miały na względzie rozważania przestępczości nieletniego do 10 ewentualnie do 14 lat, uznając dzieci w tym wieku za niepoczytalne; względem niepełnoletniego od lat 10 ewent. 14 do 17, jeżeli zostało udowodnione, że, popełniając przestępstwo, działał on „z rozeznaniem", sąd wymierzał tylko karę łagodniejszą.

Taka obojętność względem przestępców nieletnich i powierzchowny stosunek do przestępców niepełnoletnich wywołała kolosalny wzrost przestępstw, popełnionych w wieku młodocianym i zmusiła ustawodawstwa do wyodrębnienia spraw nieletnich i przydzielenia ich specjalnemu sędziemu, który powinien być nie tylko wykwalifikowanym prawnikiem, lecz również posiadać głęboką wiedzę, z dziedziny pedagogji, psychologji i socjologji, ażeby przez umiejętne stosowanie odpowiednich środków, osiągnąć poprawę i resocjalizację młodocianego przestępcy.

W literaturze prawniczej już w zeszłym stuleciu, po wprowadzeniu w niektórych państwach sądów dla nieletnich, była poruszana kwestja o niezbędności stosowania względem przestępczości nieletnich środków prewencyjnych, zapobiegawczych. Sądy dla nieletnich uważano za niewystarczające i niedoskonałe, jako środek walki z przestępczością nieletnich, skoro im powierzono wyłączanie sprawy o nieletnich, którzy już popełnili czyn występny.

Przestępstwo nieletnich jest tylko, — jak o tem wyżej mówiliśmy, — następstwem bądź niedbałego wychowania, bądź szkodliwie wpływającego na dzieci otoczenia, środowiska i t. d., a przeto dla zapobieżenia przestępczości nieletnich należy stosować „profilaktykę przeciwprzestępczą", celem uniemożliwienia samego powstania czynu przestępczego za pomocą przekształcenia dzieci, które z tych czy innych powodów objawiały skłonności do popełnienia przestępstwa, na zdrowych i uczciwych obywateli.

Zachodziła kwestja, jaki organ władzy powinien byłby się zająć ratowaniem moralnie zaniedbanych dzieci.

Zagadnienie powyższe było postawione na IV sekcji XI Międzynarodowego Kongresu Karnego i Penitencjarnego w r. 1936 w Berlinie i rozstrzygnięte w tym sensie, że do właściwości sędziego dla nieletnich należą nie tylko sprawy dotyczące dzieci, które już popełniły czyn przestępny, lecz i sprawy dotyczące dzieci moralnie zaniedbanych, przyczem sędzia rozstrzyga również kwestję pobawienia niegodnych rodziców władzy rodzicielskiej. Teza powyższa została uzasadniona, jak następuje:

Gdyby sędzia miał do czynienia wyłącznie z dziećmi, które ujawniają tylko skłonności lub odziedziczone usposobienie do przestępczości, lecz jeszcze przestępstwa nie popełniły, to nie będzie on obeznany w dostatecznej mierze, jaki szkodliwy wpływ wywiera zaniedbanie przez rodziców swego obowiązku wychowania dzieci. Natomiast gdyby sędzia obowiązany był tylko sądzić nieletnich przestępców, to byłby pozbawiony możności zapoznania się z głównem źródłem przestępczości nieletnich. Ponadto pozostawienie sędziemu dla nieletnich tylko rozpoznania spra-

wy dotyczących dzieci, które już popełniły przestępstwo, byłoby sprzeczne z zasadniczem zadaniem i podstawową myślą sądów dla nieletnich — ratowanie dzieci i zapobieżenie przestępczości nieletnich. Wreszcie jeśli wogóle pomoc i obrona są niezbędne dla społeczeństwa, to przedewszystkiem są one potrzebne w dziedzinie ratowania młodzieży, gdy zagrożone są jej podstawy moralne.

Ustawa Brazylijska z r. 1927 zawiera w tem przedmiocie odpowiednie przepisy, które nadają sądom dla nieletnich prawo obrony i ochrony tych nieletnich, którzy z powodu niedbalstwa, nadużywania władzy bądź okrucieństwa rodziców lub opiekunów, narażeni są na cielesne bądź duchowe cierpienia, bądź na złe wpływy moralne.

Angielskie „Childern and Joung Person Act“ z r. 1933 przytacza przypadki niezbędnego zastosowania środków obrony nieletnich, a mianowicie: kiedy nieletni do 17 lat niema rodziców ani opiekunów, bądź osoby te niezdolne są nim się zaopiekować, bądź go zaniedbali, gdy nieletni wskutek nieodpowiedniego otoczenia narażony jest na upośledzenie moralne, gdy został porzucony bez nieleżytego dozoru, gdy zajmuje się włóczęgostwem, żebractwem, nie ma stałego miejsca pobytu i niezbędnych środków do utrzymania. Ustawa uznaje takich nieletnich za wymagających opieki i pomocy — „Need of Care or Protection“.

Prawie identyczne zarządzenia zawiera ustawa o sądach dla nieletnich w Stanach Zjednoczonych [4]).

Sądy dla nieletnich zostały wprowadzone również w Belgji i we Włoszech: mają one obowiązek nie tylko sądzenia nieletnich, którzy popełnili przestępstwo, lecz również — ochronę dzieci i obronę ich przed deprawującymi i gwałcącymi ich duszę i niszczącymi ich ciało czynnikami.

Ustawy powyższe przewidują częściowe lub zupełne pozbawienie władzy rodzicielskiej rodziców przestępnych, lub zaniedbujących swe obowiązki wychowania, dzieci.

Ograniczenie bądź pozbawienie ojcowskiej, ewent., rodzicielskiej władzy stanowi ciężki zamach na najpoważniejsze prawa rodzicielskie. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że wykonywanie tej władzy nie ma charakteru interesu wyłącznie prywatnego, gdyż tkwi w niem pierwiastek publiczny, doniosłej wagi, mający na celu ochronę zdrowia i uzdrowienia fizycznego i duchowego przyszłego pokolenia.

Sędzia, rozważając czyn występny, popełniony przez nieletniego obowiązany jest wyjaśnić i ustalić charakter i przeszłość oskarżonego, warunki w jakich żył i wychowywał się, stosunki moralne i materjalne, jego rodziców, a przeto będzie posiadał dostateczny materjał praktyczny, dla rozstrzygnięcia kwestji co do zastosowania względem rodziców przepisów, dotyczących ograniczenia lub pozbawienia ich władzy rodzicielskiej.

Gdy zaś powstaje kwestja profilaktyki przestępczej, to bardzo ważne znaczenie ma organizacja ogólnej kontroli co do warunków, w jakich wychowują się dzieci.

W tym względzie ustawodawstwo angielskie nadaje każdemu oby-

---

[4]) Buernreicher „Jugendfürsorge und Strafrecht in dem Vereinigten Staaten von Amerika“. Stammer "Strafvollzug und Jugendschutz in Amerika“.

watelowi prawo zawiadamiania sędziego o dzieciach zajmujących się żebractwem, przez rodziców porzuconych, lub zaniedbanych i t. d., a ponadto wprowadziło w życie specjalną instytucję t. zw. „boys beadles", których obowiązkiem jest ujawnienie i doprowadzenie do sędziego dzieci wymagających opieki i ochrony społecznej.

Sędzia dla nieletnich oczywiście nie byłby w stanie osobiście wykonywać takiej kontroli, wprowadzenie zaś u nas organu na kształt „boys beadles" byłoby za kosztowne, a przeto, naszem zdaniem, należałoby zobowiązać osoby, które zawodowo trudnią się wykształceniem i wychowaniem dzieci w szkołach państwowych bądź prywatnych, aby urzędowo zawiadamiały odpowiedniego sędziego dla nieletnich, jeżeli się dowiedzą, że rodzice, opiekunowie, lub inne osoby, którym powierzono dozór nad dziećmi, dopuszczają się względem nich czynu bezprawnego, bądź zaniedbują obowiązki ich moralnego wychowania, bądź wskutek pewnych okoliczności, obowiązków tych wykonywać nie mogą (np śmierć, ciężka choroba, pozbawienie wolności i t. d.).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że dezorganizacja życia rodzinnego, wskutek separacji bądź rozwodu, jak to słusznie zauważył prof. Guillot, stanowi jedną z przyczyn, powodujących zaniedbanie intelektualnego i moralnego wychowania wielu dzieci.

Kwestja umieszczania takich dzieci, ustalenia nad niemi odpowiedniej opieki i dozoru jest tak drażliwa i zarazem poważna dla przyszłości tych dzieci, że rozstrzygnięcie jej powinno być, naszem zdaniem. powierzone sędziemu dla nieletnich.

Jeżeli zakłady wychowawcze i poprawcze dla nieletnich przestępców, a dozór i opieka nad dziećmi upośledzonemi, zaniedbanemi i porzuconemi w sposób najskuteczniejszy, jak słusznie twierdzi prof. Benigno di Tullio zwalcza nie tylko przestępczość nieletnich, lecz pośrednio i przestępczość dorosłych, to według zdania prof. Alfreda Poulier'a [5]), które podziela i prof. di Tullio, — doskonałem terenem walki z przestępczością — jest teren akcji przeciwalkoholowej.

Akcja ta jest bardzo trudna, gdyż spożywanie alkoholu, tej strasznej trucizny, — sięga głęboko w mglistą przeszłość.

Od niepamiętnych czasów ludzie mieli skłonność do używania i nadużywania trunków spirytusowych. Mityczny Silen, wychowawca Bachusa jest pierwowzorem zagorzałego pijaka, a czcigodnemu praszczurowi Noemu zdarzył się dobrze wszystkim znany wypadek. Wiadomo również, że Grecy i Rzymianie naogół niezbyt srogo osądzali ludzi, gdy szło o nadużywanie truków. Nawet boski Plato „w ustawach" wybacza opilstwo, którzy przekroczyli czterdziestkę. Horacy zdradza nam tajemnicę, że nawet srogi Kato lubił zaglądać do kieliszka i „często rozgrzewał swą duszę winem".

Anakreon, poeta grecki, a potem w XVIII wieku Piron, Collé, Crebillon, Bérenger i inni pisali dytyramby na cześć boskiego nałogu, kojącego troski ludzkie!

Jedyny ze wszystkich trucizn alkohol w postaci trunków ma przyjemny smak i zapach. Użycie takich truków wywołuje zazwyczaj na początku przyjemne samopoczucie, osłabia uczucie niezmiernego zimna

---

[5]) „Psychologie du peuple français".

i gorąca, koi bóle fizyczne i duchowe. Znajdującemu się pod wpływem narkozy alkoholowej świat przedstawia się w różowym świetle; wszelkie dolegliwości ciała i duszy znikają, gdyż człowiek wtedy żyje tylko chwilą obecną.

Bez trunków alkoholowych, niestety na całej kuli ziemskiej, nie odbywa się żadna uroczystość, tak w niższych, jak i w wyższych kulturalnie warstwach społeczeństwa. Jest to t. zw. „alkohololizm obyczajowy“, który najwięcej niesłychanie utrudnia zadanie walki z alkoholizmem wogóle.

Skutki jednak alkoholizmu i ich zasięg jest wszystim zbyt dobrze znany z życia codziennego. Wiemy, że trucizna ta uderza przedewszystkiem w samego człowieka, ulegającego nałogowi, łamie i niszczy udział jednostki w budowie życia społecznego, paczy i zniekształca jego potomstwo, nakładając na nie znamię charłactwa duchowego i cielesnego.

Wobec powyższego, nie będziemy omawiali zastraszających skutków, jakie wywiera alkoholizm, zastanowimy się tylko nad walką z tą okrutką klęską społeczną.

Większość państw Zachodniej Europy i Ameryki dąży do zmniejszenia spożycia alkoholu bądź za pomocą dostarczenia do użytku publicznego najmniejszej ilości napojów spirytusowych, bądź przez zmniejszenie szkodliwości alkoholu za pomocą rektyfikacji, bądź przez powiększenie opłat akcyzowych.

Wszelkie powyższe sposoby jednak nie dały żadnych wyników pozytywnych, lecz bodaj wyłącznie ujemne.

Trudno twierdzić, aby państwo, powiększając opłaty akcyzowe na alkohol, miało na względzie walkę z alkoholizmem. Znany jest cały szereg przypadków, kiedy rządy miały na celu wyłącznie wyrachowanie budżetowe, opierając się na starożytenj zasadzie: querenda pecunia primum, virtus post nummos“.

Podrożenie alkoholu zawsze było połączone z potajemnem pędzeniem spirytusu (samogonka) i przemytnictwem, oraz używaniem innych trucizn, w rodzaju eteru i jego przetworów, które są o wiele szkodliwsze dla organizmu ludzkiego.

Praktyka sądowa zna dużo wypadków, kiedy, wskutek podniesienia ceny na wódkę, nabywano na różne uczty, w szczególności wiejskie, pod postacią taniej, a mocnej wódki, niby to przemyconej z zagranicy, — spirytusu drzewnego, którego użycie ma bardzo ciężkie skutki — śmierć, lub utratę wzroku na zawsze!

Absolutny zakaz sprzedaży napojów alkoholowych w Stanach Zjednoczonych, został niedawno zniesiony, gdyż wywołał zastraszające rozpowszechnienie przemytnictwa i potajemnego pędzenia spisytusu. [6]).

Nieraz proponowano wymierzanie surowych kar za opilstwo. Oczywiście należy karać tych, którzy w stanie opilstwa dopuszczają się wybryków, a tem bardziej, jeśli popełniają przestępstwo skutkiem odurze-

---

[6]) W lipcu 1930 r. w Brooklinie ajenci prohibicyjni wykryli i skonfiskowali olbrzymie składy trunków ocenionych na przeszło 1½ mil. dol.

nia alkoholowego, wynikającego z ich winy (art. 18 § 2 Kod. Karn.). Jednakże stosowanie surowych kar nie jest odpowiednim środkiem zwalczenia alkoholizmu.

Według trafnego zdania naszego znanego prawnika Spasowicza, tylko te czyny należy uznać za karno-przestępne, które według rozsądnego, zgodnego z naturą rzeczy uznania społeczeństwa, są sprzeczne z warunkami współżycia społecznego i nie mogą być chronione za pomocą innych mniej gwałtownych środków, a mianowicie przez wychowanie społeczeństwa, jego wykształcenie, a wreszcie — przez moralną sankcję sumienia i karcące głosy opinji publicznej.

Do walki z alkoholizmem zostały w końcu zeszłego stulecia powołane w różnych państwach „Towarzystwa przeciwalkoholowe“, które w zakresie swojej działalności stosowały i stosują przedewszystkiem środki oddziaływania moralnego.

Na pierwszy plan wysunięto urządzenie zabaw i rozrywek ludowych. Towarzystwa powyższe miały na celu danie możności niezamożnym pracownikom uprzyjemnienia sobie wypoczynku po ciękiej pracy i uzyskania chwilowego conajmniej zapomnienia o niedoli i troskach życiowych.

Rozrywki i zabawy powinny być tanie i zastosowane do umysłowego poziomu widzów. Należy naszem zdaniem, przedewszystkiem, wystawiać obrazy z życia narodowego, na tle historycznem z przeszłości ojczyzny i jej bohaterów.

Repertuar rozrywek i zabaw wogóle powinien odpowiadać głównemu celowi, — podniesieniu uczucia moralnego człowieka, nie zaś służyć przypomnieniem codziennej niedoli, która jemu jest aż nadto dobrze znana.

Następnie zadaniem Towarzystwa Trzeźwość jest, oderwanie ludności od alkoholu, za pomocą urządzania jadłodajni i herbaciarni bez sprzedaży alkoholu.

Zakłady powyższe będą miały doniosłe znaczenie, jeżeli będą posiadać specjalne czytelnie. Należy, oczywiście, troszczyć się o to, żeby książki i czasopisma dla czytelni były nabywane według odpowiedniego systemu dobrze obmyślonego i odpowiadały celom wychowawczym i dokształcającym.

Nadzwyczajnie ważne zadanie mają wydawanie i rozpowszechnianie przez Towarzystwo Trzeźwość literatury antyalkoholowej, możliwie bezpłatnie.

Doniosłość oddziaływania prasy jest zagadnieniem bezspornem i będzie ono trwało dopóty, dopóki się nie podważy potęgi tego siódmego (czy któregoś tam) mocarstwa i będzie zawsze odgrywało pod względem moralnym potężną rolę w wychowaniu publicznem! Nie mniejszą rolę odgrywają odczyty i wykłady.

Trzeźwość — nasz miesięcznik ilustrowany, jako organ Polskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem, pod kierownictwem wysoce doświadczonego, niestrudzonego i utalentowanego kierownika p. red. Jana Szymańskiego, spełnia swoje zadanie w miarę sił i możliwości i wymaga tylko energicznego poparcia społecznego.

Towarzystwa walki z alkoholizmem okazały wielkie zasługi i osiągają coraz większe poparcie materjalne ze strony społeczeństwa [7]).

Alkoholizm jest niewątpliwie chorobą, do której jednak, według słusznego twierdzenia prof. Dr. Bersot'a („L'Abstinence" N. 19, 1936 r.) nie stosują odpowiednich środków zapobiegawczych, jak to ma miejsce przy innych chorobach np., grużlicy.

Zagrożeni gruźlicą są zazwyczaj otoczeni specjalną opieką lekarską i mają możność zahamowania dalszego rozwoju tej choroby. Osób, używających napojów spirytusowych, którym z tych lub innych powodów grozi rozpicie się, nie starają się ochronić bądź wydzielić z dotychczasowego środowiska, w którem nabawili się choroby, a dopiero gdy stają się niebezpieczni dla społeczeństwa, przeważnie gdy już popełnili czyn występny, umieszczają ich w zakładzie leczniczym, lub w więzieniu.

Dr. Fischer w swej pracy „Opieka nad alkoholikami i psychjatria", podkreśla konieczność jaknajwcześniejszego leczenia nałogu, nawet w tych jego okresach, które nie budzą jeszcze obaw w otoczeniu i w związku z tem kładzie zasadniczy nacisk na leczenie zapobiegawcze i na jak najszerszą akcję wychowawczą, w pierwszym rzędzie w stosunku do młodzieży.

Człowiek pijący umiarkowanie w pewnej chwili życia zaczyna rozumieć, że stoi nad przepaścią, że grozi mu całkowita ruina, jeżeli nie zawróci z drogi po której idzie.

W takiej chwili czuje jednak, że sam nie da rady, że nie potrafi siebie ocalić. Wymaga poparcia ludzi postronnych — światłych i rozumnych, wyćwiczonych w dziedzinie tego specjalnego lecznictwa.

W tych wypadkach wielkie zasługi oddają przychodnie przeciwalkoholowe urządzane przez Towarzystwa walki z alkoholizmem (Patrz „Stanowisko lekarzy w sprawie zwalczania alkoholizmu" Dr. St. Deresz), a następnie specjalne Zakłady Lecznicze, jak Świack i Gościejewo.

Na zakończenie nie mogę pominąć, że klęska społeczna, którą powoduje alkoholizm, jest klęską wszechświatową i dlatego musimy serdecznie powitać inicjatywę prof. Dr. Benigno di Tullio stworzenia międzynarodowej organizacji w dziedzinie profilaktyki przeciwprzestępczej, ujętej ściśle naukowo i opartej na danych, dostarczonych przez antropologję, psychologję i bjologję kryminalną.

W maju 1937 r. odbędzie się w Rzymie pierwszy międzynarodowy Kongres powołanej organizacji, na którym będzie wygłoszony szereg odczytów w przedmiocie walki z alkoholizmem.

Stanisław Czerwiński.

---

[7]) Liczba członków Towarzystwa walki z alkoholizmem w Szwecji w r. 1934/35 wzrosła znacznie i wynosi 125,137 na liczbę 6 miljonów ludności. Budżet we Flandrji Zachodniej na walkę z alkoholizmem wzrósł kolosalnie; w r. 1928 stanowił ledwie około 4.000 fr. bel, w roku zaś 1934 — przeszło 80.000 fr.

ALKOHOLIZM I NOŻOWNICTWO.

„Oj panie! — rzecze z płaczem gospodyni — tam na tych tańcach przynoszą gorzałkę, piją i po pijanemu nożami się kaleczą". Z mojego artykułu str. 529, 4 wiersz od dołu; „Trzeźwość" Nr. 12 z 1936 r. Pisałem to w grudniu 36 r. A już w dniu 12 stycznia 1937 r. otrzymałem — jakże straszne potwierdzenie tego, w przemówieniu Pana Ministra sprawiedliwości w sejmie, który powiedział: „przyrost więźniów w Polsce wynosi 5.000 na rok; w więzieniach jest 60.000 więźniów". W sprawie nożowych rozpraw i zabójstw po pijanemu P. Minister powiedział: „p. poseł Długosz podniósł sprawę łagodnego traktowania przez sądy spraw wypływających z bójek wiejskich, zabójstw i t. p., mogę twierdzeniu p. posła Długosza tylko przyklasnąć, całkowicie z nim się zgadzając. Istotnie przy okazji zacytuję panom, czego nie zrobiłem w dzisiejszym przemówieniu, że statystyka w Polsce pod tym względem jest *zastraszająco groźna.* Np. z rąk zabójców ginie około 1.300 ludzi, jest rannych, z czego znaczny procent umiera 8.000 ludzi. Nożownicze bójki powodują niebezpieczeństwo kalectwa dają 6.000 ofiar rocznie, tak, że można powiedzieć bez większej przesady, iż nie prowadząc wojny, *rocznie tracimy kilkanaście tysięcy młodych istnień*".

Tak mówił w sejmie P. Minister Sprawiedliwości 12. I. 37 r. Smutne to, i niezmiernie smutna sprawa. I dlatego, pozwolę sobie i to bez przesady do tych autoratywnych słów P. Ministra dodać, że: te wszystkie zabójstwa, których jest 1.300, te ciężkie okaleczenia przy różnych bójkach w miastach i osiedlach fabrycznych, których jest około 8.000 i w bójkach wiejskich, których ofiar liczy się 6.000, czyli kilkanaście tysięcy ludzi rocznie, to ofiary pijaństwa, to ofiary nadużycia trunków — wódki. A to już jest straszne i to już jest okrutne. Mówi się (p. poseł Długosz), że kary za małe — za łagodne kary. A czy jest kara dość wielka i dość surawo, którejby się przeląkł—przestraszył, przeraził i, któraby wstrzymała jego rękę uzbrojoną morderczym nożem, czy sztyletem, nad piersią człowieka, może jeszcze — przed paru chwilami przyjaciela, kolegi, znajomego i t. d., jeżeli ten uzbrojony człowiek jest pijany, jeżeli mózg jego jest zatruty gorzałką, jeżeli szał pijacki panuje nad jego rozsądkiem? „Pijanemu morze po kolana" — pijany to szaleniec! pijany, to człowiek niepoczytalny. Umysł jego zamroczony, mózg zatruty. Działa w nim tylko dzika namiętność i szał. żadne wiązadła społeczne, rodzinne, towarzyskie i przyjacielskie dla niego nie istnieją. Pijaństwo spuściło w człowieku zatrutym z łańcucha nie tylko dzikie, ale wściekłe zwierzę. Pijany człowiek nie myśli o karze, równie dobrze nie myśli o karze żaden zbrodniarz. Tylko człowiek, co popełnia zbrodnię trzeźwy — myśli o tym, że nikt go nie widzi, że niema świadka, że się schowa, że uciecze i t. d., pijany w stanie opilstwa — morderca — nie myśli i o własnym ocaleniu, nie myśli, czy kto widzi, czy nie, czy są świadkowie, czy ich niema i ilu ich jest, pijany popełnia najcięższą zbrodnię, morderstwa nawet publicznie, wśród wielu ludzi uderza śmiercionośnym narzędziem w ciało nie tylko rzeczywistego, lecz urojonego wroga, ale często i w pierś kolegi — przyjaciela — sąsiada, z którym razem i po przyjacielsku przyszedł na zabawę — na tańce i nawet nigdy o tym nie myślał, ażeby go miał mordować — zabijać. I dopiero zatru-

ty gorzałką, straciwszy rozsądek, rozum, zastowienie, rozwagę — staje się niepoczytalnym i nieprzytomnym mordercą.

Wiedzieli o tym dawniej starzy chłopi, starzy gospodarze. Miałem tego przykład lat temu może 35. Byłem wiejskim kupcem i we wsi Kościelnej miałem sklep. Z gospodarzami z tej wsi i z okolicznych wsi żyłem w jak najlepszej zgodzie i stosunkach. Wódki ani piwa u siebie nie sprzedawałem, miałem opinję uczciwego człowieka, przeto bywałem proszony *na kuma* i na wesela chociaż rzadko, także. Otóż pewien zamożny gospodarz, stary już w owe czasy człowiek, wydając córkę za mąż prosi mnie na wesele do siebie. Poszedłem. Gospodarz ów, już dawno nie żyjący — lubił przy sposobonści wypić. Będąc u niego w domu na weselu, zauważyłem, że gospodarz wesela nic nie pije, — ani wódki, ani piwa, ani nawet wina (bo było wino). Po paru godzinach mojej obserwacji, późno już wieczór, kiedy młodzież tańczyła, a starsi popijali, bo było dość jedzenia i picia — pytam: a dlaczego to pan W. nic nie pije? „Jakto panie, przecież ja jestem gospodarzem, wydałem córkę zamąż, wyprawiam wesele, mam więcej jak sto gości, którzy jak pan widzi mają co pić i piją, a już są i podpici. Otóż ja, gospodarz, muszę być trzeźwy i pilnować muszę, ażeby ktoś pijany nie zrobił awantury, nie wszczął bijatyki. Przecież tyle ludzi. Niechby się raz zaczęło, toby mogło i nieszczęście nastąpić“.

Tak to rozumieli starzy gospodarze zabawę weselną i rolę, obowiązek na weselu gospodarza. Ażeby wesele było bez wódki tego jeszcze uczynić nie mogli. Ale pilnowali u siebie w domu, żeby do awantur i bijatyk nie dopuścić. Wybierając więc pomiędzy złymi obyczajami a niebezpieczeństwem, starali się unieszkodliwić picie przez pilnowanie pijących przez trzeźwego gospodarza. Dziś już i to zapomniano. Zdziczali młodzi ludzie piją, upijają się, wszczynają awantury, bójki, a w bójkach puszczają noże w ruch, a stąd kalectwo, lub śmierć, proces, sąd i kryminał, gasną jak świece młode żywoty ludzkie, lub gniją w kryminałach. I to straszliwe zło nie ustaje. Kryzys, nędza, i skutki tego wyrażają się w chciwości i żądzy użycia... U góry, wyrazem tego jest zanik już nie tylko moralności, ale nawet zwykłej między ludźmi przyzwoitości i umiaru. Na dole — pijackim rozbestwieniem i zbrodniczością.

Cóż tedy robić, co czynić? Czy powołać do życia średniowiecze z jego systemem kar, kiedy nawet kara śmierci była nietylko zwyczajną, ale i *kwalifikowaną*. Czy stosować nakazy, zakazy oraz surowe ich przestrzeganie, i czy to wszystko pomoże? Według mojego skromnego zdania opartego doświadczeniem starości, śmiem twierdzić, że ani kary, ani zakazy i nakazy, jeśli chodzi o pijaństwo — nie pomogą. Pomoże uświadomienie i dobry przykład od lat najmłodszych, od dziecka w trzeźwej rodzinie. To jest najważniejsze — trzeźwa rodzina daje mocną i trwałą podstawę już w dzieciństwie. Na to trzeba zwrócić największą uwagę i nacisk, czy to w wiejskiej - gospodarskiej chałupie, czy to w izbie rzemieślniczej, jeżeli dziecko od niemowlęctwa nie widzi, ażeby ktokolwiek z jego najbliższych pił wódkę, czy piwo, takie dziecko nie nabierze chęci do picia. A dalej — trzeba wprowadzić naukę alkohologji do systemu nauczania i to począwszy od przedszkola po przez wszystkie szkoły: powszechne, średnie i wyższe. Trzeba i to koniecznie trzeba wdrożyć w umysły dzieci i młodzieży wiedzę o szkodliwości wszelkiego

rodzaju alkoholu. Trzeba zmniejszyć ilość miejsc sprzedaży alkoholu, mówię tu o miejscach legalnej sprzedaży. Za sprzedaż nielegalną trzeba surowo karać, a nie patrzeć przez palce na tych szkodników, którzy prawo lekceważą, jak to było w tych czasach, kiedy obowiązywały ustawy uchwalone jeszcze przez sejm ustawodawczy, których nikt nie przestrzegał i nikt przestrzegania nie pilnował. Ale powtarzam — ponad wszystkie zakazy, nakazy i kary, lepsze, skuteczniejsze i więcej celowe jest — *trzeźwa rodzina*, wychowanie dziecka w otoczeniu ludzi trzeźwych, w domach, gdzie w żadnej okoliczności nie używa się żadnych trunków, gdzie niema złego przykładu, ani ze strony rodziców, ani starszych, ani nawet gości. Tak — ani nawet gości, gdyż trzeźwa rodzina, trzeźwych tylko miewa gości — przykład i jeszcze raz przykład więcej znaczy, niż najgroźniejsze zakazy, najsurowsze kary i najwymowniejsze zalecania bez dobrego przykładu.

Tymczasem wiedzmy, że stare obyczaje powracają na nowo, a te stare obyczaje były niestety, jeżeli chodzi o pijaństwo — bardzo złe. Jeżeli na wsi posłuchamy starców i zapytamy ich, jak tam było z gorzałką — odpowiedzą nam: pito, pito w karczmie, w domu, na chrzcinach, na zabawach, na weselach i na stypach pito, przy każdej okazji upijano się do nieprzytomności. Jeżeli weźmiemy do ręki książkę napisaną wiele lat temu przez ówczesnego pisarza, to znowu czytamy o piciu, „*gdy wychylę flaszę to i ja chodź ksiądz habit czasem podkaszę*" mówi ks. Robak w „*Panu Tadeuszu*", albo „*wódka gdańska to napój dobry dla Polaka*", to pisał wielki poeta Adam Mickiewicz, który wiedział co to jest pijaństwo. Ale odtwarzając w „Panu Tadeuszu" przeszłość szlachecką, którą dobrze pamiętał, musiał o niej pisać prawdę i odtwarzać to, co było. To samo można powiedzić o Polu, o Syrokomli i prawie o każdym z tych, co nieraz z wielkim talentem opisywali przeszłość. Weźmy chociażby „*Obrazy Litewskie*" J. Chodźki! Takie były obyczaje, pito do poduszki i pito powstanie z łóżka, picie w miarę — było zaletą, pijaństwo było albo grzechem, albo nieprzyzwoitością. Ale nie było tem czem ono jest naprawdę: *powolną trucizną* i klęską społeczną. O tym nie wiedziano. I dopiero za naszych dni wiedza wyjaśniła ludziom właściwe, a straszne znaczenie alkoholu i alkoholizmu i jego antyspołeczne znaczenie, nie tylko dla żyjących, ale i dla dzieci, dla potomstwa, dla następnych pokoleń, i o wpływie na przestępczość i zbrodniczość dla dzisiejszego dnia.

Tomasz Nocznicki.

ALKOHOLIZM A MORALNOŚĆ.

(Referat wygłoszony na Kursie Alkohologji w Wilnie 11 marca 1937 roku).

„Jedna jest rzecz na świecie godna ludzkiej pieczy,
Ludzie o wszystkiem myślą prócz tej jednej rzeczy"
(A. Mickiewicz).

W tych słowach wieszcz narodowy wyraża głęboką myśl, wskazuje na wzniosły dla wszystkich cel, ubolewając, że mało kto o nim myśli i doń dąży. Tą myślą głęboką Mickiewicza jest charakter moralny człowieka, którego istotnemi cechami jest jednoć i konsekwencja w po-

stępowaniu. Alkoholizm, jako zatrucie organizmu ludzkiego, a w szczególności jego sparaliżowanie stałe, lub chwilowe władz psychicznych człowieka, uniemożliwia częściowo, lub całkowicie jednolite, konsekwentne postępowanie a przez to samo rujnuje moralność indywidualną i społeczną. Wychodząc z założenia, że „w zdrowem ciele, zdrowa dusza", można powiedzieć, że cała kwestja alkoholizmu sprowadza się głównie do moralności; ale ponieważ główną cechą jej jest jednolitość, dlatego w referacie tym powiem o znaczeniu jedności dla moralnego charakteru człowieka, którą przedewszystkiem rujnuje alkoholizm.

1. Jedność! Ileż treści kryje się pod tym wyrazem? Jedność jest pierwszą liczbą, od której wszystkie liczby pochodzą, a która od żadnej innej liczby nie wyprowadza swego początku: jedność tedy jest najgłówniejszą zasada rachunków i każdego liczenia, oraz podstawą wszelkiego porządku. Jedność w mnogości jest naczelną zasadą sztuki, która we wszystkich swoich gałęziach rozwija się z jedności i do jedności zmierza, jako do swego celu głównego. Jedność jest początkiem i końcem każdej istoty, która tak długo jest, czem jest, jak długo jednem i tem samem jest. Dlatego Pitagoras, uważajac liczby za pierwiastki wszechrzeczy, oddaje pierwszeństwo jedności, nazywając ją doskonałością wszechtwórczą, mistrzynią i początkiem ludzkiego i niebieskiego życia. [1]). Dlatego Platon jedność utożsamia z dobrem najwyższem, wyprowadzając zeń, jako z prajedni — wielość, jako z doskonałości — wszelką niedoskonałość.[2]).

Pomijając zawiłe wywody greckich filozofów, apoteozujących jedność, musimy z nimi uznać jedność za naczelną zasadę indywidualnego i społecznego życia ludzi, gdyż każdy człowiek i wszelka społeczność musi przedewszystkiem mieć jeden cel, do osiągnięcia którego winien dobierać odpowiednie środki. W życiu indywidualnem człowieka jedność odgrywa wielką rolę, gdyż jest istotnym elementem charakteru moralnego, według którego oceniamy wartość danego indywiduum. Jeszcze w wyższym stopniu jedność jest główną cechą każdej społeczności, której winien przyświecać jeden wspólny cel możliwy do osiągnięcia przez wszystkich członków. Już w społecznościach zwierzęcych jedność jest warunkiem ich istnienia i rozwoju. Szczególnie to jest uderzające u pszczół, które się zwykle łączą w jednym ulu i ulegają jednej matce. Tem bardziej w społeczności ludzkiej, jedność jest koniecznym warunkiem jej istnienia i rozwoju. Jak jedna głowa w ciele, tak winien być jeden prezes w stowarzyszeniu, jeden kapitan na okręcie, jeden wódz w wojsku, jeden papież w Kościele.

Według Platona niema większego nieszczęścia dla państwa, jak jego podział na części, albo też rozdwojenie jego obywateli w poglądzie na rzeczy istotne przy ustroju demokratycznym. Uważa on to za rzecz gorszą od niewoli całego narodu. Jeszcze w wyższym stopniu nieszczęściem jest rozdwojenie i brak jednolitości w postępowaniu poszczególnego człowieka, u którego główną cechą charakteru moralnego ma być jednolitość i konsekwencja czynu. Jedność w postępowaniu wytwarza cnotliwość, brak zaś jedności prowadzi zwykle do grzechu. Stąd słusz-

---

[1]) Pawlicki S. X., Historja filozofji Greckiej, I. (Kraków 1890) 209.

[2]) Ueberweg F., Grundriss der Geschichte der Philosophie, I. (Berlin 1926) 605.

nie można powiedzieć, że jedność daje niebu pogodę, duszy — świętość, ciału — zdrowie, państwom — pokój, a każdemu — przyjaciół i zgodę. Dlatego Pitagoras nazywał Boga jednością, a szatana — dwoistością i mnogością, w której chce widzieć źródło wszelkiej niezgody, schyzmy, wojny, burzy i choroby.

Tak się przedstawia jedność w świetle czystego rozumu, a jeszcze większego znaczenia nabiera ona w świetle objawionej nauki Chrystusa. Tu Jeden Bóg, chociaż w Trzech Osobach, jest Stwórcą, powołującym wielość do bytu. Tu jedna Prawda, jedno Dobro i Piękno. Tu jeden Kościół, jednoczący w sobie wszystkie narody świata, a w kościele jedno prawo i jedna wola Boża, której stróżem jest jeden nieomylny nauczyciel najwyższy. Tu jeden dla wszystkich cel, wskazany przez Mistrza z Nazaretu: „Marto, Marto, troszczysz się i frasujesz około bardzo wiela: ale jednego potrzeba" (Łuk. 10, 41—2). Tu jeden testament tegoż Mistrza, który przed śmiercią swoją wypowiedział go w arcykapłańskiej modlitwie: „Aby wszyscy byli jedno, jak ty Ojcze we mnie, a ja w Tobie: aby i oni w nas jedno byli... aby byli jedno, jako i my jedno jesteśmy" (Jan 17, 21 — 22).

Jedność tedy zarówno w świetle rozumu, jak i w świetle objawienia występuje jako naczelna zasada życia, jako główny cel jednostki i społeczeństwa: jednolitość w postępowaniu każdego z członków, zmierzających do celu wspólnego wszystkim.

Jeżeli teraz oderwiemy się od abstrakcyjnego rozważania i spojrzymy na twardą rzeczywistość, spostrzeżemy, iż Mickiewicz miał słuszność, gdyż istotnie „ludzie o wszystkiem myślą, prócz tej jednej rzeczy". Niema jednolitości w postępowaniu poszczególnych ludzi, a wskutek tego braku jedności w społeczeństwie, narodzie i państwie. życie nie ma stylu, brak w niem wewnętrznej stałości i prawidłowości, nie biegnie ono drogą prostą, lecz wciąż zygzakowatą i przerywaną, przystosowującą się do chwilowych warunków i nastrojów otoczenia, które są wszędzie bardzo fragmentaryczne i zmienne. Na każdym kroku spostrzegamy skarłowacenie charakterów, wyrażające się w umiejętnem mydłkowaniu, uważanem przez wielu za dogmat mądrości życiowej. Wszędzie spotykamy takich, którzy bezczelnie kłamią, płaszczą się i pochlebiają, aby tylko zaspokoić swe namiętności, mając za jedyny motyw działania ambicję, żądzę zaszczytów i szukanie ordynarnego materjalnego zysku. Po drogach i ulicach, pełza dużo płazów ludzkich, zatruwających atmosferę poranku naszej niepodległości wyziewem swego rozpasanego egoizmu, łapczywości i sprzedajności. Innym wydaje się każdy wobec otoczenia, a innym wobec samego siebie, inaczej postępuje w samotności, a zupełnie inaczej w towarzystwie i to tak dalece, że jeden z współczesnych pedagogów nazywa obecną cywilizację „obłudnem pokryciem, pod którem dzika natura człowieka płonie wiecznie piekielnym ogniem"[4]). Tak zachwalana współczesna kultura stała się tylko połyskliwą politurą, która się rozpryskuje przy pierwszem uderzeniu i pokazuje prawdziwą naturę z jej dzikiemi instynktami, niepohamowanemi żądzami, szybko

---

[3]) Rzeczpospolita.

[4]) Ribot, Heredité psychologique, str. 325 nn.

kruszącemi więzy, w jaką pozornie spowiła ją cywilizacja. Niech tylko kto zadraśnie miłość własną człowieka inteligentnego, a natychmiast wywoła w nim żądzę zemsty wbrew poczuciu sprawiedliwości i wszystkich zasad innych; niech kto potrąci o czyjąś ambicję, a natychmiast z pod płaszcza kultury wyziera zwierzęca brutalność.

Jeżeli tak jest z pokoleniem starszem, to jeszcze gorzej z młodszem. Tu *eros* zapanował wszechwładnie, a drogę jemu toruje *bachus*, niszczący zdrowie fizyczne i psychiczne młodzieży. Brak jest polotu nad poziomy, właściwego umysłom młodym, natomiast na twarzach młodzieńców widać zniechęcenie do wszystkiego, co idealne i wzniosłe, a bardzo często w młodem ciele pełzają zestarzałe i skarłowaciałe, przeżyte i przeżute występnem życiem duchy. I tu za mało stylu, jednolitości w postępowaniu, stałości i prawidłowości, wskutek czego przyszłość nie zarysowuje się zbyt barwnie. Wprawdzie tu i owdzie spotykamy szlachetne porywy młodzieży, odruchowo reagującej na bezczynność czynników odpowiedzialnych, energicznie przeciwstawiającej się rozpasaniu życiowemu, pornografji i wygodnictwu, ale są to nieliczne jednostki i bodaj czy nie głosy wołających na puszczy.

Nie wystarczy stwierdzić fakt braku jedności w życiu indywidualnem i społecznem, trzeba jeszcze odnaleźć przyczynę tego. Sporo przyczyn składa się na taki smutny objaw, jak np. niepewność jutra, niwelacja pojęć, szybka zmiana wrażeń, konieczność przystosowania się do zmieniających się wciąż warunków, nieunikniony wysiłek do napięcia uwagi w gorączkowym ruchu życia współczesnego i t. p. Wszakże te wszystkie przyczyny można łatwo usunąć, harmonizując w sobie różne ich nieraz sprzeczne pierwiastki. Najważniejszą zaś przyczyną jest panoszący się u nas alkoholizm.

2. Jednolitość postępowania człowieka zależy nietyle od zewnętrznych warunków ile od wewnętrznego świadomego nastawienia duchowego, które winno być stałe i niezmienne. W charakterze ludzkim są czynniki dwóch rodzajów: jedne z nich nadają czynom naszym jednolitości i chronią od rozdwojenia osobowego, a inne przeciwnie tę jednolitość rujnują, gdyż same są zmienne i chwiejne. Do czynników stojących na straży jednolitości i konsekwencji czynów naszych należy rozum i wola, uczucia zaś namiętności i żądze są czynnikami rujnującymi jednolitość.

Rozum poznaje i reaguje na prawdę, która się łączy z dobrem; dlatego rozum poznaje prawdziwość dobra, rozróżnia między dobrem a dobrem i wskazuje woli, które dobro jest prawdziwe. Wola wykonywa zlecenia rozumu i idzie za nim, gdyż sama nie może chcieć, póki rozum nie pozna i nie wskaże jej, czego ma chcieć. Ale wola nietylko idzie za wskazówką rozumu, lecz i sama nań wpływ wywiera: rozum nic nie pozna, jeżeli wola nie zechce, aby to poznał i do czynności poznawczej go nie poruszy. Stąd proces postępowania moralnego jest nieprzerwanym łańcuchem, którego ogniwa kolejno są aktami rozumu i woli. Czyn moralny jest rezultatem tego przenikającego się nawzajem współdziałania władz duchowych rozumu i woli.

Dusza żyje nietylko życiem własnem, przejawiającem się w aktach rozumu i woli, ale ożywia ciało z jego władzami, od których jest zależna w poznaniu. Stąd do aktów duchowych dołączają się porusze

nia natury zmysłowej, które czasami uprzedzają te akty, albo przez nie bywają wywołane. Akty woli odczute razem z poruszeniami natury zmysłowej stanowią uczucia, które wchodzą w skład czynów moralnych, opromieniają życie urokiem szczęścia i radości, zapalają do czynów wzniosłych, podtrzymują wytrwałość w pracy i kojarzą ludzi ku wspólnym zadaniom. Uczucia tedy i wchodzące w skład i ich żądze i pożądania zmysłowe są koniecznymi czynnikami naszych czynów moralnych, ale ze względu na swoją niestałość i zmienność — czynnikami przeciwnymi jedności.

„Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy" — powiada Mickiewicz, ale to serce — siedlisko uczuć — doprowadziło go do buntu przeciw Stwórcy, gdy się wyłamało z pod kierunku rozumu i woli (Improwizacja). Dlatego stoicy a poniekąd i Kant, jak również zwolennicy buddyzmu wymagają wykorzenienia wszelkich uczuć. Natomiast Epikur i jego zwolennicy przyznawali znowu za dużo miejsca uczuciom i u nich życie zmysłowe powoli zaczęło się podporządkowywać wybujałym uczuciom, nie dającym się pogodzić z potrzebami ducha. Wobec tych dwóch krańcowych rozwiązań sam zdrowy rozsądek każe nam szukać drogi pośredniej, która polega na zharmonizowaniu władz zmysłowych z duchowymi czyli na podporządkowaniu niższych wyższym. Uczucia nie mogą same kierować życiem, gdyż wówczas byłoby ono bardzo zmienne, ale też nie można ich zupełnie z życia wykreślić, gdyż byłoby to skaleczenie natury ludzkiej. Trzeba im przyznać właściwe miejsce w życiu moralnem i to miejsce istotne, aczkolwiek drugorzędne, gdy epikurejczycy widzieli w nich czynnik istotny i pierwszorzędny, a stoicy — ani istotny, ani nawet drugorzędny. Wszystkie uczucia muszą być poddane kontroli rozsądku, o ile chcemy żyć odpowiednio do godności ludzkiej.

Alkohol, jak słyszeliśmy w poprzednich referatach, wprowadzony do ustroju człowieka powoduje szereg zmian, uniemożliwiających prawie każdemu narządowi sprawowanie zwykłych czynności, ale najbardziej jego wpływowi ulega mózg, będący siedliskiem myśli. Jest to narząd bardzo obficie unaczyniony, a grube tętnice, przynoszące mózgowi dużo krwi, przynoszą mu też wraz z nią i dużo alkoholu, który powoduje odurzenie i porażenie komórek mózgowych. Odurzenie to oprócz wysuszającego i uszkodzającego protoplazmę komórek, daje się wytłumaczyć także pozbawieniem tych komórek dostatecznej ilości tlenu, co jest równoznaczne z uduszeniem. Najsilniejszemu zaś uduszeniu ulega kora mózgowa, wktórej się znajdują ośrodki nerwowe hamujące. Następstwem zaś porażenia ośrodków nerwowych hamujących jest zepsucie harmonji w działaniu wszystkich bez wyjątku narządów i zmysłów: następuje ogólne uczucie osłabienia, przygnębienia, rozleniwienia i senności. Wówczas już niema mowy o sprawnem działaniu rozumu, który powoli się przytępia, pamięć stopniowo zanika, a wola staje się niezdolna do przeciwstawienia się uczuciom i namiętnościom, które występują tak silnie, że pobudzają do czynów wręcz nierozumnych i niemoralnych. Zatruty mózg nie jest zdolny do kojarzenia wyobrażeń i podawania ich świadomości zgodnie z rzeczywistością, która się wobec tego przedstawia w świetle zupełnie fałszywym. Wola traci panowanie nad czynnościami ciała i cały aparat nerwowy jest w stanie zatrucia i nie odpowiada celowi.

Zwiększenie siły żądz i namiętności pod wpływem alkoholu, a osłabieniu rozumu i woli aż do zupełnego ich zaniku, pociąga za sobą zmienność sądów i rozumowań albo brak ich zupełny. Granica, od której rozpoczyna się ta zmienność, jest nie stan zupełnego się upicia, lecz przy spożyciu już minimalnej toksycznej dawki alkoholu, t. j. przy dziesięciu już gramach. Oczywiście różnica między zupełnie normalnym, a zmniejszonym przez alkohol poczynaniem człowieka nie ujawnia się przy takiej ilości w sposób drastyczny, — niemniej jednak już wówczas człowiek wchodzi w stan inny, zawsze o ujemnem znaczeniu. Te same dawki alkoholu nie na wszystkich działają jednakowo: u jednych występują zmiany po kieliszku, a u drugich takież, dopiero po dziesięciu kieliszkach, gdyż to zależy od odporności organizmu na działanie trucizny. W naturze działania alkoholu tkwi pożądanie coraz to nowych dawek z powodu kolejnego porażenia coraz głębszych warstw mózgu.

Alkohol tedy nawet w małych dawkach przyczynia się do zaciemnienia rozumu i osłabienia woli — czynników stojących na straży jednolitości w działaniu, — natomiast potęguje działanie żądz namiętności i uczuć, czynników z natury swojej niestałych i zmiennych, które wpływają na niestałość i zmienność naszą w działaniu, a wskutek tego i powodują postępowanie niemoralne. Dlatego walka z alkoholizmem w dużym stopniu przyczynia się do zwalczania przestępczości, chociaż jeszcze całkowicie nie może zadecydować o moralności, która zależy i od innych czynników bardziej pozytywnych. Do całkowitej moralności potrzeba jeszcze łaski, która dopiero przy naszej współpracy może spowodować całkowite uzgodnienie czynów ludzkich z prawem. Mimo to usunięcie alkoholu jest koniecznym etapem do przygotowania miejsca na działanie łaski.

Niesposób jest tutaj przytaczać statystyki z rozmaitych krajów i miast na potwierdzenie prawdziwości tego, co się powiedziało wyżej, gdyż uczynili to już moi przedmówcy w referatach wygłoszonych na tematy pokrewne. Nie mogę jednak pominąć pewnych danych, które ostatnio zebrałem na terenie wileńskim. Stwierdziłem mianowicie wzrost alkoholizmu w Wilnie razem z wzrostem przestępczości w czasie ostatnich lat paru. Według statystyki Starostwa Grodzkiego w ostatnim kwartale 1934 r., t. j. od 1 października do 31 grudnia na 2784 osoby ukarane za przestępstwa rozmaitego rodzaju alkoholicy w stanie nietrzeźwym stanowili 25,5% (711). Ku roku 1935 liczba przestępców w stanie nietrzeźwym w stosunku do liczby ogółu ukaranych przestępców powoli się zmniejsza. I tak w I kwartale na 2603 osoby ukaranych, alkoholicy w stanie nietrzeźwym stanowią 24% (625), w II kwartale—22,6% (na 2814 przestępców alkoholików było 637), w III kwartale — 20,8% (3335 i 694 w stanie nietrzeźwym) i w IV kwartale — tylko 8,86%. Natomiast w roku ubiegłym 1936 odsetek ten zaczął stale się zwiększać. W I kwartale na 3435 osób ukaranych administracyjnie za wszelkiego rodzaju wykroczenia alkoholików było 711 czyli 20,69% w II kwartale — 22,8% (na 2845 — alkoholików 651), w III kwartale 23%, a w IV kwartale 23,4% (na 3376 przestępców alkoholików—793). Ponieważ w statystyce Starostwa Grodzkiego do alkoholików zaliczani są tylko ci przestępcy, którzy wskutek zupełnego upicia się stracili przytomność, dlatego duży odsetek przestępców innej kategorji dopuścił się występku

pod wpływem alkoholu, a wobec tego odsetek alkoholików w stosunku do ogółu przestępców musiałby być znacznie powiększony. Jakkolwiek tedy dane statystyczne nie są zupełnie ścisłe, dowodzą jednak bardzo ujemnego wpływu alkoholu na moralność naszego miasta. Znamienny jest tu rok 1935, w którym liczba ukaranych za przestępstwa powoli ale stale spadała, by w roku następnym powoli znowu wzrastać. Rozmaite czynniki mogły mieć wpływ na ten objaw, ale między innymi można tłumaczyć go wpływem kursu alkoholowego, który się odbył w marcu r. 1935 i cieszył się wielkim powodzeniem we wszystkich warstwach społecznych. Jest to dla nas wskazówka, byśmy nie opuszczali rąk, a energicznie pracowali nad uświadomieniem mas o szkodliwości alkoholu.

Nie mam danych statystycznych z miast i miasteczek, ze wsi i osiedli naszego kraju, ale z komunikatów prasy można wnioskować, że tam jest znacznie gorzej, niż w mieście. Raz po raz słyszymy o najohydniejszych występkach, spełnionych w stanie nietrzeźwym — o mordach, gwałtach, a nawet ojcobójstwach, których się dopuszczają zwolennicy alkoholu. Ponoć więzienia nasze są przepełnione zbrodniarzami nietylko z miast ale i ze wsi, a sądy nie mogą nadążyć w rozpatrywaniu spraw karnych, napływających w niepomiernej pod wpływem alkoholu, ilości. Rzeczy te winny każdego z nas nietylko przerazić, ale pobudzić do energicznego czynu, by ratować naszych bliźnich, ratować zagrożoną moralność w narodzie, a przez to samo i ratować Ojczyznę. Musimy usilnie pracować nad stworzeniem w niej jedności, którą przedewszystkiem rozsadza alkohol, nad stworzeniem jedności w społeczeństwie i w poszczególnej jednostce, gdyż tylko jednolite zgodne z przepisami prawa postępowanie wytwarza moralność indywidualną i społeczną, a przez to samo przyczynia się do możliwego uszczęśliwienia. Środkiem ku temu jest między innymi zupełna abstynencja ogółu, a przedewszystkiem kierowników społecznych i pracowników na polu trzeźwości. „Jednej woli jednemu trzeba przedsięwzięciu, lepszy jest jeden wódz głupi, niż mądrych dziesięciu". (A. Mickiewicz).

Wilno *Ks. Dr. M. Sopoćko.*

O WYTYCZNE WALKI Z ALKOHOLIZMEM W POLSCE.

Dwie prace omawiające stan walki z alkoholizmem w Szwajcarii a opublikowane w roku ubiegłym przez Feliksa *Kaczanowskiego* [1]) i Ludwika *Bambauera* [2]) naświetlają rzecz dostatecznie, ażeby pokusić się o wyciągnięcie z zaofiarowanego przez autorów tych materjału kon-

---

[1]) *F. Kaczanowski:* Walka z alkoholizmem w Szwajcarii. (Trzeźwość Nr. 7—8—9—10—11 r. 1936).

[2]) *L. Bambauer:* Współczesny stan opieki nad alkoholikami w Szwajcarii. (Higiena Psychiczna Nr. 1—3 r. 1936).

kretnych wniosków dla zadań, które w tym względzie spełnić mamy na ziemi rodzimej. Nie należy bynajmniej sądzić, że to, co w zakresie walki z alkoholizmem zostało już dokonane w Szwajcarji, ma dla nas być wzorem, który powinniśmy przeszczepić na grunt polski bez zastrzeżeń. Jednakże materjał szwajcarski posłużyć nam może za pierwszorzędny temat dyskusyjny przy poszukiwaniu konkretnych polskich projektów, ponieważ właśnie Szwajcarja jest jednym z tych krajów, gdzie zarówno konsumcja alkoholu we wszelkich jej postaciach jak i jej zgubne skutki, a wreszcie z drugiej strony stan antyalkoholowego wyposażenia, uzbrojenia i uświadomienia społecznego jest prawie rekordowy. W Szwajcarji przypada 7,2 litra alkoholu na każdego mieszkańca, licząc w tym nawet niemowlęta i starców. *Kaczanowski* cytuje, że w Szwajcarji przypada 1 punkt sprzedaży alkoholu na 100 mieszkańców, podczas gdy np. w Szwecji 1 restauracja przypada na 2.276 mieszkańców. Na 100.000 mieszkańców śmiertelnych wypadków spowodowanych alkoholem było w Szwajcarji 11,5, podczas gdy w Danji 0,09.

W Szwajcarji prawie każdy trzeci chory oddawany na kurację do szpitala dla obłąkanych zawdzięcza swą chorobę psychiczną nadużywaniu alkoholu (ściślej 31% w r. 1929), a ilość przyjęć osobników z chorobami psychicznemi pozostającemi w pośrednim i bezpośrednim związku z nadużyciem tego nałogu łącznie sięga aż 50% ogółu przyjęć do wszystkich zakładów psychjatrycznych. Dla porównania warto przytoczyć, że w Polsce ilość przyjęć alkoholików wynosi 1,27 — 2,86% wszystkich przyjęć. Nie należy jednak wyciągać stąd nazbyt pochopnie wniosków pocieszających dla Polski, stan bowiem opieki społecznej i psychjatrycznej w porównaniu ze Szwajcarją jest u nas nadal bardzo opłakany i pociąga za sobą brak możności przyjęcia szeregu osób wymagających opieki zakładu psychjatrycznego, a stąd również i brak możności zarejestrowania tych wszystkich alkoholików, którzy tej opieki wymagają.

Powiedziałem już, że wysoki stopień spustoszenia, jakie sieje w Szwajcarji alkohol, wywołał tam — jako reakcję — świadomą i dobrze zorganizowaną akcję społeczną, zdążającą ku zwalczaniu tej klęski. To też widzimy, że właśnie tam, w Szwajcarji, sieć charytatywnych społeczno-państwowych urządzeń stoi dziś na niedoścignionym wprost dla nas poziomie.

Przyjmując, że czytelnik zapoznał się z dwoma na wstępie zacytowanymi artykułami, naświetlającymi stan walki z alkoholizmem w Szwajcarji, a przynajmniej z jednym z nich, będę się starał unikać powtarzania materjału tam zawartego i w pracy swej przejdę do zagadnienia: jakie *specjalne wymagania* stawiają nam specyficzne warunki polskie, które sprawiają, że jedne spomiędzy licznych w tym względzie wzorów zachodnich należy zmodyfikować, inne uzupełnić, a niektóre wręcz zarzucić,

Szwajcarja jest krajem wysokiej kultury, zarówno gospodarczej jak umysłowej. Kantonalny ustrój jest niejako skarbnicą obywatelskich swobód, a zarazem kolebką indywidualnej inicjatywy i społecznych eksperymentów. Tymczasem państwo polskie, znajdujące się prawie na rubieży kultury Zachodu i Wschodu — Europy i Azji, nie może dziś jeszcze liczyć wiele na społeczne i państwowe wyrobienie obywatel..

Stąd — zdawałoby się — należy już wyciągnąć pierwszy konkretny wniosek, że projektując, względnie już tworząc sieć ośrodków walki z alkoholizmem u nas, nie należy liczyć *zbyt wiele* na możność zdecydowanego oparcia się w tej pracy na organizacjach charytatywnych i spontanicznej inicjatywie, lecz dużą część pracy winno wziąć na siebie *państwo*.

Zarówno w budżecie Szwajcarji, jak również Rzeczpospolitej Polskiej dochód z monopolu spirytusowego stanowi zbyt pokaźny wpływ do skarbu państwa, ażeby w rozważaniach nad *realnym planem* walki z alkoholizmem można było brać poważnie w rachubę możliwość wyrzeczenia się przez państwo w bliskiej przyszłości tych pozycji dochodowych.

Długo jeszcze będziemy świadkami tej niejako dwutorowości polityki rządu, który jednocześnie reklamuje wyroby alkoholowe i popiera dotacjami akcję walki z alkoholizmem. Stąd wniosek, że akcja walki z alkoholizmem winna iść raczej po linji jak najpożyteczniejszego wykorzystania zaofiarowanych przez państwo odsetek dochodu z monopolu (1% [1]) w Polsce — 10% w Szwajcarji) ewentl. powiększenia tych państwowych subwencji, *pozostawiając sprawę zwalczania samej instytucji monopolu spirytusowego* na później. Trzeba, ażeby państwo nabrało zaufania do organizacyj, mających za cel zwalczanie alkoholizmu w kraju, i trzeba, ażeby organizacje te, subsydjowane zresztą w dużej mierze przez państwo właśnie, nie zwracały się w swych poczynaniach *przeciw* jego programowym założeniom. Nie należy *w praktycznym planie pracy* stwarzać błędnego koła, należy zejść z gruntu nieżyciowego idealizmu i pryncypjalizmu, a od rządu nie wymagać, ażeby podjął się roli owego legendarnego smoka, który pożera własny ogon.

Rozdzielmy jasno dwie kategorje zadań i dwa zasadnicze kierunki pracy: 1) walka z *nadużywaniem* alkoholu i 2) walka z *używaniem* alkoholu.

Ad 1. W zakresie pierwszego kierunku pracy (walka z *nadużywaniem* alkoholu) możemy i powinniśmy liczyć na zdecydowane poparcie, a nawet ewentl. inicjatywę, ze strony państwa: pomoc materjalna, ustawodawcza i organizacyjna. Wszak *nadużywanie* alkoholu przez obywateli jest jawną i poważną szkodą dla całego państwa, tak że można ją postawić obok innych społecznych klęsk, jak gruźlica, choroby weneryczne, epidemje, ogólny brak higjeny i inne. To też akcja walki z alkoholizmem musi być ujęta w sprężystą sieć organizacyj obejmujących całe państwo, jeśli nie pod zarządem, to pod nadzorem państwa, tak jak np. dzieje się to obecnie w zakresie walki z gruźlicą, albo opieki nad matką i dzieckiem, skoncentrowanych w sieci ośrodków zdrowia. Jednostki stojące na czele poszczególnych ośrodków walki z alkoholizmem tworzą związek. Władze naczelne tej organizacji stanowią jedno-

---

*) Według pierwotnego brzmienia ustawy o p. monop. spir. na cele walki z alkoholizmem i leczenia alkoholików przeznacza się 1% czystych zysków monopolu. Przepis ten jednak nie był nigdy zrealizowany nie tylko w całości, ale bodaj w znaczniejszym stopniu. W r. budż. 1934/35 zysk p. m. s. wynosił (według „M. Rocznika Stat.") — 200 milj. zł. A na walkę z alkoholizmem i leczenie alkoholików wydano 260.000 zł., czyli tylko 13% 1-go %-tu czystych zysków p. m. sp.! *(przyp. Red.)*.

cześnie organ doradczy z ramienia państwa, dbają o należyte naukowe podstawy przygotowanego programu pracy; pod kierownictwem tych władz redaguje się wydawnictwo poświęcone *technice pracy* — pismo dla pracowników na polu walki z alkoholizmem. Obok wymienionego należy wydawać jeszcze pismo oraz liczne broszury o charakterze *propagandowym*, przeznaczone dla samych alkoholików.

Ad 2. W walce z używaniem alkoholu nie liczy się na pomoc państwa. Tu wolna, twórcza myśl obywatela i praca ludzi pragnących się poświęcić dla dobra bliźniego mają rozległe pole do wysiłków i zmagań. Na tym gruncie niesienia pomocy społecznej ludziom upośledzonym winno nastąpić zjednoczenie wszystkich zrzeszeń i towarzystw o pokrewnej ideologji. Na tej platformie winny się spotkać organizacje wyznaniowe i charytatywne z towarzystwami religijnie neutralnymi, które jednakże łączyć musi idea miłości bliźniego i służba społeczeństwu. Nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby związek *tego* rodzaju stowarzyszeń łączących się dla celów walki z alkoholizmem, nosił — dziś tradycją zasłużoną już owiane — imię związku „Trzeźwość" (wzgl.: Związku Trzeźwych). Tu radykalizm doktrynerski znajduje warunki do wyżycia się, tu wykrzesać może z siebie wszystkie twórcze i społecznie pożyteczne pierwiastki. Jednakże związki, o których tu mowa, nie stanowią z natury rzeczy osi planu walki z alkoholizmem w kraju — jako organizacje luźne mało karne i dlatego też w rozważaniach swych nie opieramy na nich w naszym planie tworzenia sieci organizacji, która dotarłaby do każdego zakątka, ogarnęłaby cały kraj, niosłaby społeczną pomoc ludziom upośledzonym przez alkohol w sposób planowy, naukowy i celowy.

Tak więc praca nad zagadnieniem walki z alkoholizmem w kraju popłynie dwoma różnymi korytami, z których pierwsze tylko będzie miało *konkretne zadania walki z zachorzeniami (leczenie) i zapobieganie tym zachorzeniom* (mała profilaktyka) a zadania swe ujmie przy wydatnej pomocy władz w sprężystą sieć organizacji. Zajmiemy się rozpatrzeniem dalszych konkretnych wytycznych organizacji mających za zadanie leczenie i zapobieganie *nadużywaniu* alkoholu w Polsce. Organizacja ta mogłaby nosić nazwę: Polski Związek Opieki nad Alkoholikami.

Jakież czynniki administracji państwowej i samorządowej oraz urządzeń publicznych mogą być wciągnięte do współpracy — Sądy, policja, władza sanitarna I instancji, zakłady psychjatryczne, zakłady dla alkoholików różnego typu, ośrodki zdrowia, poradnie, osiedla pracy i t. d. Zanim z kolei odpowiemy na pytanie drugie: w jaką formę ma się wylać ta współpraca owych dość różnorodnych instytucji — musimy sobie uświadomić, że *publiczna szkoda*, która wypływa z nadużywania alkoholu przez obywatela naraża dobro społeczne od trzech różnych stron:

A. Alkoholik skłonny jest do zakłócania t. zw. porządku prawnego przez naruszanie stających na straży dobra społecznego ustaw karnych, administracyjnych, instrukcji i innych społecznych norm.

B. Alkoholik naraża na uszkodzenie zdrowie swoje i swego otoczenia, obniża wydajność swej pracy i wartość swoją jako jednostki społecznej.

C. Z nadużywaniem alkoholu łączy się ściśle spadek wartości społecznych i etycznych u alkoholika; pociąga to za sobą także specjalnie smutne następstwa i dla tych wszystkich, którzy się z nim stykają, mianowicie w zakresie kształtowania się ich duchowej postawy społecznej, w zależności od przykładu i wychowawczego wpływu alkoholika, np. jako ojca, męża, opiekuna, towarzysza, kolegi.

Otóż instytucje takie, jak sądy, władze policyjne, samorządowe, urzędy bezpieczeństwa, więzienia, po części również i instytucje lecznicze, stojące pod zarządem Ministerjum Sprawiedliwości, — wszystkie mają swój zakres pracy nad alkoholikiem, przeważnie z tytułu obowiązku *stania na straży* (zakres A) *porządku prawnego.*

Wszelkie urządzenia lecznicze i zapobiegawcze, jak specjalne zakłady dla alkoholików, zakłady psychjatryczne, poradnie przeciwalkoholowe i ośrodki zdrowia oraz władze sanitarne winny zorganizować tak swoją pracę, ażeby w sposób *systematyczny leczyć i zapobiegać* szerzeniu się alkoholizmu (zakres B.).

Wreszcie drogą organizowania odczytów, wystaw, wykładów, a specjalnie przez racjonalne urządzenia w osiedlu pracy dla alkoholików osiąga się cel *psychicznej reedukacji* moralnie zaniedbanej, społecznie i obywatelsko upadłej jednostki (zakres C.).

Zakresy A, B i C pracy nad alkoholizmem powinny być *ze sobą* ściśle skoordynowane, jeśli mają naprawdę osiągnąć pożądany cel.

Ośrodki Zdrowia. (Poradnie).

Punktem wyjścia dla całokształtu pracy, zmierzającej do zwalczania nałogowego pijaństwa powinien być ośrodek zdrowia. Na innem już miejscu pozwoliłem sobie na przeprowadzenie analogji pomiędzy walką z alkoholizmem, a walką z gruźlicą, chorobami wenerycznemi. Te dwie ostatnie choroby już dawno zostały *uznane* za choroby społeczne i są w sposób *systematyczny* przez *państwo* i instytucje samorządowe zwalczane. Niebezpieczeństwo społeczne płynące z nałogowego pijaństwa nie jest mniejsze. Wystarczy przejrzeć statystyki zakładów psychjatrycznych, tudzież statystyki przestępstw dokonanych w stanie upojenia, ażeby to stwierdzić. Opieka nad alokoholikiem wymaga tworzenia sieci ośrodków analogicznie do sieci poradni przeciwgruźliczych, które dziś już znajdują się prawie w każdym miasteczku, a mieszczą się przy ośrodkach zdrowia. Otóż *poradnie dla alkoholików winny się także mieścić przy obecnych ośrodkach zdrowia.* Kierownikiem takiej poradni zawsze musi być lekarz (nie tak jak dotychczas u nas, gdzie niegdzie jeszcze zagranicą — laik); kierownik poradni winien przejść osobny kurs dokształcający z alkohologji, tak jak dotąd przechodził kurs z zakresu phtyzjologji, opieki nad matką i dzieckiem i inne. Lekarz ośrodka udziela porad, zarówno z zakresu leczenia, jak i zapobiegania (Fürsorge und Vorsorge), kieruje (zależnie od przypadku) do lecznicy, zakładu psychjatrycznego wzgl. do osiedla pracy dla alkoholików, prowadzi ścisłą ewidencję w postaci kartotek wszystkich osób nadużywających alkoholu w rejonie danego ośrodka zdrowia, za pośrednictwem higienistki patroluje swój rejon, otrzymuje powiadomienia od sądów i władz bezpieczeństwa o każdem zakłóceniu przez alkoholika porządku

prawnego, utrzymuje ścisły kontakt z lekarzem powiatowym. Stacja szwajcarska obsługuje teren przeciętnie z 50 tysiącami ludności, co wypada po kilka ośrodków zdrowia na powiat, — odpowiada to u nas dzisiejszej gęstości poradni przeciwgruźliczych, zwłaszcza w zachodniej części Polski. Rzadsza sieć ośrodków byłaby niedostateczną ze względu na trudności techniczne, które uniemożliwiłyby w tym wypadku wyczerpujące spenetrowanie terenu.

Szpitale.

W Polsce obok klinik uniwersyteckich i zakładów psychjatrycznych oraz oddziałów psychjatrycznych szpitali publicznych, które leczą część alkoholików, istnieją również specjalne [1]) sanatorja, np. dla mężczyzn w Świacku, dla kobiet — w Gościejewie, oraz stacja dla narkomanów przy sanatorjum w Kościanie.

Art. 82 § 1 polskiego kodeksu karnego brzmi:

„Jeżeli czyn pozostaje w związku z nadużywaniem napojów wyskokowych, lub innych środków odurzających, sąd może zarządzić, by sprawca po ewentualnym odbyciu wymierzonej kary umieszczony został w odpowiednim zakładzie leczniczym na przeciąg 2 lat".

W wykonaniu tego artykułu Ministerjum Sprawiedliwości projektuje nadto utworzenie osobnego zakładu leczniczego dla alkoholików, gdzie alkoholik przebywałby z wyroku sądowego.

Uważać należy zatem, że szpitalny typ opieki nad alkoholikiem jest na obecne potrzeby dostatecznie u nas rozbudowany i posiada pożądaną dla sprawy dużą *skalę możliwości* umieszczenia i leczenia, *odpowiednio do przypadku* — we właściwej dla danego osobnika lecznicy. A więc postaci lżejsze i niepowikłane nałogowego pijaństwa skierowuje się do sanatorjów (alkoholicy ci częściowo nawet sami dobrowolnie zgłaszają się do lecznicy); postaci powikłane wzgl. wymagające klinicznego badania i obserwacji kieruje się do klinik, zakładów i wreszcie — alkoholików, którzy popadli w konflikt z kodeksem karnym, — tych trzeba umieszczać w szpitalach utrzymywanych przez Ministerjum Sprawiedliwości.

Obowiązujące w Polsce podstawy prawne do umieszczania nałogowych pijaków w lecznicach publicznych są te same, co dla psychicznie chorych. Ustawy są różne dla różnych zaborów; projekt specjalnej ustawy psychjatrycznej, oczekującej już od lat kilkunastu przyjęcia przez ciała ustawodawcze, w tej części brzmi:

Art. 13. F. „Osoba psychicznie chora może być mimo lub wbrew jej woli umieszczona w zakładzie psychjatrycznym, gdy tego wymaga: 1) jej stan zdrowia, 2) potrzeba leczenia i 3) dobro publiczne, — w każdym jednak wypadku przy zachowaniu przepisów, określonych ustawą niniejszą i rozporządzeniami wydanymi na podstawie tej ustawy".

„Przyjęcie osoby psychicznie chorej do psychjatrycznego zakładu może być dokonane na żądanie chorego lub jego prawnych zastępców,

---

[1]) Trudno uważać prowadzony przez nie-lekarzy zakład dla alkoholików w Tarnowskich Górach za typ szpitala i dlatego zmuszony jestem w tym miejscu go pominąć.

albo na usprawiedliwione wystąpienie krewnych, powinowatych, lub osób sprawujących faktyczną opiekę. Umieszczenie osoby chorej psychicznie w publicznym szpitalu psychjatrycznym może być także zarządzone z urzędu (art. 16)".

Zarówno projektowana ustawa, jak również obowiązujące dziś przepisy (różne w różnych b. zaborach) w zasadzie są ze sobą zgodne w tem, że dopuszczają możliwość umieszczenia w zakładzie psychjatrycznym osoby psychicznie chorej wbrew jej woli, jeśli tylko interes chorego i interes publiczny tego wymagają.

Zbędna jest osobna ustawa, która miałaby omawiać warunki przymusowego *umieszczania* w zamkniętych zakładach leczniczych *alkoholików*. Ten przywilej odrębności nie miałby poważnego uzasadnienia. Każdy bowiem osobnik, który się zatruwa *chronicznie* alkoholem, *zdradza z reguły objawy zaburzeń nerwowych i psychicznych*, różne oczywiście w różnych postaciach zachorzenia, lecz zawsze takie, że stanowią one faktycznie właściwość choroby psychicznej. Polsce zatem nietyle potrzebna byłaby nowa ustawa, ile raczej *należyte uświadomienie* czynników, od których przedewszystkiem zależy umieszczanie chorych w szpitalu (władz sądowych, policyjnych i lekarskich I instancji, oraz także szerszego ogółu publiczności), że zatrucie alkoholem z lekarskiego punktu widzenia jest tak samo chorobą, jak zatrucie ołowiem, czy rozweselającym gazem. Jedynie ta okoliczność, że alkohol jest konsumowany w sposób tak bardzo powszechny, że używanie go stało się poprostu uświęconym zwyczajem, tradycją, jedynie ta okoliczność sprawia, że często czynniki, nawet specjalnie powołane do tego, aby stać na straży dobra społecznego, o tem nie pamiętają.

Powtarzam, nie jest nam potrzebna nowa ustawa, któraby pchnęła walkę z alkoholizmem na nowe, bardziej racjonalne tory, — potrzebne nam jest tylko, rzec by można, *zaktywizowanie* zaniedbania ustawowych możliwości i następnie wypracowanie mądrej tradycji postępowania, na które już dziś istniejące ustawy pozwalają. Nie trzeba więc nam specjalnego ustawodawstwa antyalkoholowego. Wystarczy należycie rozbudować opiekę społeczną, a drogą poszczególnych zarządzeń wywołać u czynników sprawujących tę opiekę nowe *antyalkoholowe ustawodawstwo* w ich pracy.

W Niemczech i Czechosłowacji przy każdym urzędzie zdrowia I instancji (u nas lekarz powiatowy) istnieje specjalna kwalifikowana siła sanitarna (Odhadnoutelka — po czesku i Fürsorgerinnen — po niemiecku), której obowiązkiem jest stała kontrola rejonu pod względem higjeny życia domowego, a więc m. in. również na okoliczność nadużywania wyskoku. Ministerjum Opieki Społecznej powinno wprowadzić i u nas te instytucje opiekunek społecznych, ażeby władza sanitarna I instancji miała możność zapobiegania w zarodku antyzdrowotnym warunkom bytu ludności miast i wsi, a następnie by możliwie wcześnie mogła zwrócić uwagę na nadużywających alkoholu, których skierowałoby się natychmiast do ośrodka wzgl. szpitala. Ministerjum Opieki Społecznej wydaje okólniki, zalecające jak należy prowadzić poradnie przeciwgruźlicze, jak sporządzać ewidencje gruźlików i t. p. Dziwić się jednak należy, dlaczego podobnych zarządzeń z góry nie mamy dotąd w przedmiocie tak groźnej społecznie klęski, jaką jest alkoholizm.

Współpraca z czynnikami porządku prawnego.

Przechodzimy do części zagadnień związanych z nałogiem pijaństwa, które ma specjalne znaczenie dla władz bezpieczeństwa i porządku prawnego. Doświadczenie sądowe uczy, że sankcje karne wymierzane alkoholikom za czyny wykraczające przeciw kodeksowi karnemu i postanowieniom administracyjnym nie osiągają swego odstraszającego skutku. Przeciwnie, t. zw. recydywiści rekrutują się *przeważnie* spomiędzy alkoholików - psychopatów. Należy więc tu szukać nowych dróg, bardziej celowych posunięć z zakresu polityki kryminalnej.

W związku z powyższem nasuwają się następujące uwagi: 1) Pożądane jest, ażeby sędzia, który rozpatruje sprawę przestępstwa, czy wykroczenia spowodowanego nadużywaniem alkoholu, miał możność nie tylko skierowywania sprawcy po ewentualnym odbyciu przez niego kary „do odpowiedniego zakładu leczniczego na przeciąg 2 lat", jak to przewiduje art. 82 § 1 naszego kodeksu karnego, lecz ażeby także w każdym przypadku, gdy osądza sprawcę czynu karalnego mającego związek z nadużywaniem alkoholu *zalecił mu z urzędu zgłoszenie się do poradni przeciwalkoholowej i od tego zgłoszenia oraz ewentualnych wyników* osiągniętych przez zabiegi lekarza odnośnego ośrodka a także ewentl. opinji tego lekarza *orzekał* o karze, karze warunkowej, jej zawieszeniu, darowaniu, uniewinnieniu i t. p.

2) Uważam zresztą, że sądy nasze nie wczuły się jeszcze dostatecznie w bogatą pod względem możliwości reedukacji i prewencji art. 54 nowego polskiego kodeksu, który nakazuje sądowi wymierzać karę, „zwracając uwagę przedewszystkiem na pobudki oraz sposób działania sprawcy i jego stosunku do pokrzywdzonego, na stopień rozwoju umysłowego i charakter sprawcy, na jego dotychczasowe życie, tudzież na jego zachowanie się po spełnieniu przestępstwa".

Otóż artykuł ten, stanowiący pomost pomiędzy przyrodą a prawem, sugeruje nam potrzebę i możliwość znalezienia w każdym indywidualnym przypadku przestępstwa *takiego środka zapobiegawczego, który najlepiej będzie skutkował*. W jednym wypadku może nim być również kara, częściej jednak skuteczniejsze będzie skierowanie sprawcy do lekarza w poradni wzgl. do odpowiedniego szpitala. Pod tym względem sądy muszą mieć większą swobodę działania niż dotychczas.

3) Dalej, zarówno sądy jak i policja winny donosić do odnośnego ośrodka zdrowia o każdym przypadku popadnięcia alkoholika w konflikt z prawem, tak, ażeby ośrodek miał ewidencje możliwie wyczerpujące wszystkich alkoholików z terenu i miał możność śledzenia zachowania się danego osobnika od chwili popadnięcia w nałóg aż do śmierci.

W Niemczech władze policyjne prócz funduszów na bezpieczeństwo posiadają jeszcze *fundusz specjalny na opiekę społeczną*. Z tych funduszów czerpie się pieniądze na ewentualne udzielanie zapomóg dla alkoholików i włóczęgów w wypadku, gdy istnieje możliwość stworzenia dla nich trwałych warsztatów pracy wzgl. innych zajęć. Sądzę, że prawodawstwo niemieckie pod tym względem bardzo znacznie zdystansowało swego wschodniego sąsiada, doceniając wagę czynnika *zapobiegania naruszaniu* porządku prawnego. Przykład ten godny jest naśladowania.

Skoro już mowa o policji, to do niej odnosi się częściowo to, co powiedziałem o sądach. Każdy pijak zatrzymany przez przedstawiciela bezpieczeństwa nie tylko ma być doraźnie unieszkodliwiony przez to, że prześpi się na posterunku, lecz *powinien otrzymać również polecenie stawienia się w przychodni przeciwalkoholowej i przestrogę surową*, że w razie powtórzenia się przewinienia wystąpi się z wnioskiem o skierowanie go do zamkniętego szpitala.

Osiedla Pracy.

Jeśli zarówno sędzia, jak przedstawiciel porządku publicznego, a także lekarz w postępowaniu swym w stosunku do alkoholika doceniają między innymi *wagę czynnika wychowawczego*, potrzebę podniesienia poziomu jego myśli i odczuwań etycznych i społecznych, to osiedle pracy dla alkoholików projektowane na wzór tych, które zostały opisane w monografji *Kaczanowskiego*, a specjalnie *Bambauera*, mają ten cel przede wszystkiem na względzie.

Tu stawia się nałogowca w środowisko, które mu stale — dzień w dzień — przez cały rok, czasem dłużej, podsuwa sugestję trzeźwości i odwraca od nałogu. Idea trzeźwości przenika tu powoli w całodzienny tryb jego życia, uczy pracować i bawić się bez trunków. Warunkiem zasadniczym prawidłowego funkcjonowania osiedli jest wysoki moralny autorytet głowy domu osiedla pracy — *familijny charakter* samego osiedla. Tu bowiem przechodzi alkoholik nie tylko szkołę, jak żyć i pracować bez używki, lecz nadto winien tu *odzyskać na nowo* utracony w latach pijaństwa moralno-uczuciowy stosunek do otoczenia i społeczeństwa, wzmocnić rozluźnione hamulce etyczne i zdobyć nową życiową postawę, która umożliwi mu żyć w społeczeństwie i być mu nadto pożytecznym.

Towarzystwa abstynenckie.

Doświadczenie wykazało, że niebezpieczeństwo powrotu do nałogu jest dla alkoholików zawsze wielkie, jednakże *nastawienie bojowe* przeciw używaniu alk. np. drogą zapisania się do towarzystwa abstynentów i aktywnej w nim współpracy, zmniejsza w znacznej mierze niebezpieczeństwo powrotu do nałogu.

Dlatego też przy każdym gospodarczym osiedlu dla alkoholików, które powinno być szkołą życia i charakteru, tworzyć należy towarzystwo abstynentów składające się ze wszystkich obecnych członków osiedla pracy, oraz wszystkich tych, którzy przebywali w tym osiedlu od dnia jego założenia.

Zadaniem towarzystwa jest zdecydowane krzewienie i szerzeni idei trzeźwości, wzajemne wspomaganie się członków towarzystwa i ich rodzin, np. pośrednictwo w poszukiwaniu pracy, pomoc prawna, pośredniczenie pomiędzy władzami i społeczeństwem i t. p.

Osiedla pracy winny pod względem gospodarczym stanowić odrębną jednostkę. Wszystkie dotąd znane mi osiedla takie miały charakter rolniczy, jednak teoretycznie możnaby wyobrazić sobie również analogiczne osiedla rzemieślnicze różnego typu, zakładane po to chociażby,

ażeby kwalifikowany rzemieślnik-alkoholik mógł ewentualnie pracować w zakresie tego zawodu, który mu bardziej odpowiada. Osiedla pracy tworzymy po 1 na województwo. Kierownik, gospodarz wzgl., jak w Szwajcarji się mówi „ojciec“ takiego osiedla, jest zarazem przewodniczącym lokalnego towarzystwa abstynenckiego.

Jakkolwiek uwzględniając warunki rodzinne wypowiadam się stanowczo za tym, aby w tworzeniu całej sieci organizacji przeciwalkoholowych odegrały czynniki rządowe kierowniczą rolę, to jednakże w zakresie tworzenia ośrodków pracy jest nawet wskazane przyciąganie niektórych organizacji mających za *specjalne* zadanie służenie bliźnim i pielęgnowanie cnót wypisanych na sztandarze danej organizacji charytatywnej, czy religijnej. Współpracę tych organizacyj, które mogą podźwignąć alkoholika z upadku, uważam tu za rzecz bardzo celową i wskazaną, ponieważ w zakresie osiedli pracy dla alkoholików kładzie się *specjalny* nacisk na wychowanie danego osobnika. Otóż argumenty umoralniające i wychowawcze będą tym bardziej przekonywujące dla danych osobników, jeśli stanowić będą część składową programu organizacji, do której dzięki swemu usposobieniu dany osobnik się skłania. Zawsze jednak obok pewnej ilości osiedli różnych towarzystw i zrzeszeń społecznych pozostać musi, jako szkielet akcji przeciwalkoholowej przynajmniej po jednym na województwo publicznym osiedlu pracy, liczącym po 40—50 osób każde.

Do osiedli kieruje się osobników, co do których lekarz przychodni orzekł, że ich stan zaawansowania w nałogu posunął się tak daleko, że porady udzielane w przychodni i cały arsenał odstraszających argumentów pochodzących od strony władz bezpieczeństwa, wzgl. sądowych, okazałby się niewystarczającym, a których jednakże stan psychiczny jest tego rodzaju, że umieszczenie *przymusowe* w zamkniętym zakładzie psychjatrycznym, lub dobrowolne w sanatorjum, nie jest potrzebne. Innymi słowy w programie leczenia w danym przypadku kładzie lekarz nacisk na czynnik wychowawczy.

Osiedla pracy utrzymują się same. Osobnik skierowany do osiedla nie jest w zasadzie całkowicie niezdolny do pracy, i dlatego np. ubezpieczalnia społeczna, kierując do osiedla swego członka, opłaca tylko ⅓ utrzymania. Dalszą ⅓ tych kosztów winien *zarobić* swą pracą alkoholik, resztę pokrywa się z subwencji państwowych, pochodzących z odsetek zysku monopolu spirytusowego.

Obowiązek zapłacenia choć w części za swe utrzymanie jest ważnym czynnikiem pobudzającym alkoholika do stopniowego wyrabiania w sobie *poczucia odpowiedzialności i aktywności społecznej.*

Wreszcie zaznaczyć muszę, że byłbym zdecydowanym *przeciwnikiem* tworzenia zarówno ośrodków zdrowia jak i osiedli pracy *w oparciu o istniejące* na terenie kraju *zakłady psychjatryczne,* kliniki wzgl. oddziały psychjatryczne zakładów publicznych. Jedynie dopuszczalnym byłoby ewentualne związanie tych instytucji z sanatorjum dla alkoholików tam, gdzie to możliwe. Zakład dla psychicznie chorych zawsze będzie działał na alkoholika w sposób odstraszający. Tymczasem nam chodzi o to, by ośrodek czy osiedle przyciągało do siebie wszystkich okolicznych nałogowców-alkoholików.

Na walkę z alkoholizmem w Polsce, według naszkicowanego tu

programu, nie trzeba będzie ponosić większych materialnych wydatków, albowiem cały szereg urządzeń do tego potrzebnych już istnieje, wystarcza tylko tchnąć w nie nowego orzeźwiającego ducha pracy. Inne urządzenia, których jeszcze niema (osiedla pracy), winny się okazać samowystarczalne. Wreszcie ośrodki zdrowia są utrzymywane przez samorządy i powinny być nadal przez nie utrzymywane, a więc również nawet wtedy, gdy się je rozszerzy o nowy dział społeczno-lekarskiej pomocy — poradnię dla alkoholików.

Subwencja Skarbu Państwa z funduszów 1%—10% czystego zysku ze sprzedaży wyrobów monopolu spirytusowego powinna wystarczyć na realizację wszystkich wyszczególnionych w niniejszej pracy urządzeń.

Tak oto utworzone w całym kraju ośrodki zdrowia z obowiązkową w nich przychodnią i poradnią dla alkoholików z jednej strony, a szpitale i osiedla pracy z drugiej przy ścisłej łączności z władzami bezpieczeństwa i porządku, oraz władzami sanitarnemi skuć powinny nasz kraj w żelazną sieć urządzeń, które stworzą zdrowe warunki racjonalnego i systematycznego zwalczania tej strasznej choroby społecznej, która tak bardzo zagraża skarbom współczesnej kultury i ewolucji ludzkiego ducha *).

Dr. Oskar Bielawski,
Dyrektor Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie.

CO ROBIĆ?

Na zjazdach naszych członków, na zebraniach zwolenników, w dyskusjach spotykamy się ze zdaniem, że praca nasza — propagatorów trzeźwości jest niezwykle trudną, głównie dlatego, że nie mamy jeszcze ustalonego programu pracy, że rozumiemy szkodliwość, a nawet niebezpieczeństwo związane ze spożywaniem alkoholu, ale nie mamy możności złemu zaradzić.

W pierwszych dniach maja odbędzie się zjazd delegatów naszego Towarzystwa, na tym zjeździe należałoby na ten temat przeprowadzić dyskusję, obecny artykuł ma na celu tę dyskusję otworzyć.

Przedewszystkiem więc zastanówmy się nad tem, co my dotychczas robimy:

1) organizujemy się, to znaczy staramy się zdobyć członków towarzystwa, przegrupować ich w koła i utrzymywać związek pomiędzy kołami, a centralą.

2) Wydajemy pismo, książki, broszury, plakaty, ulotki i utrzymujemy składnicę wydawnictw antyalkoholowych.

---

*) Artykuł p. Dyr. Bielawskiego umieszczamy jako dyskusyjny. Zagadnienie wynalezienia trafnych metod zwalczania wielkich klęsk społecznych jak alkoholizm, lub choroby weneryczne — dotychczas nie zostało rozwiązane w całej pełni. W danym wypadku zachodzi poważna różnica w zapatrywaniu na niektóre podstawy i zasady w walce z alkoholizmem, uważane przez nas za nieulegające wątpliwości.

(Przyp. Red.).

3) Prowadzimy kursy w Warszawie, Krakowie i innych miastach dla wyszkolenia działaczy antyalkoholowych.

4) Organizujemy w poszczególnych miastach, a przedewszystkiem w Warszawie odczyty na tematy trzeźwościowe i inne ogólno kształcące-kulturalne, łącząc te odczyty z występami artystycznymi i zabawami towarzyskiemi, ułatwiając naszym działaczom wpływ na szersze warstwy społeczeństwa i dostarczając jednocześnie możności spędzenia czasu w kulturalnem środowisku, odciągając od kart i kieliszka.

5) Współdziałamy z lecznictwem antyalkoholowem; skierowując jednostki, potrzebujące leczenia do przychodni antyalkoholowych i do zakładów leczniczych w Świacku i Gościejewie. Sami zaś, korzystając z subwencji Ministerjum Opieki Społecznej, prowadzimy 2 takie przychodnie: w Warszawie i Kowlu.

6) Organizujemy opiekę nad jednostkami które odbyły leczenie, a w dalszym ciągu potrzebują opieki i podtrzymywania, aby nie wpaść z powrotem pod wpływ zgubnego nałogu.

7) Organizujemy co rok tygodnie trzeźwości, podczas których prowadzimy ożywioną działalność odczytową, urządzamy wystawy połączone z wykładami i wogóle staramy się popularyzować zasady trzeźwości.

8) Organizujemy dla młodzieży świetlice, w których mamy czytelnie, specjalne zebrania dyskusyjne, przedstawienia teatralne, orkiestry, chóry, sporty, wycieczki i t. p.

Tu zdaje się wyczerpałem wszystwo, co dotychczas robimy i gdyby, to wszystko było wypełnione w rozmiarach maksymalnych, to bezsprzecznie program byłby uznany może nawet za dostatecznie rozwinięty, musimy jednak przyznać, że niektóre działy są wykonane dość słabo i że nie wszystkie Koła działają dostatecznie intensywnie — a więc sama przez się wynika konieczność podtrzymania Kół mało czynnych do ożywienia pracy. W tym celu należy przedewszystkiem w każdym Kole powiększyć ilość członków, starając się zdobyć i uruchomić środowiska w danej miejscowości najwięcej wpływowe, a więc w miastach powiatowych urzędników Starostwa, zarządów samorządowych, organizacyj rolniczych, kierownictwa szkolne, instytucje dobroczynne, nawiązując najściślejszy związek z działającemi już obecnie organizacjami, jak Liga Abstynencka Kolejarzy i organizacje trzeźwościowe parafjalne i inne.

Musimy zaznaczyć, że jedynym naszym celem jest zwalczanie największej plagi społecznej, jaką jest alkoholizm i że wobec tego nie robimy żadnych różnic: ani narodowościowych, ani wyznaniowych, ani partyjnych, chcemy zszeregować wszystkich tych, kto tylko może przyczynić się do zmniejszenie klęski alkoholizmu w Polsce. żeby tę pracę ułatwić, Zarząd Główny towarzystwa postanowił organizować pierwsze zebrania w różnych powiatowych miastach własnemi siłami w tej nadziei, że rozpoczęta praca dalej będzie już prowadzona siłami miejscowemi. Pierwszą taką próbę rozpoczęliśmy w Grodzisku - Mazowieckim, przedewszystkiem dlatego, że tam sprzyjały warunki. — Ostatniego Kursu w Państwowej Szkole Higjeny wysłuchało dwóch urzędników miejscowej organizacji rolnej i przejęło się tem zagadnieniem, z ich więc inicjatywy i przy życzliwem poparciu Starosty, zorganizowaliśmy w lutym w Ty-

godniu Trzeźwości — dzień w Grodzisku, w którym odbyły się następujące trzy zebrania: 1) lekcja dla dzieci szkolnych wygłoszona przez p. Szymańskiego, 2) odczyt na zebraniu Gospodyń Wiejskich, również p. Szymański i 3) odczyt z przeźroczami Dr. Rozena dla miejscowej inteligencji. Wszystkie te odczyty były wysłuchane i przyjęte z największem zainteresowaniem wobec przepełnionych audytorjów, następnie 18 kwietnia Dr. Jasielewicz wygłosił odczyt dla młodzieży wiejskiej, na którym również było dużo osób z pomiędzy miejscowej ludności.

Jestem zdania, że tego rodzaju wypady należy organizować do wszystkich tych miejscowości, gdzie znajduje się choć kilku kursantów i gdzie teren jest przez nich przygotowany, a wszczególności tam, gdzie władze miejscowe nasze poczynania zgodzą się poprzeć. Zebrania takie muszą mieć na celu zorganizowanie miejscowego Koła, któreby już w przyszłości samo, akcję antyalkoholową prowadzić mogło.

Na zakończenie chciałbym zaznaczyć, że byłoby również pożądanem zorganizować wszystkie takie przedsiębiorstwa miejscowe, których interes osobisty wyklucza spożywanie alkoholu, a więc miejscowe kawiarnie, mleczarnie, jadłodajnie w szczególności jarskie, jak również jaknajszerzej propagować spożycie, a nawet produkcję bezalkoholowych soków owocowych. W tym celu należałoby wykształcić pewną ilość instruktorów i w tych miejscowościach, gdzie jest dużo owoców i jagód, popierać produkcję domową, a gdzie to jest możliwe, zakładać niewielkie fabryczki, ułatwiając tym ostatnim zbyt ich wyrobów.

Aleksander Iżycki.

PRZEMÓWIENIE DELEGATA NACZELNICTWA ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO, NA „AKADEMJI TRZEŹWOŚCI" W DNIU 21 LUTEGO 1937 ROKU.

Od Związku Harcerstwa Polskiego przynoszę bardzo serdeczne pozdrowienia dla wszystkich obecnych na dzisiejszej Akademji. Równocześnie w imieniu tegoż Związku Harcerstwa Polskiego, przy tej okazji, wyrażam szczerą i gorącą sympatję wszystkim Związkom abstynenckim w Polsce i abstynentom, a szczególnie tym, co są w pierwszej linji, co są w walce!

My, harcerze, wiemy to dobrze, że być abstynentem, to znaczy walczyć. Młodzież harcerska, jak zresztą i Wy, znajduje się jakby wśród rozchełstanych fal zgubnego alkoholizmu. Ta młodzież jest młoda, w dużej mierze bardzo młoda, a zatem podatna na wpływy i słaba.

Trzeba dużej odporności, samozaparcia, wytrwałości i dzielności, żeby oprzeć się pokusom i nagabywaniom. I to nie tylko oprzeć się, trzeba działać pozytywnie — innych także chronić przed nieszczęściem, — umniejszać nieszczęście. Postulat walki w akcji abstynenckiej jest tego warunkiem i koniecznością.

Stwierdzić trzeba, że alkoholizm tam się bardziej rozwija, gdzie charaktery są słabsze. Gdzie charaktery są słabsze, działanie alkoholu jest silniejsze i w swoich skutkach szkodliwsze.

Oto, dlaczego Harcerstwo Polskie w swej wychowawczej pracy

nad budowaniem w młodzieży polskiej mocnych charakterów i wychowywaniem uczciwych ludzi, od pierwszych chwil swego istnienia postulat abstynencji umieściło na swych znakach, a nieco później wstawiło go nawet do Prawa Harcerskiego.

Alkohol jest wrogiem wychowawcy, a nieszczęściem dla wychowanków. Byłoby nielogicznem, gdyby twórcy Harcerstwa nie wykluczyli kategorycznie tej trucizny z Organizacji, bo przecie ona niszczyłaby najskuteczniej ich dzieło.

Baden-Powell, twórca Skautingu, spolszczonego u nas i nazwanego Harcerstwem, respektując zasadę niestosowania zakazów w pracy wychowawczej, sam będąc abstynentem, wskazuje dla swoich skautów angielskich konieczność wstrzemięźliwości. Ale o stosunku alkoholu do Skautingu wyraża się między innymi tak: „Człowiek, który pije, albo który podlega recydywom pewnych chorób, nie może być skautem". „Człowiek, który ma zwyczaj pić piwo, wino lub wogóle napoje alkoholowe, codzień w silnych dawkach, nie przedstawia w skautowaniu najmniejszej wartości".

Z podobnych założeń w tej kwestji wyszli twórcy polskiego Harcerstwa. W listopadzie 1911 roku, to jest w niespełna rok od powstania pierwszej drużyny skautowej w Polsce, Naczelna Komenda Skautowa wydała rozkaz: „Wobec niezdawania sobie przez wszystkich sprawy, czy tylko na ćwiczeniach nie wolno palić i pić, Naczelna Komenda Skautowa ogłasza, że skaut nie może nigdy (ani na ćwiczeniach, ani poza niemi) palić papierosów, ani pić napojów alkoholowych. Skaut, któryby nie stosował się do tego, musi być z Organizacji wykluczony".

Najwybitniejszy współtwórca Harcerstwa Polskiego pisał w 1913 roku: „Przestrzeganie abstynencji od alkoholu i tytoniu uważam za jeden z koniecznych warunków rozwoju skautostwa w Polsce".

Od tamtych czasów nic się nie zmieniło, tylko stanowisko Harcerstwa w tej sprawie wzmocniło się. Wyrazem tego jest jedna z uchwał Zjazdu Delegatów i Delegatek Starszego Harcerstwa (Starsze Harcerstwo jest w sprawie abstynencji szczególnie zainteresowane) nad jeziorem Narocz w sierpniu 1936 roku:

„Postulat abstynencji od alkoholu i tytoniu nie ogranicza się jedynie do indywidualnego jej przestrzegania, ale nakłada obowiązek bezwzględnej walki na terenie społeczeństwa z alkoholizmem, nikotynizmem, narkomanją i innymi nałogami".

Nie słyszy się wiele na zewnątrz o kwestji abstynencji w Harcerstwie — jest to sprawa dla nas tak oczywista, że o niej mało nawet mówimy.

Lecz to nie wyczerpuje problemu, bo traci się na dynamice akcji abstynenckiej nie tylko w Organizacji, lecz przez Organizację i poza nią.

Drodzy Państwo! Przyszedłem tutaj, aby powiedzieć, że jesteśmy z Wami i, że konieczną jest ściślejsza współpraca między nami dla osiągania większych wyników we wspólnej zbożnej pracy.

Jeżeli mam złożyć Państwu życzenia, to w pierwszym rzędzie życzę, abyście w swej pracy młodzież przedewszystkiem mieli na względzie, — bez różnicy, wszystką polską młodzież. Niechaj praca Wasza będzie wydajną, a zarazem sugestywną dla całego narodu.

Wdrażajmy w świadomość narodu, że każda flaszka wódki, jest to znak niebezpieczeństwa, a każde nadużycie alkoholu — jest aktem deprawacji narodu, a inaczej rzecz tłumacząc, — krokiem do słabości narodu i państwa.

Harcmistrz Wojciech Kołaczek.

O PRZYCZYNACH MAŁEJ POPULARNOŚCI IDEI ABSTYNENCKIEJ POŚRÓD LEKARZY POLSKICH, ZWŁASZCZA POŚRÓD LEKARZY MŁODSZEGO POKOLENIA.

(Streszczenie referatu, przeznaczonego na doroczny Zjazd Lekarzy Abstynentów w Warszawie dn. 2—3.V. 37).

Zastarzałość obyczaju pijackiego w Polsce, sięgającego jeszcze czasów Chrobrego, silne wpływy obyczajów sąsiada zachodniego sprawiły, że obyczaj pijacki w Polsce stał się tym „niewidzialnym eterem", w którym tkwi całe nasze życie społeczne, czemś, co się samo przez się rozumie i dyskusji nie podlega.

(Za przykład klasyczny takiego stanu rzeczy można przytoczyć audycję radjową dla wsi wygłoszoną w dniu 29.III. 1937 r. o godz. 15 m. 30 pod tytułem „Dużo siły, krzepkiej mocy po radosnej Wielkanocy", której treścią było nawoływanie do jedności w narodzie po użyciu alkoholu).

Tu tkwi główna przyczyna, że propagatorzy idei narodowej w Polsce, gdzie idea ta została najwcześniej w sposób nowożytny sformułowana, nie doceniają destrukcyjnego działania alkoholu na życie społeczne narodu. Młode pokolenie inteligencji polskiej, w przeważającej masie kroczące pod sztandarem narodowym, na skutek braku nauczania przeciwalkoholowego, nie docenia również znaczenia ruchu abstynenckiego dla tężyzny narodu.

Młodzi medycy, rozpoczynający praktykę lekarską, jako odłam młodzieży narodowej, są przeważnie obojętni dla ruchu abstynenckiego, starsze pokolenie lekarzy, wychowane na teorji alkoholu, jako „płynnego mięsa", tylko w nielicznych przedstawicielach ma zwolenników ruchu abstynenckiego.

Skoncentrowanie dobrodziejstw kultury po wielkich miastach, utrudnienie wsi na skutek wiejskiej nędzy, wypływającej z wadliwego systemu podatkowego — dostępu do wiedzy i ułatwień życia, jakie przynosi z sobą kultura, sprawia, że młode pokolenie medyków trzyma się kurczowo wielkich miast i boi się „iść pomiędzy lud ukochany, by dzielić z nim trudy i znoje".

A w wielkim mieście, gdzie tyle pokus na każdym kroku i gdzie presja obyczaju pijackiego jest tak wielka, trzeba zdobyć się na bohaterstwo, by wyłamać się z pośród panującego obyczaju, a na to niewielu zdobyć się może, a jednak coraz więcej zdobywać się będzie musiało.

8.IV. 1937. Drohiczyn Poleski.

Dr. Aleksander Kuropatwiński.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(M. Dąbrowska, W. Kowalski, J. Kurek, J. Dąbrowski, C. Lombardi).

Bywają książki pisane pod wpływem bieżącej rzeczywistości, a wynikające z wewnętrznego kategorycznego nakazu wypowiedzenia swego stanowiska, swego najgłębszego przekonania wobec dokonywującego się w naszych oczach jakiegoś doniosłego procesu. Musimy zabrać głos poprostu dlatego, że domaga się tego nasze poczucie obywatelskie, nasza rozbudzona odpowiedzialność za to, co się wokół dzieje. Jest to poniekąd zbliżone uczucie do tego, które wkładało rycerzom broń do ręki w imię obrony zagrożonego kraju. Wówczas nie można było pozostawać w domu, obecnie dla niektórych niepodobieństwem się staje — milczenie. Słowo drukowane ma tą władzę, że dokumentuje żywy stosunek piszącego do życia, jest poszerzeniem osobowości jego, a jednocześnie zajęciem pewnego określonego stanowiska w szeregu bratnim, łączącym ludzi spod jednego znaku. Dlatego to tak niezwykle bujnie rozrasta się literatura publicystyczna i wszelakie jej rodzaje, o szerokich horyzontach społecznych, indywidualnie zabarwiona idejowym kierunkiem swych autorów. Są to książki wypływające z głębin rozbudzonego sumienia, z zaostrzania się coraz to czujniejszej i bystrzejszej myśli ludzkiej, która pragnie za wszelką cenę brać udział w przełomowym naszym okresie.

A jeżeli książkę taką napisze artysta, jeżeli, oderwie się na chwilę od swej twórczości literackiej, da czytelnikom własny pogląd na współczesny bieg życia, tak nas wszystkich interesujący i bliski, to wówczas nabiera ona specjalnego znaczenia, ma swoją wymowę odrębną i znamienną.

Tak się rzecz ma ze świeżo wyszłą książką Marji Dąbrowskiej, „Rozdroże“. [1]). Podziwiamy wszyscy jej niezwykle piękne „Noce i Dnie“. Artystyczne wartości Marji Dąbrowskiej w odmalowaniu psychologji pokoleń tak bliskich nam, jeżeli chodzi o czas, a tak zasadniczo odmiennych jeśli chodzi o psychikę, — jej zupełnie swoisty talent w ujmowaniu szarego, przeciętnego człowieka, który zanurzony po uszy w przeciętnej rzeczywistości umie być *jedynym* w typie, umie zachować swą indywidualność od początku do końca na poziomie tego ideału życiowego, od którego rozpoczął w młodości swój lot, gdyż posiada w duszy silny, mocny pion moralny — jej przykuwające nastroje wnętrz mieszkań ludzkich, wywołują tak plastyczne wrażenia, że czytający jest nimi osaczony, żyje w nich i czuje ich tętno — są nam wszystkim dobrze znane. A teraz ukazała się nam poniekąd nowa Dąbrowska, a raczej inna strona tej samej bogatej i twórczej indywidulności. Ukazał się nam człowiek o boleśnie zatroskanych, smutnych, a mądrych oczach, patrzący w otchłań dzisiejszego chaosu, w najtragiczniejsze zagadki spraw realnych, od rozwiązania których zależy życie miljonów obywateli naszego państwa. Z książek o przeszłości naszej, z dokumentów zbieranych przez innych, oraz z materjału dostarczonego przez teraźniejszość, dała Dąbrowska świadectwo prawdy swego serca i swych rozmyślań nad

---

[1]) Marja Dąbrowska: „Rozdroże“. Warszawa. Wyd. Mortkowicza, str. 206 37 r.

dolą chłopa polskiego, dała wyraz społecznemu czynnikowi, który, mam wrażenie, że acz nie w takiej formie, lecz we wszystkich jej artystycznych pracach tętnił i żył. Kraj nasz stoi na rozdrożu. Z tego rozdroża na gościniec równy i pewny wywieść nas może tylko nasza własna, pospólna dobra wola, ujęta w karby realnego czynu, który, oby tylko nie przyszedł za późno, bo u nas: „Złem była więc raczej późność reform, przychodzących już po ostatnim dzwonku. A nadewszystko złem była ich ułamkowość i chwiejność. Nigdy nie umiano zrobić wyboru, ani powziąć nieugiętych postanowień. Robiono stale jeden krok naprzód, a dwa wstecz. Rząd i państwo polskie bały się panicznie szlachty, a bały się i chłopów. Straszak rzezi, podobnie, jak dziś straszak bolszewizmu, hamował wielki twórczy rozmach społeczny, choć wszędzie, gdzie dokonano lokalnych, prywatnych reform chłopi zachowywali się jaknajspokojniej, najbardziej obywatelsko. Po kątach zaś tego niezdecydowania tułała się irracjonalna wiara w jakiś tajemniczy talizman, ukryty w masie szlacheckiej, w to jakieś „anielstwo w czerepie rubasznym“, które się w końcu ujawni i zatryumfuje. Wierze tej równy był brak wiary w chłopa, zawszonego i rozpitego nędzarza, brak wiary w to, że od losu tego nędzarza zależy nie już siła i niezależność, ale wręcz sam byt Polski“.

Nie poruszam na tem miejscu samego zagadnienia reformy rolnej, któremu poświęcona jest cała książka, lecz chodzi mi o podkreślenie ważności jej z racji przewodniej idei, której służyć pragnie i z której rodowód swój wzięła, z racji ducha jej, którym pragnie ożywić każdego z nas, bo on to jest faktycznie osnową i fundamentem każdej reformy o ile mamy rzetelne pragnienie jej przeprowadzenia i zrozumienie konieczności jej natychmiastowego realizowania. Duchem tym jest humanitarne, spokojne, rzeczowe, a jednocześnie nieustępliwe, stanowcze opowiedzenie się za naprawą tylowiekowej krzywdy, która lud polski dręczyła i o nadanie mu wreszcie warunków, w których mógłby powstać do życia prawdziwie obywatelskiego. Pragnę jak najdobitniej podkreślić ową postawę psychiczną, którą pisarka zajęła nie tylko wobec omawianego zagadnienia, ale i wobec innych przejawów naszego życia powojennego, o „klimat“ moralny, w którym dojrzała jej osobowość i skrystalizował się taki, a nie inny światopogląd. On to nadaje tej książce piękno swoiste i tak niesłychanie wartościowe. I jeszcze jedno: Dąbrowska wierzy w słuszność sprawy, której broni, a zarazem niema w niej nienawiści, niema ciasnego doktrynerstwa: „Nienawidzieć potrafię tylko uczynki i przejawy życia, które słusznie, czy niesłusznie odczuwam jako nikczemne i szkodliwe, choć i one zdaje mi się, są najczęściej tylko wynikiem nierozumu i duchowego zaćmienia“. „Usiłuję w to jeszcze wierzyć, że warstwie, która przed sądem pokoleń przegrała wszystkie atuty, pozostał atut, będący zawsze do wygrania: człowieczeństwo. Wierzę w możliwości ocknienia się pełnego dalekowidzącego człowieczeństwa w każdej warstwie narodu i wierzę, iż do ocknienia się i zatryumfowania, lub od zagubienia w sobie człowieczeństwa zależy, czy ludzie tej warstwy żywi będą pomimo utraty przywilejów, czy martwi — pomimo ich zachowania“.

W imię to właśnie, obrony człowieczeństwa, na różnych odcinkach pracy społecznej, walczą obecnie ci, którzy doceniają w całej pełni ja-

kie wartości tkwią w tym słowie. Walka z alkoholizmem to też jeden z takich odcinków, na którym inteligencja polska ratuje swój honor fatalnie w przeszłości skalany znanym powszechnie systemem propinacyjnym, rozpajającym lud wiejski i wywalcza sobie prawo do życia w nowym układzie stosunków. Boli bardzo mówić źle o przeszłości, ale jedynie prawda może nas ocalić w opinji naszej własnej i w opinji nowych pokoleń — prawda mówiona nie z nienawiścią, ale jak to czyni Dąbrowska, gdy w trosce serdecznej o przyszłość całego narodu, kreśli program ideologji, która dotyczyć powinna nie tylko ziemiaństwa, lecz zarówno tych, co zajmą jego miejsce, jak i wogóle każdego człowieka, pragnącego na tę zaszczytną nazwę zasłużyć. Oto ona:

„Idzie o możność przeżycia momentu Bogumiła Niechcica, klęczącego na polu, by doznać łaski objawienia, że nic ziemskiego, ani materjalnego nie może być dogmatem, ani wyłącznym celem życia. Idzie o uniezależnienie się duchem od kwestji posiadania, tak by zażywać go z radością, jak długo to ważniejszym sprawom nie szkodzi, a tracić je z pogodą, gdy tak z wyższej racji wypadnie. Śmiech szyderczy gotów powitać te słowa. A jednak staram się tu wyrazić tylko najgłębszą wiarę, że gdy z jakiegoś powodu nie można ocalić, lub zachować własności swych dóbr doczesnych (których powaby aż nadto umiem ocenić), to można ocalić inne dobra, daleko istotniejsze, zwane dobrami duchowemi. I z nich snuć dalsze swe życie, gdyż z nich tylko wszelkie życie powstaje. Odrzucić taką wiarę to przyjąć materjalistyczny pogląd na świat, przeciw czemu ziemiaństwo zawsze się, przynajmniej w teorji, wypowiada“.

Warstwy, którym słusznie należy się prawo do wolnego, świadomego, twórczego życia, o którym mowy, rzecz prosta, być nie może bez materjalnych, dobrze zorganizowanych warsztatów pracy zapewniających byt, muszą jednocześnie wychowywać się w promieniu wartości moralnych, muszą być silne i zdrowe psychicznie, przejąć się istotnie duchem prawdziwego postępu, to znaczy, broń Boże, nie naśladować warstw zamożnych (a w dotychczasowej swej strukturze skazanych na zagładę), w ich błędach i przywarach. Alkoholizm jako czynnik społecznej demoralizacji i społecznego rozkładu, nie może istnieć tam, gdzie się myśli o reformach przekształcających do gruntu świat przedwojenny. Każda reforma najbardziej materjalna, dotycząca zdawałoby się wyłącznie realnych stosunków ekonomicznych, opierać się musi na idei etycznego, moralnego współżycia ludzkiego, z którego krzywda czyjakolwiek ma być zupełnie eliminowana — tego rodzaju przeobrażeniom alkoholizm zawsze stanie na drodze do osiągnięcia rezultatów pożądanych, stale będzie on podniecał i wyzwalał w każdej jednostce jej egoizmy indywidualne i klasowe, które faktycznie tkwią zawsze u podstaw wszelkiego bezprawia, rządzącego bezkarnie światem.

Tak więc książka Dąbrowskiej „Rozdroże“, nie tylko mówi nam o reformie rolnej, lecz również o wieczystych i bezcennych walorach człowieczeństwa, które są czynnikami decydującymi w życiu jednostkowem i zbiorowem. W czasach obecnego roznamiętnienia i rozjątrzenia zatraca się kompletnie owa rzeczowa, spokojna, trzeźwa forma walki o ideje, a na jej miejsce panoszą się metody urągające wszelkiemu poczuciu godności ludzkiej. Bezwzględność i nietolerancyjność, owe obja-

wy powojennego zdziczenia, z którymi tak zaczynamy się oswajać, czynią, że głos równowagi, umiaru, bezstronności, a jednocześnie przemyślane wysunięcie aktualnego programu pracy nad odrodzeniem naszego życia, wysunięte w książce Dąbrowskiej, wydaje się nam specjalnie cenne i zasługujące na wyjątkowe wyróżnienie.

W swych rozmyślaniach nad sprawą wsi naszej, Dąbrowska kilkakrotnie mówi o pijaństwie. Historja propinacji w Polsce (powołuje się również na pracę Bobrzyńskiego) i połączenie jej z żądzą osiągnięcia jaknajwiększych zysków, zostały przez autorkę uwzględnione. Czytamy, że „jak dalece myślą przewodnią Anny Jabłonowskiej było nadewszystko wyciąganie największej intraty i jak względy moralne, czy społeczne małą tu grały rolę, świadczy choćby jej precezyjna metoda systematycznego rozpajania chłopów. Baranowski cytuje artykuł jej ustaw, zalecający „starać się usilnie, by ani chwili w karczmach nie brakło wódki, by tam w każdą niedzielę grała muzyka", i t. d. „Grossmann w „Strukturze społecznej i gospodarczej Księstwa Warszawskiego" powiada, że w owym czasie „piwowarstwo, karczmarstwo i gorzelnictwo reprezentowało największy przemysł krajowy", a że dochody z handlu wyrobami tego przemysłu szły z woli szlachty przez żydów, o tem i mówić nie potrzeba", „Surowiecki w „Uwagach względem poddanych w Polsce" (1809), powiada w tym samym przedmiocie: „Panowie, którzy tak mocno szkodują na pijaństwie poddanych, są najczęściej sami przyczyną tej rujnującej wady. Niemasz rodzaju dochodu, około któregoby z większą chodzili skrzętnością, gdzieby więcej używali podłych i niegodziwych sposobów, jak w propinacji. Oszusty, złodzieje, żydy są ulubionymi ich sprzymierzeńcami na złupienie ubogiego chłopa".

Wie również Dąbrowska, jak zgubnym był nałóg pijaństwa i dla samej szlachty: „W samej rzeczy — Polak umiał z godnością znosić utratę przywilejów i majątków, zabieranych mu przez wroga. Umiał z lekkomyślnością sam wyzbywać się dóbr ziemskich, dla tysiąca drobnych i złych powodów tracił świętą i umiłowaną ziemię ojców na karty, hulanki, fantazje. Oddawał ją za długi żydom i Niemcom. Dla jednego tylko celu nie chciał nigdy oddać ani piędzi ziemi — dla chłopa, sedna ojczyzny i narodu. Psychologicznie można to wszystko uzasadnić, jako rzecz „arcyludzką". Niemniej składało się na tę postawę między innemi niezmierne wypaczenie pojęć, tak o świętem prawie, jak i o świętych obowiązkach własności".

Książkę Dąbrowskiej powinien przeczytać każdy, kto interesuje się rzeczywistością naszego kraju i dba o przyszłość państwa.

*

Książka Władysława Kowalskiego [1]) „W Grzmiącej", ponieważ napisana jest przez syna fornala z jednej z takich wiosek, jakich mamy w Polsce tysiące, zasługuje na uwagę. Jest ona jednym z tych dokumentów, będących przekrojem środowiska, który zaliczyć można raczej do literatury publicystycznej, mimo, że jest podany w formie powie-

---

[1]) Władysław Kowalski: „W Grzmiącej". Warszawa 1936. Wyd. Fruchtmana, str. 365.

ści. Kowalski posiada dar narracyjnego snucia wątku na temat życia wsi, a ujawnia się to w dużej mierze w tem, że czytelnik ma pewność iż wszystko, co opowiada, jest rzeczową prawdą, podaną w sposób może nieco jednostajny, ale zrośnięty przez tę swoją monotonność z pasmem dni beznadziejnie szarych i beznadziejnie smutnych, jakie przeżywa lud, w całość autentyczną i powiedzmy od razu, ogromnie przygnębiającą,

Czytając Kowalskiego mimo woli stale wybiegałam myślą do innej książki, również z tego samego zakresu, do „Grypa szaleje w Naprawie", Jalu Kurka [1]). Pomijając już sam fakt, że Jalu Kurek ma bardzo ciekawy talent, iskrzący się niewyzyskanemi jeszcze możliwościami, i że „Grypa szaleje w Naprawie" brzmi w naszych uszach echem rozszalałych dzwonów bijących na trwogę, wieszczących światu, że dokonywa się straszna zbrodnia nad ludem mrącym z głodu i nędzy, a skargi tych dzwonów raz usłyszanej, zapomnieć już się nie da — to jeszcze książka ta ma tę przewagę nad „w Grzmiącej", że czuje się w niej bunt, czuje się, że autor wychodzi do boju z wiarą w zwycięstwo mimo beznadziejnej teraźniejszości. Kowalski zaś jako pisarz, jako odtwórca życia wiejskiego zajmuje postawę jakgdyby beznadziejnego utonięcia w sytuacji bez wyjścia. Jalu Kurek wstrząsa, przeraża, budzi tak silny oddźwięk, że książka jego prędzej czy później, spełni swe zadanie, i jak błyskawica będzie oświetlać mrok, z którego musi być wyjście w świtające jutro nowego życia. — Kowalski zaś, ma się wrażenie, że utonął w beznadziejności stosunków opisywanych i nawet nie pali się buntem, nawet nie rwie kajdanów, nawet nie wypatruje udręczonymi oczami jutrzenki. Kowalski w trudzie pisarskim nie wyszedł po za środowisko opisywane — ono go całkowicie wchłonęło i dlatego niema w tem co pisze, pewnej koniecznej perspektywy, pewnego oddalenia się od tematu opracowywanego. Zamiast czynnika bezpośredniości, który jest często momentem cennym, daje się zauważyć zwężenie pola widzenia i powstaje wrażenie kopji rzeczywistości, bez udziału twórczego ustosunkowania się doń samego pisarza. Jest coś niesamowicie ciężkiego w książce Kowalskiego — jest tak, jak gdyby zagłada powolna i nieunikniona, omotała na zawsze już naszą wieś. Chwilami chciałoby się rzec, że tak pisać nie można, że to trucizna sączy się do duszy z takiego pisania, że przecież nie o samobójstwo powolne chodzić nam powinno, lecz o ratowanie życia, o wyrwanie się z matni, o szukanie wyjścia z sytuacji pozornie bez wyjścia. Chłop jest głodny, zziębnięty, ciemny, nieufny, podejrzliwy — działa mu się i dzieje wielka krzywda, ale to nie znaczy, że już niema dlań ratunku, bo toby się równało przekreśleniu naszego bytu państwowego. Nasuwają się tu analogje ze sprawą alkoholizmu. Czyż fakt naszej pijackiej przeszłości przesądza bezapelacyjnie o naszej nieuniknionej zgubie? Czyż dlatego, żeśmy pili, mamy i nadal tkwić w marazmie bezmyślnego używania życia i brnąć nadal w niemocy biernej wegetacji? Nasze wyjątkowo opłakane stosunki wiejskie może znacznie wcześniej zaczęłyby wchodzić na normalniejsze tory naprawy, gdyby nie przeszło stuletnia niewola! A niewątpliwie nawet w warunkach naszej obecnej niepodległości, jeżeli pozwolimy so-

---

[1]) Jalu Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie". Gebethner i Wolff. 1935 str. 274.

bie na nastrój owej beznadziejności, którą przesycona jest książka Kowalskiego, to przegramy wszystkie atuty jakie mamy jeszcze mocne i pewne. Chodzi tu o to samo, o czem pisałam analizując książkę Dąbrowskiej, a mianowicie o postawę piszącego w stosunku do życia, o jego oblicze duchowe. Beznadziejność nie przystoi pisarzowi ludowemu, zwłaszcza w momencie, gdy wieś polska się organizuje, gdy wyłania z pośród siebie inteligencję, tryskającą wiarą w ostateczne zwycięstwo. Przykazaniem podstawowym winno być wystrzeganie się podszeptów apatji i bierności, z których rodzi się wszelka małość i gnuśność. Chłop nasz musi wyjść poza opłotki swego bodaj nawet najlepiej zagospodarowanego kawałka ziemi, jeżeli ma być tem do czego powołany jest w państwie, w którym stanowi 70% ludności, musi objąć kręgiem swych zainteresowań całość zagadnień państwowych, a nic bardziej nie stanie na przeszkodzie, jak owo ciasne zasklepienie się w beznadziejnej atmosferze dzisiejszego przejściowego okresu. Wierząc najmocniej, że wieś polska wyjdzie z obecnego katastrofalnego stanu mocą wysiłków całego społeczeństwa, pamiętam jednocześnie słowa Jalu Kurka, że „chłopi pili monopolówkę na umór“, oraz potwierdzenia Kowalskiego, że pijaństwo wśród chłopów i tajne gorzelnictwo, są na porządku dziennym—i coraz mocniej utwierdzam się w przeświadczeniu, jak nieustannie powinniśmy prowadzić naszą robotę abstynencką piórem, słowem i czynem, aby uświadomić ogół o wielkiem niebezpieczeństwie alkoholizmu, mogącym opóźniać i unicestwiać najszlachetniejsze poczynania. Nigdy może tak bardzo, jak obecnie nie potrzebowaliśmy trzeźwego patrzenia na rzeczywistość nas otaczającą, nigdy tak bardzo, jak obecnie nie były szkodliwe wszelkie frazesy, mydlące oczy nieistotnemi ułudami — ale jednocześnie nigdy bardziej, jak dziś potrzebujemy wiary we własne siły, zapału i ognia do pracy, by to co złe odmienić na dobre, by znaleźć wyjście z tego przełomowego punktu, przeżywanego zresztą nie tylko przez nasz naród w dobie powojennej. I właśnie teraz, kiedy się organizuje na całej naszej ziemi, we wszystkich środowskach, wielki ruch odrodzeniowy, propaganda nasza powinna docierać w najprzeróżniejszych postaciach do każdej jednostki, by ją uświadomić i do każdego zespołu, by mu wykazać na przykładach życiowych naukowo stwierdzone wyniki badań nad alkoholizmem. I zdawałoby się, że tak prostą i łatwą powinna być walka z alkoholizmem, gdyż każdy może na arenie codziennego życia obserwować to wszystko, co stanowi już zdobycz naukową samej wiedzy alkoholowej. Lecz to właśnie owa bierność natury ludzkiej, owo korne poddanie się uświęconemu tradycją obyczajowi, utrudnia pracę. Ta sama bierność, która na kartach książki Kowalskiego zda się mówić: było, jest i będzie źle. W przeciwieństwie zaś do takiego stanowiska Jalu Kurek, krzyczy również, że jest źle, ale w tym jego pełnym grozy alarmie brzmi silny dźwięk, że będzie, że musi być lepiej. W niektórych urywkach jego pracy jest wiele zgryźliwej, chłoszczącej ironji, jest wiele bólu i skargi, a przez to samo jest życie, jest niepowstrzymany pęd ku przemianom. U Kowalskiego zaś napotykamy straszny odmęt jakiejś zagłady, jakiegoś zatracenia się już na zawsze, na wieczność całą. Te dwie książki przeciwstawiają się sobie odmiennością organizacyj psychicznych swych autorów, a myśląc o jednej, mimowoli nasuwają się uwagi o drugiej. Obie trzeba znać i nad obiema się zasta-

nowiwszy, ze zdwojoną energją pracować nad otrzeźwieniem wsi polskiej, bez czego nie będzie istotnego odrodzenia kraju.

W pracy nad otrzeźwieniem wsi polskiej powinna wziąć udział inteligencja — będzie to z jej strony wkład pozytywny, rzetelny, zostanie w pewnym malutkim stopniu odkupiony wielki grzech propinacyjny. Trzeba również pamiętać że dawniej nikt nie zdawał sobie sprawy ze spustoszeń, jakie powoduje alkohol zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym—szlachta spajała chłopów, ale i sama piła bez miary. Teraz stosunki się do tego stopnia zmieniły, że młode pokolenie wiejskie, jego odłam uświadomiony i szczerze przejęty twórczą pracą nad odrodzeniem własnem, kategorycznie rozpoczęło planową i czynną walkę z alkoholizmem, przedewszystkiem przez usunięcie obyczaju picia towarzyskiego na wszelakich uroczystościach rodzinnych i zabawowych. Jest to więc robota podstawowa, realna, wypływająca całkowicie już z tego nowego ustosunkowania się do przeszłości i teraźniejszości. W oczach tej młodzieży inteligencja pijąca znajduje bardzo niekorzystną ocenę, redukującą wpływ jej do minimum i dyskwalifikującą ją do roli czynnika biernego, z którym się nie liczy. I tu znów spotykam się z Dąbrowską, apelującą do człowieczeństwa wszystkich warstw w narodzie. Jest ono poważnie na szwank narażone przedewszystkiem przez tych, którzy mają pełnię możliwości przestudjowania i przemyślenia całego kompleksu zjawisk obyczajowych, moralnych i medycznych, wynikających ze współczesnej wiedzy alkoholowej. Warstwa kulturalnie i intelektualnie stojąca na wyższym poziomie, będzie siłą rzeczy przyciągać ciekawe oczy tych, którzy szukają dla siebie pewnych wzorów, pewnego żywego przykładu, oraz pewnego sprawdzianu wartości, ku którym sami zmierzają i które się im wydają nęcące. Sposób życia warstw inteligentnych prawdopodobnie nigdy nie był tak obserwowany, jak to ma miejsce obecnie, gdy każdy pragnie osiągnąć te szczeble hierarchji społecznej, które dawniej były zgoła czemś niedostępnem. I jest rzeczą wielkiego znaczenia, co widzą ci, co szybko poczynają się orjentować w wartościach moralnych, warstw, tak zwanych, przodujących. Od tego, co się tam widzi i słyszy, zależy rola inteligencji w budowaniu przyszłości. Rola ta, jej jakość i powaga uzależnione są od poziomu etycznego i intelektualnego, na którym ustali swe życie inteligencja. Los jej, w jej ręku spoczywa.

*

Gdybyśmy książkę *Jana Dąbrowskiego* „Na Zachód od Zanzibaru“ [1]) nazwali zbiorem reportaży z zaułków nędzy i zbrodni wielkomiejskiej, gnieżdżącej się już nawet nie w suterynach i na poddaszach, ale po prostu bezdomnej, urządzającej sobie legowiska w rozwalonych ruderach, w ziemi, w śmietniskach podmiejskich — to takie rzeczowe, objektywne zaklasyfikowanie danej pracy uwydatniłoby jednocześnie pewną powierzchowność podobnej oceny. Do reportaży przywykliśmy, czytamy je stale w pismach; poniekąd są one chlebem codziennym i przestały się cieszyć żywszem zainteresowaniem publiczności. A książka Dąbrowskiego ma wartości artystyczne i społeczne dużej miary, co bynaj-

[1]) Jan Dąbrowski: „Na Zachód od Zanzibaru“, str. 247. Wyd. Przeworski. 1937.

mniej nie jest cechą każdego reportażu. Autor osiągnął może dlatego wysoką skalę pisarskiej ekspresji, że uwolnił swą pracę od wszelkich tendencyj ubocznych, oraz od dygresyj sentymentalnego roztkliwiania się nad potwornością warunków opisywanych; u niego reportaż jest obrazem ujrzanym i namalowanym z wielką siłą wymowy bezpośredniej i fascynującej. Powiedziałabym, że jest to idealny wzór, jakim winien być reportaż. Ujawnia on obok objektywizmu autora bogaty zespół ciekawych możliwości artystycznych, znajdujących swój wyraz w owej syntetycznej całości, wyrastającej na podstawie przeanalizowania danego środowiska. Pamiętajmy o tem, że obok innych, to te właśnie czynniki brały udział w powstawaniu epopei, której współczesna powieść „środowiska“ i reportaż, ale ten w najlepszym swym stylu, jest pod pewnym względem pokrewnym rodzajem twórczości. „Na Zachód od Zanzibaru“ ma swą zwartą konstrukcję narastającą z wielu drobnych, krótkich, a tem samem plastycznych, skondensowanych opowieści o ludziach, żyjących po za nawiasem społecznego porządku. I powstaje z tych „powiastek“ tragicznych przerażający obraz życia pewnego ludzkiego zespołu, który przez sam fakt swego istnienia stawia przed kratkami sądowemi obecny układ stosunków, z jego gospodarką wszechświatową, wszędzie wytwarzającą podobnie upiorne gromady ludzkich nędzarzy.

Zbrodnia, alkoholizm, rozpusta w środowisku ludzi bezdomnych, sprzęgły się ze sobą w koszmarną rzeczywistość. Społeczne znaczenie tej książki może być ogromne, gdyż otwiera ona oczy na pewien odcinek życia, którego poznać nie każdy z nas ma sposobność, co więcej z istnienia którego nie każdy zdaje sobie sprawę. Książka tego rodzaju musi się wcisnąć do świadomości myślącego człowieka, podważyć jego sobkostwo i poruszyć sumienie. Bez tego rodzaju wstrząsów moralnych, które zazwyczaj podziemnymi prądami burzą ustabilizowane nawarstwienia form ustrojowych, nie może być mowy o reformach gruntownych, zasadniczych. Literatura wychowuje społeczeństwo i dlatego książkę Dąbrowskiego powinni ci wszyscy przeczytać, którzy sami nie mają możności zajrzenia do tego piekła, kłębiącego się tak niedaleko od naszych spokojnych mieszkań. Bezdomność ludzi, zmuszonych tułać się pod gołym niebem w mróz, w upał, w deszcz i w śnieg, w dzień i w nocy, jest czemś, co przekracza całkowicie siły i wytrzymałość pierwiastków człowieczeństwa w istocie ludzkiej. Jest to egzystencja z poza świata, którym rządzą pewne normy — tam już panuje wszechwładnie instynkt zwierzęcy głodu, walki i miłości, nie ujęty w hamulce sumienia. Alkohol i w takiem środowisku jest również obyczajem, ale nie wywiera on już tego działania, które obserwujemy na nieco wyższym poziomie życia, gdyż z nim, czy bez niego, to już wszystko jedno, niema się nic do stracenia i nic do ratowania. To już jest takie dno, skąd wyjścia niema, zanim tym ludziom się nie da legalnego, normalnego dachu nad głową i nie zaspokoi ich najelementarniejszych potrzeb. Powracamy z tego dna bogatsi w zdobytą bolesną wiedzę o kulisach tego pozornie tylko zorganizowanego i ustabilizowanego porządku rzeczy, który do niedawna jeszcze zdawał się być jakiemś świętem tabu, wracamy bogatsi o jeszcze jedno wstrząsające przeżycie moralne, które niewątpliwie poszerzy nasze poglądy na wytworzone stosunki i warunki społecznego życia.

*

„Jesienna Pochodnia“ Cynthii Lombardi [1]), powinna specjalnie zainteresować naszych czytelników, gdyż zawiera tragedję kobiety-artystki, która pije nałogowo. Kocha ją mąż — w okresach, gdy nie pije, jest dobrą, miłą, czarującą, lecz niestety, coraz częściej nawiedzające ją fale głodu alkoholowego, który zaspakaja aż do zupełnego zatracenia się, niszczą ją zupełnie i rujnują zarówno karjerę artystyczną, jak i życie domowe. Wytwarza się w konsekwencji cały splot konfliktów, powstają zagadnienia moralne, wynikające ze zburzonego szczęścia jej męża, który zakochuje się w innej kobiecie, ale jednocześnie nie może odejść od nieszczęśliwej ofiary nałogu i t. d. Książka ma wszystkie dane po temu, by się z nią zaprzyjaźnić, by do niej powracać, gdyż porusza sprawę miłości od strony moralnego zagadnienia, stojąc na podstawie nierozerwalności małżeństwa, a kwestję rozwodów bynajmniej nie traktuje lekko i płytko przeciwnie, docenia całą odpowiedzialność natury etycznej, którą pociągają za sobą. Jednem słowem, godząc się, lub nie, na punkt widzenia stanowiący linję przewodnią idejowej strony tej książki, trzeba podkreślić, jako doniosły moment sam już fakt istnienia samego problematu: czy wolno rzucać żonę w nieszczęściu, żonę, która mimo nałogu, kocha swego męża i była przez niego kochana do szaleństwa? Jest niewątpliwie nad czem się zastanowić, i samo owo zastanawianie się już nieco łagodzi ostrość i nasilenie ślepego, bezwzględnego egoizmu, który nie liczy się z krzywdą drugiego człowieka i wnosi do tego niezmiernie subtelnego i głębokiego zagadnienia nieco miękkości, subtelności, łagodności

A jednocześnie niedbały, nieudolny, na kolanie robiony przekład, czytelnikowi polskiemu sprawia prawdziwą udrękę. Ma się przekonanie, że gdyby tłumaczka popracowała nieco nad swym stylem, to uniknęłaby wielu urywków bardzo słabych, wielu zdań, wprost wadliwie skonstruowanych. Tłumaczenie nie jest rzeczą łatwą, trzeba świetnie władać dwoma językami i samemu mieć żyłkę pisarską. W przeciwnym razie pomniejszone są walory samego autora i czytelnik wystawiony jest na ciężką próbę cierpliwości.

Gdyby nie to poważne „ale“ (w moich przynajmniej oczach), to książkę tą polecałabym bez żadnych zastrzeżeń. W takiej postaci, jak obecnie jest, może stać się pouczającą lekturą z zakresu rozkładowego wpływu, jaki alkohol wywiera na jednostkę i jej otoczenie, oraz skierowuje uwagę naszą na etyczną stronę konsekwencji czynów, które dla nas wydają się pożądane, a dla drugiej osoby mogą stać się zgubą, tem samem oddaje pewne społeczne korzyści czytelnikowi. Nie przeżyje on jednak z tą książką tej wielkiej radości, towarzyszącej zawsze czytaniu utworów, mających wysoki poziom artystyczny.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

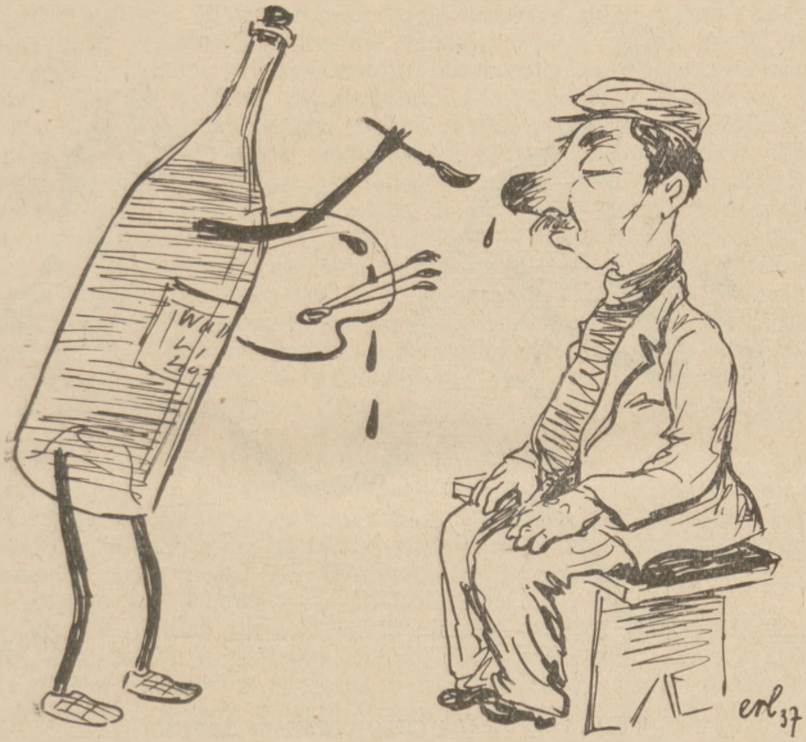
---

[1]) Cynthia Lombardi: „Jesienna Pochodnia“, przekład Felicji Zielińskiej. Wyd. Bardacha we Lwowie.Str. 314.



CZŁOWIEK TAŃCZY TAK, JAK MU WÓDKA ZAGRA.

Eryk Lipiński.



WÓDKA NOS MALUJE NA CZERWONO.

Eryk Lipiński.



WÓDKA ZABRAŁA CZŁOWIEKOWI ROZUM.

Eryk Lipiński.

ŻONA ALKOHOLIKA.

(Na marginesie odczytu D-ra *Dreszera*, wygłoszonego 10.IV 37 r. w Tow. „Trzeźwość", p. t. „Z doświadczeń biegłego sądowego psychjatry".).

Że alkohol tworzy podłoże dla ogromnej ilości przestępstw, jest rzeczą powszechnie znaną i obecnie już przez nikogo nie kwestjonowaną. Najciemniejszy chłop, broniąc siebie lub przyjaciela przed odpowiedzialnością za popełnioną zbrodnię, kładzie zawsze nacisk na to, że to się stało po pijanemu, w zamroczeniu, bez pamięci... że „po trzeźwemu" ten sam człowiek nigdyby owej zbrodni nie popełnił... Nieraz się daje słyszeć o kimś, że, jak trzeźwy, to jest bardzo porządny człowiek, a jak się upije, to — jak zwierzę rozjuszone i nie pamięta co czyni... Zapomina się tylko o tem, że ten „porządny człowiek", jeśli—po wytrzeźwieniu—o swych wyczynach nie pamięta, to się o nich jednak dowiaduje— z opowiadań otoczenia, lub z sińców i śladów obrażeń na twarzach swych dzieci i żony... Dowiaduje się, wie o tem, jakim jest w stanie zamroczenia, — a jednak... do baru lub do pijackiej kompanji kieruje swe kroki „po trzeźwemu", pierwszy kieliszek do ust niesie — również jeszcze po trzeźwemu... Tłumaczy się to — owszem — brakiem lub obniżeniem woli, zatrutej alkoholem, — mniejsza już o to, czy tylko „silnej", czy też i „dobrej" woli brakuje... Zresztą, bez przyczyny wogóle nic nie bywa...

Te zbrodnie na tle alkoholowem przewijają się codzień(!) przed naszemi oczyma na szpaltach dzienników, — przechodzimy ponad niemi obojętnie do spraw ciekawszych, — tak samo, jak obojętnie czytamy codziennie drobnemi literkami podawaną wiadomość, że znów jakieś dziecko dostało się pod tramwaj, lub samochód... To takie rzeczy — zwykłe, szablonowe — i... nieuniknione!...

Zupełnie jednak inne rodzi się uczucie, inaczej reaguje myśl, jeżeli te same fakty, aczkolwiek dobrze nam już znane „na wyrywki", podaje ktoś w rzeczowym odczycie, w mądrem zestawieniu i w oświetleniu naukowem... Wtedy powstaje uczucie zgrozy — i daje bodźca do głębszego zastanowienia się i przemyślenia sprawy... wtedy coś wstrząsa sumieniem i wzywa je do czynu, — do jakichkolwiek czynów ratowniczych, lub do szukania dróg ku temu...

Mojem sumieniem wstrząsnęła najmocniej — sprawa morderstwa, popełnionego *nie przez* alkoholika w pijackiem zamroczeniu, tylko przez jego trzeźwą, niepijącą żonę — w stanie bezmiernej rozpaczy!

Pozwolę sobie zacytować tu tę sprawę. Mąż alkoholik w straszliwy sposób znęcał się nad swą rodziną: żoną i nieletniemi dziećmi,—bił, kopał, groził wymordowaniem, — i trzymał w domu nabity rewolwer. Aż którejś nocy przyszedł do domu pijany, obudził żonę, i kazał jej nastawić patefon i tańczyć rumbę, — oświadczając jej, że „będzie to twoja ostatnia rumba, bo zaraz cię zastrzelę"... Siedział na łóżku z rewolwerem w dłoni, a ona tańczyła przed lufą w śmiertelnym lęku o życie swoje i swoich dzieci, — aż pijak zasnął na łóżku, z bronią w ręku... Wtedy podeszła do niego, wyjęła mu z ręki rewolwer, — i położyła go trupem na miejscu... Aresztowana, przyznała się odrazu do zabójstwa. Mogła się przecież wyprzeć wszystkiego, mogła dowodzić, że rewolwer

sam wystrzelił podczas szamotania, — świadków przecież nie było... Nie zrobiła tego, — przyznała się, do zbrodni... Ale też i świadków jej okrutnej niedoli nie zabrakło w sądzie, — i sąd wziął pod uwagę tę niedolę... Z wielkiem uznaniem podkreślił prelegent, że sąd zastosował najniższy wymiar kary: jeden rok więzienia, — a po zastosowaniu amnestji — skrócono okres ten do połowy... Tylko pół roku więzienia!... Tylko pół roku więzienia — po kilku latach nieludzkiej udręki, strasznej katorgi życiowej!... A potem, — na resztkę ponurego, zmarnowanego życia, — haniebne przezwisko „aresztantki“, które pójdzie za nią wszędzie, które jej przy każdej — o byle co — sprzeczce rzuci w oczy sąsiadka... piętno zbrodniarki, więźniarki na czole matki w przerażonych oczach dzieci... piętno, które w ich oczach jej męczeński nimb zasłoni!...

A potem, — potem, może, łzy i rozpacz córki, kiedy wyrośnie i pokocha, — a ukochany powie jej lękliwie: „nie mogę się z tobą ożenić, bo twoja matka — męża swego zamordowała... może i tyś się w nią wrodziła“... Tak bywa na świecie, — ja osobiście znałem dwa takie wypadki...

Tak! Wymiar kary był łagodny, okres więzienia był krótki, — ale bezmiernie długi będzie okres pokuty — nie za zbrodnię, nie, — tylko za to, że była w więzieniu... Boć winy właściwie nie było, — była tylko samoobrona konieczna, — a nawet o kilka lat spóźniona... Ale więzienie — hańbi... i na to niema rady!

A jednak — wyrok był słuszny, i sąd miał swoją głęboką rację... Bo — niechby zapadł wyrok, zwalniający od winy i kary, — a tego rodzaju „samoobrony“ przyjęłyby odrazu charakter groźnej epidemji samosądów... Bo — że kara nikogo nie odstrasza i nie powstrzymuje przed zbrodnią, — jest to rzecz powszechnie znana... ale bezkarność — zachęca. I to jest bardzo groźne...

Więc — wobec tego, — co nam pozostaje?... Pozostaje wynalezienie takiej drogi, któraby doprowadziłaby do tego, żeby w kraju, gdzie niewolno nikomu,—nawet pijakowi,—dręczyć konia, psa, kota, niewolno bić i kaleczyć żadnego żywego stworzenia, — nie wolno byłoby również znęcać się nad kobietą, bić ją, kaleczyć, niszczyć duchowo i fizycznie, deptać brutalnie jej godności ludzkiej... I żeby nie wolno było pijanemu awanturnikowi nawet wejść do pokoju, gdzie są — nieletnie, bezbronne dzieci... Jak to zrobić, — nie wiem...

Chciałabym więc na tem miejscu zwrócić się z gorącym apelem do prawników, do lekarzy, do działaczy społecznych, — do „prawodawców“... Niech się wypowiedzą, co, według ich mniemania, można zrobić, i w jaki sposób — żeby od męża — pijaka kobieta mogła, — prawnie i pod opieką prawną, — w każdej chwili odejść razem z dziećmi, odejść tak, żeby nie pozostać na ulicy, bez dachu nad głową, odejść, mając tę pewność, że prawo i społeczeństwo obroni ją przed zemstą rozwścieczonego męża, przed awanturniczym napadem na ulicy, przed krwawym zamachem na jej, lub dzieci życie... Trzeba zorganizować sprawę tak, żeby pijak-awanturnik, jeżeli raz podniósł rękę na żonę, lub dziecko, — tracił do nich wszelkie prawa, przestawał być mężem i ojcem, — mniejsza o to, jak to się będzie nazywało, — separacją, rozwodem, lub unieważnieniem małżeństwa, — aby tylko położyło kres haniebnemu niewolnictwu kobiety, aby ją wyzwoliło z niczem niezasłużonej katorgi życio-

wej, — i aby ten mąż zgóry wiedział, że już pierwsza próba dręczenia żony i dzieci — nazawsze pozbawia go rodziny...

Bo jednak jest prawdą niezbitą, że — choć groźba kary żadnego zbrodniarza od zbrodni nie powstrzymała, — ale bezkarność — do zbrodni zachęca!... Więc niechże apel mój dojdzie do tych wszystkich, co mają ważkie słowa do powiedzenia w tej sprawie, co wiedzą, jaką drogą trzeba dążyć do tego, żeby tej okrutnej niedoli kobiecej kres położyć, — a rozumieją, że kobiecie, — choćby nawet i żonie pijaka, — wszystkie ludzkie prawa się należą... I niechże w tej sprawie głos zabiorą — i na jakiś czyn skuteczny się zdobędą! *)

Dr. Nina Krąkowska.

WALKA Z ALKOHOLIZMEM NA WSI.

Szanowni Państwo! Poczytuję sobie to za wielki zaszczyt, że mogę się zaliczyć do wychowanków tych sal, a uważać za ucznia dostojnych, i obecnie wykładających na tym Kursie Prelegentów, gdyż jako student medycyny ukończyłem IV-ty Kurs przeciwalkoholowy.

Zdobyte wówczas wiadomości o alkoholu pogłębiłem i sprawdziłem w czasie studjów lekarskich, a oglądając codziennie w różnych klinikach przykre przypadki, oraz nieszczęśliwe ofiary, ustabilizowałem swoje przeświadczenie o szkodliwości używania napojów alkoholowych.

Obecnie jako lekarz, muszę z największą przykrością również często spotykać się z „cierpkim owocem“ pochodzącym z restauracyj, lub tajnych szynków wiejskich. Patrząc na ten bezmiar ludzkiego nieszczęścia, a widząc najczarniejszą stronę życia ludzi często zaglądających do kieliszka, przyrzekłem sobie całe życie walczyć z alkoholem, który uważam za źródło wszelkiego zła, za główny czynnik zwyradniający zdrowie fizyczne i moralne naszego społeczeństwa i to wszystkich jego warstw, a szczególnie ludu wiejskiego i klasy robotniczej. Do uzasadnienia powyższego zdania niech posłuży wielka ilość różnych przestępstw, popełnianych przez osobników w stanie opilstwa, oraz wydawanie na świat przez rodziców pijaków zwyrodniałego potomstwa, jak: dzieci umysłowo niedorozwiniętych, idjotów, kretynów, epileptyków, w najlepszym razie niedołęgów, ludzi niezaradnych, bez woli i charakteru, psychopatów, a co najważniejsze i najgorsze typów aspołecznych: złodziejów, bandytów, czyli jednostek małowartościowych, stanowiących dosyć niebezpieczny dla otoczenia, a tak wielki ciężar społeczny.

To też jestem wielce ucieszony, że przypadła mi zaszczytna rola mówienia o walce z alkoholizmem na wsi, przeto będę mógł choć w szczupłych zarysach, przedstawić w jaki sposób lud wiejski, szczególnie młodzież, zwalcza alkohol, jakich używa metod i jak broni się przed każdą butelką wódki, tak chciwie sprzedawaną przez „Monopol Spirytusowy“

---

*) Poruszone przez Sz. Autorkę zagadnienie posiada pierwszorzędne znaczenie; brak przepisów prawnych o ubezwłasnowolnieniu alkoholików chronicznych — stanowi w prawodawstwie naszem poważną i dotkliwą lukę, która jest przyczyną tysiącznych tragedyj rodzinnych.

(Przyp. Red.).

„wyszynkom wódki", zatwierdzanym znów bez ograniczeń na każdej prawie wsi, a co najsmutniejsze, bo czasem wbrew zbiorowej woli mieszkańców wsi.

Ponieważ panuje ogólne przekonanie zwłaszcza w społeczeństwie i prasie wiejskiej, że chłop, *jak ma to pije* i będzie pił i niema wśród ludu wiejskiego zrozumienia i chęci do wypierania alkoholu ze wsi, a wszelka praca w tym kierunku byłaby niewdzięczną, mało opłacalną — bezowocną, przeto w poniżej przytoczonych faktach udowodnię, że mniemanie takie jest zbyt jednostronne i w dużym stopniu krzywdzące wieś.

Jednocześnie chcę przez to podkreślić, że taki sąd jest uzasadniony o atmosferze wsi dawnej, natomiast wieś współczesna ujęta w większości w ramy organizacyj społeczno-gospodarczo-wychowawczych, przekształca nietylko strukturę gospodarczą, ale również gruntownie przeobraża psychikę ludu wiejskiego, po przez wykrzesywanie z młodzieży najszlachetniejszych charakterów i zwalczanie wszystkiego, co jest oznaką wielowiekowej niewoli pańszczyźnianej. Ponieważ wódka we wszelkich postaciach jest smutnem przypomnieniem życia pańszczyźnianego naszych dziadów i pradziadów, przeto cała oświecona i uspołeczniona młodzież wiejska, budująca już nowe życie, nową Polskę, tępi ją z całą bezwzględnością i uważa za największe zło narzucone uciemiężonemu chłopu ongiś przez magnatów, szlachtę, a nawet z wielką przykrością trzeba przyznać czasem i przez duchowieństwo.

Od 5 lat jestem prezesem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" woj. Kieleckiego, a 6 lat prezesem Z. M. W. „Wici" pow. Kozienickiego, z radością i dumą stwierdzam, że nie przypominam sobie, ani jednego kursu, zjazdu, święta wiosny, dożynków i t. p., na których nie byłby omawiany *wielostronny szkodliwy wpływ* używania alkoholu. Ta publiczna szkoła i nauka wiele już zmieniła i zmienia oblicze dzisiejszej wsi. Wprawdzie w wielu jeszcze wsiach życie płynie podawnemu. Jak jadali dawniej, tak i teraz, jak sypiali, tak sypiają, jak pijali, tak i piją, ale każdy, kto ma styczność ze wsią, potwierdzi pocieszający objaw, że takich domów i takich wsi z każdym już nie rokiem, tylko miesiącem, nawet tygodniem jest coraz mniej. Są to przeważnie wsie, w których niema żadnej organizacji. Nic zatem dziwnego, że zamiast w kołach młodzieży, domach ludowych, całe życie w takich wsiach skupia się w domach *„potajemnej sprzedaży wódek"*, a nierzadko w brudnym sklepiku żyda skutecznie wypieranego przez szybko wyrastające spółdzielnie na wsi, z rozwojem których zabraknie pracy dla nieuczciwego pośrednika - żyda, specjalisty od nielegalnego dostarczania alkoholu i deprawowania nieraz zacnych jednostek młodzieży wiejskiej.

żeby lepiej uwydatnić na kim ciąży odpowiedzialność za losy wsi, oraz ilość wypijanej wódki na wsi, a tem samem *usprawiedliwić* warstwę, z której pochodzę za to, że taką jest, jak o niej często piszą i mówią, pozwolę sobie dla lepszej orjentacji podzielić życie warstwy chłopskiej na 3 okresy, a każdy z nich stanowić będzie odrębną epokę na szlaku dziejów tragicznej naszej historji i ściśle związany jest z wydarzeniami politycznemi:

1) okres niewoli pańszczyźnianej;
2) od uwłaszczenia chłopów do odzyskania niepodległości;
3) życie chłopa w Polsce Niepodległej.

ad 1) Twardą i ciężką dolę chłopskiego życia pańszczyźnianego opieram na: a) Historji Chłopów Świętochowskiego, b) Pamiętnikach Deczyńskiego, c) Przeglądzie Dziejów chłopa polskiego—Bobkę, d) Mrokach Średniowiecza—Putka, e) Historji Smoleńskiego, pracach Bronikowskiego, Józefa Wybickiego i wielu, wielu innych, f) Rzeczpospolitej Polskiej w literaturze politycznej Zachodu — Stanisława Kota, oraz na żywej historji, t. j. na opowiadaniach ś. p. Pawła Magdzika, dziadka mego, długoletniego chłopa pańszczyźnianego.

Opierając się na powyższem, z całą stanowczością można stwierdzić, że w owej epoce chłop stał się mało wartościową własnością dziedzica, zależny wraz ze swoją rodziną od jego woli, humoru i t. p. Wolno go było zabić, wtrącić do więzienia, zakuwać w kłody, kłaść na zagonie i bić, bić za najmniejsze przewinienia. Słowem życie chłopa pańszczyźnianego było nie lepsze, a nawet gorsze od życia furmańskiego konia.

Smoleński pisze: „Jako środka dowodu pan używał tortur, najczęściej—chłosty. Karał obcinaniem: uszu, nosa, wypalaniem szubienicy na czole, a miał też prawo skazać chłopa na śmierć. W Koronie za zabicie chłopa własnego szlachcic nie odpowiadał, lecz za zabicie cudzego karany był grzywną".

Wojewoda Sandomierski tak powiedział do księdza Birkowskiego: „Widzisz tych tak wytwornie, strojnie i kosztownie ubranych, skąd myślisz mają na to środki? Z łez i krwi ubogiego chłopa tak się postroili. Wierzaj mi, że gdyby Anioł Pański ścisnął w dłoni te lamparty, sobole, jedwabie i purpury, to krew i łzy pokrzywdzonych strugami z nich popłynęłyby".

Tego rodzaju cytat możnaby przytoczyć bardzo wiele, ale każdy czytelnik z łatwością znajdzie je w powyżej podanych źródłach.

Najgorsze było dla chłopów to, że prawie każdy bogatszy szlachcic budował gorzelnię, a produkowany alkohol sprzedawał żydowi dzierżawcy dworskiej karczmy i jednocześnie z dzierżawą karczmy żyd nabywał od właściciela prawo zmuszania chłopów do przymusowego wypijania wyznaczonego przez dwór kontygentu alkoholu; choćby go nie wypił, musiał i tak za niego zapłacić. Równocześnie z dzierżawą karczmy szlachcic nakładał na poddanych chłopów obowiązek, że mają pić tylko w karczmie przez dwór wybudowanej, a wierni ekonomowie czuwali nad tem, żeby chłop nie poszedł do obcej karczmy. Wrazie schwytania chłopa na piciu wódki w innej karczmie nazajutrz publicznie wymierzano mu karę od 15—20 rózeg, dorosłym — kijów.

Wymieniony wyżej mój dziadek, wracając z Radomia odległość 42 kilometry (drogę tę musiał przebyć w ciągu jednego dnia 42×2=84 kilometry), wstąpił do pobliskiej karczmy, gdyż był już bardzo zmęczony. W karczmie spotkał swoich znajomych, którzy poczęstowali go wódką. Nagle do karczmy wszedł ekonom, spostrzegł tam pijącego mego dziadka, pogroził mu tylko i wyszedł, a nazajutrz, gdy ten, jak zwykle, przyszedł do pracy, wymierzono mu *20 kijów za to, że pił wódkę w obcej karczmie.* Jeden z moich kuzynów (zmarł w Puławach), u którego często jako młody chłopiec bywałem, opowiedział mi, że gdy go zaczęli bić publicznie za małe przewinienie, wyrwał się i pobił ekonoma,

który kierował wymiarem kary. Ponieważ za to przewinienie groziła mu śmierć, uciekł do Lublina i tam służył u dorożkarza, wreszcie zaoszczędził sobie pieniędzy, kupił dorożkę i długie lata w ten sposób zarobkował, aż dorobił się, kupił własny dom i osiadł w Puławach.

Z wielką przykrością należy podkreślić, że w majątkach kościelnych panowały takie same stosunki, obowiązywały podobne ustawy. Chłop żył tam również w nędzy, ciemnocie, bito, tyranizowano go, zabijano w nim godność człowieka, oraz wszelką ambicję i samodzielność, a najgorsze, że duchowieństwo również *budowało karczmy* i nakładało obowiązek na poddanych wypijania wyznaczonego kontygentu wódki. W roku 1606 Zakon Dominikanów nakazuje wpisać w księgi gromadzkie: „Ktoby się na urząd porwał, temu rękę uciąć albo gardło. Za picie wódki nie w swojej, a obcej karczmie 12 kijów, za to, że się ktoś nie chciał upić, że nie podług woli zwierzchnika, 6 łokci płótna i 10 kijów.

Czy wobec powyższego można się dziwić, że chłop pije, skoro wiekami zmuszano go do picia wódki, oznaczano ile ma wypić i bito, gdy pić nie chciał. Czy można żądać od wiekowego niewolnika, aby w krótkim czasie odrodził się psychicznie, przestał pić i rozpoczął skuteczną walkę z tym nałogiem, w którym się rodził, wzrastał, a który osłabiał jego wolę, zabijał człowieczeństwo i w dużej mierze spowodował zwyrodnienie charakteru. Wprawdzie w epoce największego uciemiężania chłopów żyli i działali: Rej, Modrzewski, Kochanowski, Klonowicz, Szymonowicz, Skarga, Konarski, Birkowski, Staszic, Wybicki i wielu innych, którzy wytykali magnatom, szlachcie i duchowieństwu, że nadmiernie znęcają się nad „poddanymi", ale głosy ich nie wpłynęły na polepszenie doli chłopskiej. Szlachta sama ciemna, nieuspołeczniona, nie myślała o szkołach dla chłopów i kształceniu „Janków Muzykantów". a przez to marnowała entuzjazm i siłę obronną R. P., której tak bardzo Polska potrzebowała. Pomimo takich warunków chłopi, jako niewolnicy, brali czynny udział w obronie R. P. Nie brakło ich w armjach: Chodkiewicza, Żółkiewskiego, obronie Częstochowy, Sobieskiego, a najważniejsze w piechocie wybranieckiej Batorego, gdzie odznaczyli się w walkach pod: Połockiem, Wielkiemi Łukami.

Jak ich karmiono i ubierano nawet wówczas, gdy w obronie ojczyzny przelewali swą krew i oddawali życie, najlepiej uzasadnia Świętochowski, że Batory wstydził się przy defiladzie obdartych chłopów i tak się wobec Niemców tłumaczył: *„Ci waleczni żołnierze postanowili chodzić w łachmanach, dopóki nie zdobędą lepszej odzieży na nieprzyjacielu"*. O waleczności chłopów i odwadze niech mówią wójt Pyrz i Racławice. W zakończeniu tego okresu czuję potrzebę podkreślenia, że w roku 1775 rząd austrjacki zniósł na terenach Polsce zrabowanych prawo przymusu kupowania wódki w karczmie, a R. P. Krakowska postanowiła, odebrać żydom karczmy, żeby powstrzymać w ten sposób pijaństwo wśród chłopów.

Po trzecim rozbiorze Polski drapieżcy, którzy w okrutny sposób rozszarpali żywe i odradzające się ciało naszej Ojczyzny, wprawdzie znieśli przymus kupowania wódki w karczmach dworskich, ale też nie przeszkadzali w nabywaniu i piciu. Nie troszczyli się też i o oświatę dla chłopów, gdyż dobrze zdawali sobie sprawę, jaką bronią jest książka w walce z gwałtem i przemocą. Powyższe dostatecznie uzasadnia to, że

w okresie niewoli pańszczyźnianej za powszechne pijaństwo wieś nie odpowiada. Ujarzmiona pokornie spełniała najgorsze rozkazy „narzuconych“ opiekunów.

ad 2) Z chwilą uwłaszczenia chłopów przez zaborców, po wsiach panowała z tego powodu, jak mi opowiadali dziadkowie, wielka radość. Wolny już chłop począł myśleć o przekształceniu życia wiejskiego, walczyć ze wszystkiem, co setkami lat więziło jego ducha, co ongiś bolało i raniło. Poniewierany i torturowany chłop rozumiał, że przyczyną jego wiekowych cierpień była ciemnota, przeto zamożniejsi poczęli swych synów oddawać do szkół. Pamiętam, jak rodzice po 40 kilometrów na plecach donosili uczącym się synom: jajka, ser, masło, a nawet chleb. Również dobrze pamiętam, jak w czasie świąt synowie po powrocie do swoich wsi wieczorami uczyli chłopów czytać, pisać, jak mówili o Polsce, którą przez powstanie musimy wyzwolić z jarzma drapieżnych najeźdźców. Ponieważ Austrja, mówiono, jest najżyczliwsza dla Polaków, należy tę sympatję wykorzystać i przy jej pomocy wydrzeć Królestwo Rosji. Gdyby wybuchła wojna z Rosją, nie strzelać do wojska austrjackiego i wogóle się nie bić, lecz chować i uciekać, gdyż siły nasze musimy zachować do czasu aż najeźdźcy, którzy rozdarli żywe ciało naszej Ojczyzny, wyniszczą się i wybiją, a wówczas pokonać ich będzie bardzo łatwo. Pamiętam, jak brat mój, wówczas uczeń, obecnie urzędnik P.K.P., wylicza zebranym, ile Rosja ma zysku z wypijanego przez Polaków alkoholu i, że za te pieniądze uzbraja i utrzymuje wojsko w Polsce. Takie opowiadania wytwarzały wrogi nastrój do zaborców, wszczepiały miłość do ujarzmionej Ojczyzny, rodziły pragnienie wolności.

Już wówczas w uczuciach i umysłach ludu wiejskiego poczęła się krystalizować Wielka, Niepodległa, Sprawiedliwa Polska. Nikt się nie pytał, ani kłócił, jaka, kiedy ma być. Myślano tylko o tem, żeby była! Ponieważ w piciu wódki mniej liczono się z następstwami, jakie alkohol wywołuje, a tylko, żeby nie dać Moskalom po przez nią ściągać z Polaków wiele miljonów rubli, przeto rozpoczynająca się wówczas na naszych wsiach walka z alkoholizmem była prowadzona z punktu patrjotycznego.

Wierzę, że mój ojciec, wyprawiając 2 młodszym siostrom (jedna dziś jest nauczycielką, druga studentką Uniwersytetu J. Piłsudskiego) chrzciny *bez wódki*, kierował się właśnie uczuciem nienawiści do Moskali.

Nie mogę, mówiąc o wódce, pominąć ustosunkowania się chłopów do żydów, wogóle sprawy żydowskiej. Żydów uważano na wsi jako zdrajców, którzy zawsze pomagali zaborcom i wydawali Powstańców armji rosyjskiej. Nie cierpiano ich również za potajemny handel wódką, współdziałanie ze złodziejami, przechowywanie kradzionych rzeczy i złodziejów. Przypisywano im szpiclowanie Polaków, mściwość w stosunku do każdego „goja“ i to często za bardzo małe i drobne sprawy. Rodzice moi opowiadali, jak ich gospodarstwo po żniwach zostało *przez żyda* podpalone i całoroczny dorobek wraz z zabudowaniem, oraz żywym inwentarzem spłonął. To spalenie odbiło się bardzo na naszem życiu i ciężkich warunkach, w jakich kształciliśmy się. Przyczyna spalenia była taką, że ojciec mój odnalazł skradzione konie, połapano złodziejów i żydów wspólników. Również w mojej rodzinnej wsi żydzi spalili po żniwach

innego gospodarza, oboje małżonkowie ponieśli wówczas śmierć w płomieniach. Oprócz tego w tejże wsi żyd miał wiatrak, a Polak obok niego budował drugi. Gdy już był wiatrak prawie wykończony, a nie zaasekurowany, w nocy został spalony. W krótkim czasie ów żyd sprzedał wiatrak i wyjechał do miasta.

Nie będzie błędem i przesadą, jeżeli podkreślę, że 90% wszystkich przestępców wiejskich, to wychowankowie żydowskich sklepików z *„potajemną sprzedażą wódki“*. Swoją karjerę złodziejską rozpoczynali od picia wódki chętnie sprzedawanej „na kredyt“, za którą później dostarczali szynkarzom kradzione swym rodzicom: jajka, kury, zboże, a gdy nie było można skraść w swym domu, początkowi przestępcy poczęli zaglądać do gniazd i kurników sąsiadów, znajomych i tak stopniowo wyrastali na znanych pijaków, notorycznych złodziejów, a nawet okrutnych i groźnych bandytów. Skoro poruszyłem i w krótkości omówiłem wódkę i żydów szynkarzy, jako najważniejsze czynniki deprawujące tylko słabe charaktery ludu wiejskiego, uważam za konieczne naświetlenie przykładnej i wychowawczej metody, jaką stosują spółdzielnie, które u nas przejmują handel na wsiach i za zaszczytny cel stawiają sobie naprawienie krzywd duchowych współrodakom wyrządzonych przez *„potajemnych handlarzy wódką“*.

Byłem naocznym świadkiem, gdy do spółdzielni we wsi Wola Klasztorna pow. Kozienieckiego przyszedł mały chłopiec 8—9 lat, przyniósł jajko i prosił o danie mu wzamian cukierków. Sprzedający wiciarz Ciesielski Juljan przyjął jajko, zapytał chłopca o nazwisko rodziców, nie dał chłopcu cukierków i wezwał do spółdzielni matkę owego chłopca, aby wyjaśniła, czy dawała synowi jajko na cukierki. Jak się później dowiedziałem malcy kradli jajka rodzicom i przychodzili do sklepów, chcąc je zamienić na cukierki lub papierosy, ale dzięki młodemu spółdzielcy dziecinne skłonności złodziejskie zostają rodzicom zakomunikowane i w ten sposób kandydat na przyszłego „przestępcę“ poskromiony, a prócz tego poddany ściślejszej kontroli i staranniejszemu wychowaniu, wyrośnie zapewne w tak zdrowem środowisku, na twórczego, a może bardzo wartościowego obywatela. Czuję palącą potrzebę zaakcentować, że oprócz nauczania kradzieży i wypaczania etyki, oraz rozpajania ludu wiejskiego, żydzi szynkarze byli jedyni, którzy z zemsty, lub za zapłatą dokonywali najcięższych zbrodni na bogobojnych i potulnych gospodarzach, a najczęściej, palili gospodarstwa, truli konie, bydło i wiele t. p.

W powyższem przedstawiłem i udowodniłem, że uwłaszczony chłop sam o własnych siłach zaczął walczyć z tem, co mu niewola w spuściźnie zostawiła. Promotorem tej walki było budzące się w chłopie *poczucie narodowe* i miłość do wolnej ojczyzny, ale takiej, która nie byłaby dla niego, jak dawniej — macochą, tylko dobrą i sprawiedliwą matką. Dla takiej właśnie matki chłop przechowywał w specjalnych skrytkach *„polskie pieśni“, stare polskie monety, obrazki i widokówki Wojska Polskiego, w którem ciemna szlachta nawet służyć mu nie pozwalała jak i bronić jej, a której sama obronić nie umiała i nie chciała!*

ad 3) Okres Polski Niepodległej i nowe życie chłopa.

Walące się w gruzy zmurszałe monarchje naszych ciemiężców wywołały w duszach i umysłach ludu wiejskiego trudną do opisania radość

i niebywały entuzjazm. Ożywiony nadzieją wolności lud wiejski, lud, który, jak najdrogocenniejsze relikwje z dziada pradziada przekazywał i starannie przechowywał narodowe pieśni polskie, widokówki Wojska Polskiego z czasów przedrozbiorowych i wogóle wszystkiego, co polskie, co nasze, zrozumiał, że nadszedł czas szczegółowych porachunków z odwiecznymi krzywdzicielami. Przeświadczeni, że tylko przez stworzenie silnej i licznej armji pokonamy zdemoralizowane oddziały okupantów i wydrzemy im zrabowane ongiś tereny, wchodzące w skład dawnej R. P., licznie wstępowaliśmy do szeregów, *wydzierając się z rąk opłakujących nas, rodziców, oraz sióstr i braci.*

Po zwycięskiej wojnie powróciliśmy do pracy naukowej i jako studenci związani w Związku Akademickiej Młodzieży Ludowej przy układaniu programu, wytyczaniu planu pracy dla wsi, niejednokrotnie zgodnie stwierdziliśmy, że nie zorganizujemy wsi, nie uspołecznimy jej obywateli, nie zmienimy struktury życia, nie wychowamy twórczego, młodego pokolenia, zdolnego do rozumnego współdziałania człowieka z człowiekiem, jeżeli nie zwalczymy na wsi *pijaństwa*, które zawsze i niespodziewanie przekreślać będzie nasze wysiłki, niweczyć z takim trudem wznoszone nowe formy życia, paraliżować najszlachetniejsze porywy i najszczersze intencje wielu działaczy wiejskich. Wierni z taką troską hodowanym od młodości ideałom, rosnącym na głębokich przeżyciach, jakich doznawaliśmy, czytając dzieła traktujące o gehennie cierpień chłopa pańszczyźnianego, rozpoczęliśmy 1931 r. pracę na wsi w powiecie Kozienickim i Polsce całej.

Wprawdzie w tak krótkim okresie trudno poszczycić się obfitym owocem naszej pracy, nie mniej jednak postaram się wyszczególnić pewne fakty, które będą znamionować stopniowe przekształcania się stosunków wiejskich, zawsze na lepsze, ale to we wszystkich dziedzinach życia wsiowego. Najpierw zaczęliśmy przebudowę od Kół Młodzieży „Wici", których na terenie pow. Kozienickiego było 6, obecnie jest 58.

Stan duchowy młodzieży bardzo niski, obojętny na życie społeczno-gospodarcze, pijaństwo i bijatyki na każdej prawie zabawie. W całym powiecie wyróżniały się 3 wiciarki i 6 wiciarzy. Obecnie przeszło 20 wiciarek i około 60 dzielnych wiciarzy. Przeszło 20 z nich przez samokształcenie się nagromadziło tyle wiadomości, że rozwój ich umysłowy dorównywa osobom z uniwersyteckiemi studjami. To są już prawdziwi pionierzy i przodownicy wsi. Świecą na każdym kroku przykładem, zmysłem organizacyjnym, ofiarnością i poświęceniem. Jak głęboko wniknęła w nich idea pracy i prawdy, oraz chęć zdobycia wiedzy, niech posłużą fakty, że są młodzieńcy, którzy, chąc jechać na zjazd, nie idą na 2 wesela, żeby zaoszczędzić pieniędzy na bilety kolejowe. Inna młodzież znów wychodzi o godz. 2-iej po północy, aby na czas przybyć na zjazd powiatowy. Niema dla tej młodzieży: deszczu, zawiei, mrozu, błota, śniegu. Nie piją wódki, a mało który pali papierosy.

Jednego wiciarza posądzili o kradzież jabłek z sadu, ponieważ był nie winien, bo inny młodzieniec był w sadzie na jabłkach, przybył do sądu właściwy winowajca, przyznał się, że to on rwał jabłka i prosił sąd o uwolnienie kolegi od kary, a zasądzenie jego. Byłem obecny w sądzie i widziałem jakie wrażenie zrobiło to na sądzie i zebranej tam publiczności.

Gdzie jest pogrzeb wiciarza, tam nie może *być wódki*, jak był zwyczaj, bo umierający przytomnie, zapisują w testamencie, aby na ich pogrzebie *nie było wódki*.

Gdy się czyta taki testament, w którym członek młodzieży śmiertelnie chory, a jednak wykazuje tyle troski o zdrowie moralne i fizyczne, oraz warunki gospodarcze wsi, o pracę w Kole, o godność i honorowość młodzieży wiejskiej, to trudno, żeby nie załkać, by wewnętrznym szlochem dopiero zagłuszyć rzewne uczucie.

Na pogrzeb wiciarza przybywają wszystkie Koła w komplecie i z wieńcami, dalsze Koła przysyłają delegacje. Pożegnania w domu, na granicy pól z sąsiednią wsią i nad mogiłą ujęte w tak artystyczną formę, dowodzą, że na wsi wychował się już nowy typ człowieka umiejącego działać w gromadzie i z gromadą, cieszyć się z nią radością i dzielić smutkiem, a najważniejsze, że ten nowy człowiek robi to wszystko już bez wódki i nie dla wódki, jak to czynili jego rodzice, ale z uczucia i poczucia, jakie mu nakazuje jego pozycja społeczna. Takich obrzędów, jak: pogrzeby, chrzty, a nawet wesela bez wódki kozienickie, widziało się już wiele, a zobaczy jeszcze niemało. Nie będę wszystkiego wyliczał, podkreślę tylko, że w jednej małej wiosce Aleksandrówce, w gminie Policzna, w ciągu 2 lat istnienia Koła „Wici", dzięki tam mieszkającym: Wróblowi, Chałujowi, Marszałkowi, Olejarzowi i wielu innym gospodarzom, co już wyzwolili się z tego nałogu pańszczyźnianego i innych od picia wyzwalają, odbyły się 4 pogrzeby i 2 chrzty bez alkoholu. Jak pocieszający jest objaw walki z alkoholem, niech posłużą godne do naśladowania przykłady młodzieży i starszych, którzy oświadczają, gdy ich proszą w „kumy", że owszem podadzą dziecko, ale jeżeli chrzciny odbędą się bez wódki. W tem przoduje Wróbel Stanisław.

Młodzież przy pracy gospodarczo społecznej.

W tej chwili w powiecie są 3 domy ludowe, wzniesione wspólnie kosztem całej wsi (Oleksów, Sarnów, Baryczka), 14 sklepów spółdzielczych na wsi, oraz projekt zorganizowania jeszcze 5-ciu. 5 lat z rzędu pierwsze nagrody w konkursach „Przysposobienia Rolniczego", handel sadami, jajkami, rybami, nabiałem, suszenie i sprzedawanie śliwek. 200 tysięcy wsadzonych młodych drzewek owocowych, oraz utrzymywanie przez młodzież miesięcznika, który wychodzi w Zwoleniu p. t. „Głos młodej wsi" oto w krótkości obraz życia gospodarczego samodzielnego myślenia i działania twórczej, trzeźwej, zorganizowanej młodzieży. Nie mogę pominąć wielkich postępów poczynionych przez ludność w dziale higjeny domowej, osobistej i społecznej. Wprawdzie niewiele jest wsi w 14 gminach na 20 w powiecie, żebym po parę razy nie był w tych wsiach z odczytami o higjenie. To też dzisiaj, gdy przychodzą do mnie chorzy są wymyci, w czystej bieliźnie, włosy uczesane i coraz rzadziej spotykam brudne nogi i ciało. Zwykle już teraz jak przychodzi brudny pacjent, to wiem, że to jeszcze zabytek „ślamazary" i „głuptasa", *co to gruntu ani chałupy niema, który boi się organizacji, bo tam trzeba składki płacić, na zebrania chodzić, a wódki pić nie można, nawet i za papierosy krzyczą".*

Również dzieci przywożą do lekarza w czystej pościeli, bez „kołtu-

nów", których dawniej obcinać się bali, „ciemieniuchy" na głowie, siedziby brudu i robactwa. Jeżeli jeszcze przyjadą do mnie w takim stanie, a z tej wsi, na której już byłem z odczytem, muszą płacić wyższe honorarjum, a usłyszą tyle słów prawdy, że wnuczętom bezwątpienia będą opowiadać, żeby nikt *brudny do mnie nie chodził*, jako nie tylko chory, ale i zdrowy.

Gdy ktoś zachoruje, oddzielają go od otoczenia, nie całują się z chorym, wcześnie wzywają pomocy lekarskiej i nie odwiedzają, aż lekarz zezwoli.

Również latem chorzy przyjeżdżają do mnie z ogorzałem na słońcu całem ciałem i wówczas płacą taniej za wizytę. Ta metoda, łącznie z prowadzonemi na temat leczniczego działania promieni słonecznych wykładami, tak weszła już w przyzwyczajenie, że w czasie lata mało widuję pacjentów, których ciało nie byłoby opalone na słońcu. Sposób odżywiania został poważnie zmieniony, a w wielu już rodzinach dostosowany do najnowszych wymagań higjeny, przyczem jakość zjadanych pokarmów jest w miarę możności uwzględniana. Z przyjemnością podkreślić należy, że w wielu już rodzinach zamiast kupować wódkę dla gości, lub dla potrzeb domowych, te pieniądze obraca się na lepsze, pożywniejsze artykuły spożywcze jak: jajka, mięso, jarzyny, owoce i t. d. Przez setki kursów, odczytów i pogadanek nie tylko młodzież, ale nawet babki i dziadkowie zorjentowali się jak wódka drogo kosztuje w stosunku do smacznych, odżywczych i zdrowych artykułów spożywczych.Takie rodziny z większym apetytem i częściej spożywają zamiast kieliszka wódki jajka lub owoce, bo to im daje zdrowie, siłę do pracy, osłania przed chorobą, a nawet leczy z ciężkich i długich chorób, jak gruźlica, choroby nerwowe, które są najczęściej następstwem niedostatecznego, a ubogiego w witaminy odżywiania. Również czystą, ładną bieliznę, kołnierzyki, ubrania, a nawet rowery wiciarze otrzymują jako podarunki od swoich rodziców za to, że nie piją wódki, nie palą papierosów i starannie oszczędzają pieniądze.

W roku 1931 na walnym zjeździe uchwalono, żeby Wiciarze nie pili wódki i nie palili papierosów. Obowiązkiem każdego jest, aby od tej chwili walczył z pijaństwem przy każdej okazji i w każdem środowisku, gdzie tylko się znajdzie. Na późniejszych zjazdach uchwalono, że każdy, kto wypił wódkę, nie może być na zabawie wiciowej oraz, że żadne zabawy, imprezy wiciowe nie mogą być opierane na dochodach uzyskiwanych z bufetów, w których sprzedaje się napoje alkoholowe. Kto pił wódkę. nie może nabyć biletu i nie zostanie wpuszczony na „przedstawienie" amatorskie.

Jeszcze jedna uchwała, że muzykantów, którzy grają na wiciowej zabawie nie wolno częstować wódką, jak był zwyczaj do tej pory. Przez powyższe uchwały wyeliminowaliśmy z gromady wiciowej i zbiorowego jej życia duchowego wódkę. Wprawdzie znalazły się jeszcze słabe charaktery, których psychika nie mogła wytrzymać *surowych metod* z entuzjazmem przyjętych, uchwalonych i wykonywanych przez odradzającą się młodzież, ale te jednostki odpadły, odpadają jeszcze od naszych gromad, co nas nie przeraża, gdyż oceniamy ich jako ludzi nie dorosłych do naszego poziomu, niewyzwolonych z pod odziedziczonych

po rodzicach naleciałości pańszczyźnianych. Z racji prawdziwej walki z alkoholem członek „Wici" we wsi Augustowie gm. Kozienice został zabity przez 2 pijanych awanturników, którym nie chciał sprzedać biletu i wpuścić na zabawę wiciową.

Tak walkę z alkoholem już okupiliśmy nawet najdroższą ofiarą, bo młodem życiem 23 letniego wiciarza.

Na trzeźwe zabawy i przedstawienia wiciowe usiłują dostać się różne odpadki młodzieży, typy najczęściej aspołeczne i wywołujące z tej racji awantury. Ponieważ wiciarze stosownie do uchwały powinni unikać wszelkich awantur i nie przyczyniać się do wywoływania ich, przeto każdy, kto usiłuje wywołać bójkę jest natychmiast schwytany, związany, wrzucony do chlewa. Metoda ta daje wspaniałe wyniki i jak jeden wyrzutek wsi prześpi się w chlewie, wzgardzi nim młodzież, unika go jako tego, który swem życiem duchowem niedaleko jeszcze odszedł od mieszkańców obory i chlewa i tam jest godne jego towarzystwo.

Poniżej przedstawię ilość bijatyk i wystawionych świadectw, a tem samem rozpraw sądowych:

1931 r.	świadectw	49	młodzieżowych	31	dorosłych	18
1932 „	„	38	„	19	„	19
1933 „	„	26	„	11	„	15
1934 „	„	23	„	8	„	15
1935 „	„	16	„	6	„	10
1936 „	„	14	„	4	„	10

Jak wynika z tej skromnej statystyki w ciągu 5 lat ilość bójek młodzieżowych spadła z 31 —4, podczas gdy dorosłych tylko o 8 wogóle. Podkreślam jeszcze, że te 4 bójki w roku 1936 zostały wywołane przez młodzież niezorganizowaną, która jak wykazał przewód sądowy napadła na wiciarzy i pobiła ich. żaden Wiciarz za bijatykę nie został w 1936 roku ukarany w pow. Kozienickim.

Młodzież wiciowa nie używa brzydkich słów, nie klnie, szanuje starszych, opiekuje się biednymi; wielką czcią i ciepłem uczucia otacza kaleki, ludzi ułomnych, którzy przez starsze pokolenie byli pogardzani i wyśmiewani. Nic też dziwnego, że obecnie w kołach wiciowych zabawy, wieczornice, przedstawienia są postawione na tak kulturalnym poziomie, że niewiele odbiegają od inteligenckich, a nawet w wielu wypadkach są kulturalniejsze i przyjemniejsze, bo niema wódki i wszystkich jej następstw.

Wobec takiej pozytywnej pracy jest szybki wzrost organizacji oraz wielka przemiana umysłowa i duchowa i to nie tylko w młodzieży, ale i starszych,

Przedyskutowanie na kursach najróżnorodniejszych zagadnień ze wszystkich dziedzin życia społecznego, oraz prądów powojen-

nych jak: faszyzm, komunizm i demokracja i przeczytanie szerokiej literatury z tej dziedziny utrwaliło nas w poglądach demokratycznych, jako najwłaściwszej formie współżycia z sobą ludzi, a tem samem staliśmy się odporni *na komunizm*, którego się u nas nie obawiamy, bo nie może znaleźć wśród nas zwolenników.

Nie lepiej jest i z faszyzmem, który jako opierający się na gwałcie i przemocy, niezgodny z wiarą chrześcijańską, a tem samem naszemi zasadami, nie może znaleźć drogi i przyjąć się na dobrze już uprawionej glebie demokratycznej.

W zakończeniu pragnę usprawiedliwić cały szereg zdań wtrąconych, a nie mających bezpośredniego związku z alkoholem. Uczyniłem to celowo, z całą świadomością i premedytacją, aby z jednej strony zdjąć z warstwy chłopskiej odpowiedzialność za, pod przymusem wypijaną wódkę oraz nakreślić stopniowe wyzwalanie „wolnego chłopa" z pod ciężkiego osadu, jaki na jego psychice i duszy pozostawiła pańszczyzna, z drugiej przedstawić wysiłki wolnej już wsi, zmierzające do usunięcia z naszych chat wódki, która długie lata we wszystkich przejawach życia wsiowego zajmowała pierwsze miejsca.

Na tle tego chciałem uwidocznić nowe życie stwarzane przez pełne zapału i głębokiej wiary w swoją wielką misję dziejową młode pokolenie, które w swoje ręce mocno ujmuje całokształt zagadnień wsi

Wierzę, że ono zadecyduje o tem, aby niskie życie karczemne znamionujące ponurą przeszłość naszą było wyświetlane: na filmach, przedstawiane w teatrach, wyszydzane w pogadankach, wyśmiewane w prozie i poezji, a nie w sądach i prasie.

Na usprawiedliwienie swojego referatu dodam jeszcze, że mówiąc o innych doniosłych zagadnieniach miałem na celu zwrócić uwagę Szanownemu Audytorjum, jak łatwe jest przeobrażanie oblicza dzisiejszej wsi, o ile najpierw zwalczyć wódkę i rozpocząć pracę na trzeźwo. żałuję, że w czasie kilkunastu minut mogłem zdać rachunek z malutkiej cząstki dokonanych prac i osiągniętych wyników. Czulibyśmy się w Kozienickim bardzo szczęśliwi, gdyby metody nasze znalazły chętnych naśladowców, bo jesteśmy szczerze przeświadczeni, że tylko w takiej atmosferze i nastawieniu wychowany obywatel, stanie się prawdziwym budowniczym naprawdę silnej i potężnej Polski; będzie ją kochał, bo czuł w niej będzie swoją pracę, nerwy, mięśnie, zdrowie i siły, krew, młodość i życie swoje.

Będzie się o nią troszczył, nią rządził i gospodarzył, strzegł, bronił, a jak potrzeba zajdzie, umrzeć potrafi.

Do walki z alkoholem, trucizną ducha i ciała, a *„Jednością silni, rozumni szałem"*, zbudujemy zdrową, wielką Polskę.

Garbatka. *Dr. Jaworski Jan.*



ALKOHOLIZM.

Józef Sztama (Kalisz).

CO GŁOWA TO ROZUM.

Przysłowia nazwano mądrością narodów. Krótko ujmują one pewne prawdy odszukane w ciągu pokoleń i przez dalsze pokolenia sprawdzane.

Gdy się zastanawiamy nad polskiem przysłowiem: „Co głowa to rozum", oznaczającem, że w każdej głowie jest inny rozum, nasuwa się wątpliwość, czy przysłowie to głosi prawdę, czy można je zaliczyć do mądrości.

Rozum zależy od mózgu, od jego budowy i rozwoju dokonanego wykształceniem i uzbieranem doświadczeniem życiowem. W związku z rozwojem mózgu zjawiają się pewne różnice rozwoju u poszczególnych jednostek, względnie grup o podobnem wykształceniu i doświadczeniu, czyli t. zw. poziomie umysłowym. W zasadzie jednak mózgi, zbudowane według jednego wzoru stwarzają jednakowe rozumy. Dzięki tej jednolitości budowy mózgu istnieje w zwykłych warunkach możliwość wzajemnego zrozumienia i porozumienia się ludzi, różniących się nawet znacznie poziomem umysłowym. Możliwość porozumienia się istnieje nawet między jednostkami o niezupełnie jednakowej budowie mózgu. Człowiek może się przecież porozumieć z swym koniem, a jeszcze łatwiej ze swym wiernym psem.

Przytoczone przysłowie głosi jednak coś zupełnie z tem niezgodnego, bo jeśli za prawdę uznamy zasadę: „Co głowa to rozum", musimy w następstwie tego przyjąć, u każdego człowieka zasadniczą różnicę w rozumowaniu, ocenianiu tych samych zjawisk, inność wiązania myśli, a stąd niemożność ujednolicenia poglądów i zgodzenia się na jedno ludzi nie tylko należących do różnych grup umysłowych, ale nawet osobników tego samego poziomu umysłowego.

Trudno się zgodzić na uznanie takiej zasady rozbieżności sądów, bo jeśli zgodnie z przysłowiem uznamy istnienie jej za prawdziwe, musielibyśmy się tem samem wyrzec wszelkich dążeń do społecznego uzgodnienia myśli, postanowień i czynów, a więc przekreślić całe życie gromadne.

Skoro jednak kiedyś powstało przysłowie, to twórcy tego krótkiego określenia zjawisk rozumowych musieli przecież mieć jakąś podstawę do jego ułożenia; musiały zaistnieć pewne szczególne warunki, na podstawie których przysłowie głosiło zgodność z prawdą. że powstanie przysłowia: „Co głowa to rozum" musiały spowodować podatne ku temu okoliczności, możemy stąd wnosić, że równocześnie istniało przysłowie przeczące tamtemu, a mianowicie: „Mądrej głowie dość dwie słowie". Zestawienie tych dwu przysłów wskazuje napewno, że pierwsze odnosiło się nie bezwzględnie do wszystkich, ale tylko do głów niemądrych, lub może chwilowo ogłupiałych.

Objawy niemądrości musiały być zauważane bardzo często, skoro aż przysłowie utrwaliło niezgodność rozumów, a niewątpliwie zauważono je przy takich czynnościach, przy których sprawność rozumu szczególnie wyraźnie się ujawnia.

Głowy pracują, a rozumy ujawniają się przedewszystkiem w radzie. W Polsce było bardzo wiele sposobności do oceniania rozumów, bo chyba nigdzie na świecie tak wiele nie uradzono. Na przelicznych sej-

mikach i sejmach, odprawianych przez grupy o jednolitym poziomie umysłowym ciągle radzono, ale widocznie każdy z uczestników rady przynosił inny rozum, tak bardzo odrębny od rozumu każdego członka zgromadzenia, że w żaden sposób nie można było znaleźć jakichś wspólnych punktów zahaczenia; porozumienie stawało się niemożliwe, aż rada rozjeżdżała się nic nie uradziwszy, bo się ludzie ze sobą nie mogli dogadać.

Gdyby przysłowia „co głowa to rozum“ nie byli ułożyli nasi przodkowie, możnaby je zbudować na podstawie współczesnych zjawisk w rozumowaniu.

Są sprawy trudne, zawiłe, które mogą rozwiązać ludzie o szczególnem uzdolnieniu, ale są drugie proste i jasne, sprawy codzienne, domowe, co do których nie może być dwóch zdań, a takie zagadnienia mogą rozumieć i jednolity sąd o nich wydać wszyscy ludzie, posiadający zdrowy mózg.

Nie potrzebując sięgać w przeszłość, dzisiaj ciągle około siebie spotykamy dziwną trudność w porozumiewaniu się ludzi właśnie w tym małym domowym zakresie niesłychanie łatwym do uchwycenia przez t. zw. prosty chłopski rozum. Taką rozbieżność myśli znajdziemy w gronie rodziny, w organizacjach społecznych, na wszelkiego rodzaju posiedzeniach, zgromadzeniach, radach i wiecach; w rządach i parlamentach.

Kto choćby czasem bywał na publicznych zebraniach, na których każdemu wolno zabierać głos, ten sobie przypomina, jak wiele na takich zebraniach jest gadaniny t. zw. „akademickiej dyskusji“, w której co chwilę kto inny mówi ni w pięć ni w dziewięć i jeszcze żąda by to zapisać, a chociaż chodzi o sprawę tak prostą, że dla omówienia i załatwienia jej dość byłoby dwie słowie, rozprawia się godzinami nie dochodząc do żadnego wyniku.

Dawniej, gdy się ustalało przysłowie, zauważono to samo, co dzisiaj, a skoro podobieństwo budowy mózgu warunkuje podobieństwo myśli, trzeba poszukać przyczyny, dla której między ludźmi, uznanymi za będących przy zdrowych zmysłach, zamiast łatwej zgody, istnieje niedające się zażegnać jedno wielkie nieporozumienie.

Wyjaśnienie tego zagadnienia nastręczył mi przypadek.

Podczas przelicznych pogadanek, przeprowadzanych z bardzo mieszanymi słuchaczami w wagonie-wystawie przeciwalkoholowej zdarzało się, że rozmówcą mym był obywatel, z którym w żaden sposób nie można było przyjść do ładu, jakby był chory na umyśle.

Wybitną cechą takiego niedomagania myślowego bywała trudność dłuższego zatrzymania się nad jednym zagadnieniem i powstrzymania się od wyrażenia, nasuwających się myśli; przerywanie rzucaniem uwag dalekich od omawianej w tej chwili sprawy, brak cierpliwości do wysłuchania dokończenia kilku prostych zdań, niepohamowany pęd naprzód. Uparte powracanie do rzeczy co dopiero całkowicie załatwionej, jakgdyby się o tem nic jeszcze nie mówiło. Odpowiedzi na pytania niejasne, bez związku zgoła nieoczekiwanie odskakujące od treści rozmowy. Przy tym znamienna niemożność ukrycia zadowolenia z każdego swego powiedzenia.

Chcąc takiego rozmówcę przecież jakoś naprowadzić na prostą

drogę rozumowania podchodziłem do niego bliżej; zupełnie blisko i wtedy wstępowałem w krąg odoru alkoholowego. Na prośbę, by mi szczerze powiedział, ile dzisiaj wypił, otrzymywałem odpowiedź: jeden, dwa, lub najwyżej trzy kieliszki.

Odpowiedziom tym można było wierzyć, bo stopień zatrucia alkoholem nie objawiał się chwiejnością nóg, ani plątaniem się języka, ani żadnemi innemi zmianami, jakie występują po większej ilości kieliszków. Jedynym objawem zetknięcia się rozmówcy z alkoholem była zmniejszona sprawność mózgu.

Doświadczenie z bałamutnymi rozmówcami przeprowadzałem kilkakrotnie i za każdym razem stwierdzałem, że byli pod wpływem małych dawek alkoholu. Po pewnym czasie doszedłem do takiej wprawy, że kiedykolwiek mając do czynienia z oporem w przyjęciu prostej nauki przypuściłem przeszkodę, spowodowaną obecnością alkoholu w mózgu, zawsze udawało mi się sprawdzić, że się nie myliłem.

Gdy podobne stany opanowania człowieka przez alkohol rozciągniemy na większą ilość wypadków, to już niedaleko do odszukania warunków, w których przysłowie: „Co głowa to rozum" głosiło prawdę.

W czasach w których ono się ustalało nigdy przecież nie zasiadano do rady bez uprzednich kilkudniowych do tego przygotowań pod wiechą. Trudno sobie nawet wyobrazić, by jakikolwiek zjazd, grupy uprawnionej do rady, mógł się obyć bez biesiadowania, przy którem wypróżniano całe beczki wina, miodu i piwa. Wynik był ten, że do rady zasiadali jedni, którym się tylko trochę kurzyło z czupryny, inni z plączącym się językiem, jeszcze inni na chwiejnych stojący nogach, a takiego, któryby dzisiaj radząc nie przyszedł tu po spożyciu na śniadanie miski piwnej, lub winnej polewki, nie było. Gdy każdy z uczestników rady w innym stopniu pozostawał pod działaniem alkoholu, nic dziwnego, że w każdej głowie był inny rozum.

Zjawisko tego samego rodzaju spotykamy także dzisiaj. W naszych czasach używanie alkoholu jest bardziej powszechne, bardziej codzienne, niż było kilka wieków wstecz i dlatego ze świecą trzeba szukać człowieka, któryby dzisiaj nie próbował alkoholu, lub nie pozostawał pod działaniem następczem po wczorajszym kieliszku. W takich warunkach już nie tylko w radzie, ale w życiu codziennym w każdej głowie inny rozum.

Twierdząc, że nie co innego, ale tylko alkohol był i jest przyczyną zjawiska rozbieżności myśli, *nie mówię o opilstwie*, o znanym stanie zupełnego osłabienia czynności rozumowych, zmysłowych i ruchowych, ale o wpływie, jaki wywiera na człowieka *zupełnie mała dawka alkoholu;* jeden, lub dwa kieliszki.

O takich małych dawkach jest tu mowa.

Twierdzenie, że powszechne używanie alkoholu zakłóca prawidłowość myślenia wynika z rodzaju działania alkoholu na mózg.

Alkohol jest trucizną.

Truciznę tę znajdujemy w wódce, winie, piwie, winach domowego wyrobu, konjaku i innych napojach upajających.

Tak więc ani istniejący przed wypiciem rozum, ani najsilniejsza wola, ani uczoność, ani jakaś ludzka dostojność, ani żadna potęga nie

zdoła odwrócić właściwości alkoholu i nie przeinaczy sposobu jego oddziaływania na mózg.

Z chwilą gdy tylko alkohol dostanie się do mózgu nieodwołalnie powoduje odurzenie.

Tak być musi, takie jest alkoholu przyrodzone prawo!

W związku z poznaniem rodzaju zachowania się alkoholu w mózgu można o jego działaniu powiedzieć tylko jedno: *mało alkoholu szkodzi trochę; dużo alkoholu szkodzi bardzo.*

To jest jego drugie niezmienne prawo.

Choćby ktoś nie wiem jak uczenie i wymownie uzasadniał nieszkodliwość t. zw. umiarkowanego używania alkoholu, nie wstrzyma tego co jest jego prawem, bo nad bezwzględnem wykonaniem tego prawa czuwa niepokonana siła przyrody.

Mózg może prawidłowo wykonywać swoje czynności, gdy jest zdrowy i nieuszkodzony, a wtedy człowiek przy pomocy swego zdrowego mózgu wypracowuje to, co się nazywa rozumem. Alkohol odurzając mózg, uszkadzając ten przyrząd, rządzący wszystkimi czynnościami ustroju, a przedewszystkiem służący do wytwarzania myśli, odbiera człowiekowi rozum.

Mało alkoholu odbiera trochę rozumu; dużo alkoholu sprowadza pełnię zamętu myślowego aż do całkowitego unicestwienia poczytalności.

Rzecz znamienna, że uszczerbek myśli ludzkiej z całą wyrazistością zjawia się już po takich dawkach alkoholu, jakie w innej dziedzinie czynności ustroju nie zdołały jeszcze wykazać jakichkolwiek widocznych zmian i jeszcze nie zachwiały sprawnością cielesną, a w tem właśnie całe nieszczęście życia społecznego, ciążące nad wszelkiemi rozumowemi poczynaniami zbiorowiska ludzkiego.

Musimy sobie uprzytomnić, że zatruwanie mózgu alkoholem to przecież wypadek nie wyjątkowy, ale codzienny. Dla przykładu wystarczy przypomnieć, że w Polsce przepływa przez mózgi mieszkańców kraju 578 tysięcy hektolitrów 100° alkoholu rocznie. Stąd jasne i nie dające się zaprzeczyć, że tak ogromną ilość alkoholu wypili nietylko niektórzy, ale poprostu wszyscy. Na całym świecie piją dzieci i starzy, ojcowie i matki, robotnicy miejscy i lud wiejski, nauczyciele, lekarze, urzędnicy, sędziowie, kupcy, wyborcy i posłowie, bezrobotni i pracownicy zajmujący ważne, pełne odpowiedzialności stanowiska, mali i wielcy dostojnicy; słowem wszyscy, z których się składa całość społeczeństwa. *We wszystkich głowach, po każdym kieliszku ubywa nieco rozumu.*

Zmniejszenie poczytalności i mały stopień ogłupienia, wywoływany raz po raz takimi dawkami, jak jeden kieliszek, jest dla życia społecznego groźniejsze niż stany nieprzytomnego opilstwa.

Przedewszystkiem opilstwo, stan ciężkiego zatrucia alkoholem zdarza się stosunkowo rzadko, niecodziennie i nie wszystkim ludziom. Bywają przecież ludzie, nawet codzień używający alkoholu, którzy nigdy nie byli pijani. Powtóre człowiek pijany jest powszechnie uznany za niezdolnego do wszelkiego rozumnego działania. Jego nikt się o radę nie pyta, nikt się z jego zdaniem nie liczy, pijany o niczym nie rozstrzyga, ani domowych, ani publicznych spraw nie załatwia. Człowiek nieprzytomny, lub tylko władający resztkami przytomności nie wchodzi w życiu

w rachubę. Pijanemu nikt nie poruczy żadnej czynności i nie czyni go za nic odpowiedzialnym. Pijany, to człowiek chory, o wszelkich znamionach obłędu, a więc stojący poza nawiasem życia zbiorowego.

Inna rzecz z tem lekkiem zatruciem alkoholem, które tylko troszkę odbiera rozum, nieznacznie człowieka ogłupiając i inna rzecz z następczem działaniem alkoholu.

Wyleczenie uszkodzeń wywołanych alkoholem nie następuje szybko. Ci wszyscy, którzy wypili mało lub dużo, a zwłaszcza ci, którzy byli pijani, na drugi, a nawet na trzeci i czwarty dzień nie rozporządzają jeszcze pełnią swych uzdolnień umysłowych, pozostając w stanie mniejszego, lub większego oszołomienia i przytłoczenia.

Jedni i drudzy uchodzą za zupełnie zdrowych na umyśle, a jest ich codziennie setki tysięcy. Codzień tysiące obywateli z odurzonym mózgiem ma prawo działać w domu i w życiu publicznem, wnosząc wszędzie swoje błędy myślowe, a w ślad za tym szkody tem większe, im bardziej dany obywatel odpowiedzialne zajmuje stanowisko. Powszechność niepoczytalności uprawomocniła się tak dalece, że się ją poczytuje za stan prawidłowy. Zmniejszona alkoholowa poczytalność, właśnie przez swą powszechność wywalczyła dla siebie takie prawo obywatelstwa, że nawet niebezpiecznie zwrócić komuś zgodnie z prawdą uwagę na uszczerbek jego rozumu, gdy od niego czuć alkohol, bo z tego ciężka obraza i nawet groźba procesu.

Lekko odurzonych alkoholem nikt nie odsuwa od ich codziennych czynności, bo powierzchownie nie zdradzają zmniejszonej poczytalności umysłowej. Przecież nikt w Europie nie przeszkadza, by dziennikarz pisał, lekarz leczył, nauczyciel uczył, by prokurator oskarżał, świadek obciążająco zeznawał, a sędzia sądził, by wódz wydawał rozkazy wojenne, a naczelnik urzędu oceny o wartości swych podwładnych, by artysta tworzył, urzędnik załatwiał poruczone mu sprawy, poseł radził, a minister rządził, po wypiciu jednego, lub dwu kieliszków, lub po wczorajszem upiciu się na „reprezentacyjnym bankiecie“, chociaż napewno rozum ich w tym stanie szwankuje. Takich i podobnych pracowników uznaje się za niezdolnych do wykonywania swych zadań dopiero wówczas, gdy się im chwieją nogi, a nie już wtedy, gdy po małych dawkach alkoholu chwieje się im umysł. Słowem traktuje się ich jakby to byli pracownicy nożni, a nie umysłowi.

Stany lekkiego zatrucia alkoholem dzięki swej niesłychanej częstości uszczuplania sprawności umysłowej stanowią prawdziwą plagę społeczną. Znając tylko takie życie, w którem co głowa to inny rządzi rozum, nie usiłujemy sobie nawet wyobrażać, jak bardzo inaczej układałyby się wszystkie stosunki wzajemnego pożycia ludzi i do jakiej potęgi dojśćby mogła twórczość ludzkiego rozumu, gdyby tych drobnych a codziennych hamulców w mózgu nie było.

Niema takiej miary, ani wagi,którą dałoby się wykazać wysokość alkoholowych uchybień rozumowych i jakąś cyfrą oznaczyć stopień odchylenia codziennych postępków od wskazań zdrowego rozumu. Za to bez liku możnaby mnożyć przykłady nieporozumień w rodzinie, w społeczeństwie, w sejmach, w rządach, w stosunkach międzynarodowych. Bez końca można przytaczać wypadki pokrzywdzenia ludzi, przez ludzi, którzy często czyhają na zachwianie się rozumu bliźniego, by w tym

stanie zgodził się na własną szkodę. Uszczuplenie rozumu rodzi mnóstwo niesprawiedliwości, gdy małe dawki trucizny inaczej każą widzieć, słyszeć i rozumieć; inaczej oceniać prawdę. W potocznej mowie, nazywa się to punkt widzenia lub sposób zapatrywania na sprawę.

Bytowanie człowieka na ziemi jest z założenia uciążliwe i trudne, a wszystko cokolwiek on przedsiębierze zawsze zmierza do ułatwienia sobie życia. Alkohol, ciągle mącący rozumy, nie tylko hamuje stwarzanie ułatwień, ale samo życie ludzkie jeszcze bardziej utrudnia i zbrzydza.

Dążąc do polepszenia życia nie można zapominać o przemożnej alkoholowej przeszkodzie i z całą usilnością trzeba się starać o przemienienie powszechnego bezmyślnego zwyczaju ograniczania swych zdolności myślenia.

Droga do tego najprostsza i najkrótsza — niepicie alkoholu. Taka zupełna wstrzemięźliwość jest niesłychanie łatwa do urzeczywistnienia dla wszystkich, którzy nie są chorobliwymi alkoholikami, bo gdy ktoś pija bardzo mało, to niedaleko od tego, by nie pić wcale.

Powszechna trzeźwość zmieni nieznośne stosunki, bo wtedy znikną różnice zapatrywań i przykre nieporozumienia, gdyż każdej głowie będzie dość dwie słowie.

Lwów. *Mikołaj Skiba.*

STOPNIE W DÓŁ.

— Panie Ignac, jeszcze jednego!

— żeby nam się dobrze działo!...

— Cichojcie! Michał gada!

— Dolejcie, gospodarzu, tej kminkówki — i pełnemi kieliszkami zdrowie państwa młodych!

— Niech żyją!.. wiwat!

— Andrzej, pij!... przecież to twoje wesele!

— Kiedy już nie mogę, Jasiu, w głowie mi się kręci!...

— Nic ci nie będzie, pij!...

Gwar przy stole się wzmaga, wódka płynie strumieniem, nie dziwota, wszak to najbogatszy gospodarz Marek Oksiuta wydaje za mąż córkę, cała wieś Jeziorki zaproszona, a nawet z pobliskiego Konina przyjechało kilku kawalerów — wesoło!... Jeden z nich, ubrany z małomiesteczkową elegancją — w czerwonym krawacie, nachyla się ku ładnej blondynce z szafirowemi oczkami i szepce:

— A panna Zosia — to tylko dziobek umoczyła...

— Kiedy ja niezwyczajna... nie lubię...

— Jak Boga kocham... panno Zosiu — Co!... co to za zabawa bez picia?...

Szesnastoletnia Zosia, druchna w niebieskiej sukience, nieśmiało sączy piekący napój, a oczy jej biegną ku drugiemu końcowi stołu, gdzie siedzi Władzio Kowalski i również tęsknie spogląda ku niej... Mają się ku sobie oddawna... kto wie... może za rok... jak tylko stary Kowalski zrobi „dział“... Oj, wolałaby Zosia tam się przesiąść, cicho, spokojnie

porozmawiać z Władziem, on taki swój, bliski, a musi siedzieć z tym pijanym Frankiem z miasta, który ciągle dolewa jej do kieliszka.

— Ja już nie chcę, panie Franciszku, tańczyć nie będę mogła...

— Ale! zaraz po pierwszej polce wytrząśnie panna Zosia z siebie całą kolację... a wódka dodaje animuszu... śmieje się łobuzersko...

Zosia pije...

Przy stole coraz głośniej, wszyscy gadają jednocześnie, twarze rozczerwienione, błyszczące oczy, języki się plączą; w kącie najęty muzykant — upity i najedzony zaczyna przygrywać na harmonji.

— Ojra! ojra!... — podchwytują obecni... odsuwanie ław i stołów, stół jedzie pod ścianę — już biorą się w tany...

Hej! wesoło! wesoło!...

Furkoczą krochmalone spódnice, buty tupią zawzięcie, aż drzazgi lecą... Starsi usunęli się pod piec i ugwarzają sobie, niektórzy zaczynają się kłócić... alkohol rozwiązał języki, wypływają na wierzch dawne urazy, zapomniane krzywdy. Pani Pawłowa Salkowska. opowiada kumie z miasta, jaka to zdolna dziewczyna jej Zosia, i czytać na książce potrafi i uszyć umie, toć te sukienkę na wesele sama zrobiła... Popija pani Pawłowa słodki miód i łzy rozczulenia spływają po jej pełnych policzkach.

— Moja kumo, to i chwała Bogu, że wam się dobrze wiedzie... macie trochę grontu i wasz tą ciesielką nieźle zarabia...

— Prawda, prawda, moja droga kumciu... u nas choć nie bogato, ale jeść mamy co; dzieci dobre, Anielka, Kostek, choć to nie duże, ale jest wyręka, a mój Paweł nigdy mi marnego słowa nie powie, od wódki się wyprzysiągł — do gęby nie weźmie, ma we wsi szaconek, należy do bractwa, we święta na procesyi baldachim nad proboszczem nosi razem z gospodarzami... Ambitny jest...

Popijają kumcie, zwierzenia przesuwają się, jak paciorki różańca... w powietrzu unosi się woń alkoholu, tłustych potraw i dymu z papierosów... Pot strugami spływa z rozgrzanych twarzy...

— Panno Zosiu — co jest?...

— Jakoś mi wszystko się kręci, to ta wódka... Pójdę do mamy...

— Po co do mamy? ja pannę Zosię na podwórze wyprowadzę, na powietrze...

— O, Jezu! jak mi szumi w głowie!... a przed oczami takie koła, wszystko miga, miga... tatuś ma dwie głowy, wszyscy mają po dwie...

Pan Franciszek wyprowadza tancerkę do sieni, a potem za stodołę, gdzie sągi drzewa...

— No co? lepiej?...

Świeże, nocne powietrze oszałamia jeszcze więcej dziewczynę, zaczyna się chwiać... Franek obejmuje ją w pół i ciśnie do siebie...

— Ojej!... co też pan Franciszek robi?... proszę puścić!...

— A właśnie!... żeby Zosia upadła... będę mocno, mocno trzymać.

Ciśnie ją coraz silniej, usta jego szukają jej ust... choć uchyla się i odpycha go jak może...

— Moje śliczności... moja ptaszynko... a nie wyrywaj się tak... — szepce zdyszanym głosem mężczyzna, okrywając jej twarz pocałunkami...

Zosia traci resztę przytomności, przymyka oczy... wyobraża sobie, że to Władzio do niej mówi, boć to ich wesele...

— Oj da, ra da! oj, da ra da!... — dobiega zdala.

— Mamo... — jęczy Zosia...

— Chodź, chodź, coś ci powiem... ale nie tu...

— A gdzie?... — bełkoce zupełnie zamroczona...

— O, tam, za tym składzikiem, tam dobrze...

— Jak ciemno... ja się boję...

— Nie bój się... cicho...

Ciągnie ją siłą, bezwolna, nieprzytomna poddaje się biernie, nagle potyka się i pada na dużą kupę piasku... czuje obejmujące ją ramiona... jakieś straszne, mgłą przesłonięte oczy wpijają się w jej źrenice, coś się wali... i noc spada na jej głowę...

— — — — — — — — — — —

Budzi ją przeraźliwy krzyk... Zrywa się z ziemi. Jest sama... Czuje zamęt w mózgu i jakiś dziwny ból w całem ciele...

Z otwartych okien chałupy buchają raz po raz dzikie wrzaski...

Zaczyna biec... nagle przez drzwi wywala się cała gromada splątanych ciał... już poszły w ruch zwarte pięści, polana drzewa, koziki...

Kobiety piskliwie zawodzą, przytomniejsi zaczynają ich lać wodą... nie pomaga...

— Zośka! Zośka! gdzie ty? — głos Pawłowej dźwięczy niepokojem...

—Jestem, tu jestem... mamusiu...

— Gdzieś się podziewała?... Chodzi do domu... parobcy się tłuką, nie daj Boże, jakie nieszczęście...

Zjawia się ojciec.

— Chodź, matka!... jeszcze na świadka wezmą... Oto macie! wódka! Zawsze ta wódka!...

Oddalają się śpiesznie, a za nimi goni wciąż głuchy łomot bijących się i zawodzenia kobiet.

Zosia idzie z pochyloną głową, nie zdaje sobie sprawy, co się stało... jest jej źle.

To pierwszy stopień...

II.

Dzień chmurny, z nieba padają duże płaty śniegu i momentalnie roztapiają się na chodnikach. Zimno przejmujące. Ulica wygląda posępnie, wśród zapadających wczesnych ciemności błyszczą światła wystaw i elektrycznych reklam... ale nikt nie zatrzymuje się przed sklepami, każdy przechodzi wysoko postawiwszy kołnierz, brnie szybko przez zabłocone chodniki, kobiety w wysokich gumowych botach siadają spiesznie do aut lub tramwajów, obawiając się widocznie o staranną malaturę swych twarzyczek. Jakaś ckliwa melancholja, jakiś bezprzedmiotowy ból czai się w załamach kamienic i płynie po przez mokre, wycią-

gnięte równo ulice. Z nagich gałęzi drzew spadają do czasu do czasu zlepione szmaty śniegu i tają, rozdeptane tysiącznemi stopami.

Nowogrodzka. Ruch mały.

Z posiniałym nosem i zmoczoną grzywką idzie Zosia Salkowska. Oczy z tępym wyrazem bezsiły i zmęczenia utkwiła w wylot ulicy — nie wie, co robić. Od trzech dni nie jadła, prócz bułki, kupionej za ostatnią dziesiątkę, od trzech dni nie spała — jest do ostatnich granic wyczerpana i zrozpaczona. Błąka się po obcem mieście, nikogo nie zna, nie wie, gdzie się zwrócić. Przed paru godzinami zdrzemnęła się na dworcu, ale zbudziła ją jakaś dziewczyna, szepnąwszy: „uciekaj! obława!"... Nie wiedziała, co to znaczy, ale zobaczyła eleganckie panie, wysuwające się bocznem wyjściem, dziewczyny w chustkach, zmykają co tchu, a jacyś cywilni panowie przytrzymali kilka kobiet i poprowadzili ze sobą. Zośka wyskoczyła jak oparzona i oparła się aż na Marszałkowskiej... Miała wrażenie, że uniknęła jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa, ale jakiego — nie wiedziała. Zimno przeniknęło ją do szpiku kości...

— „Matko Boska, co robić, co robić?... W rodzinnych Jeziorkach znała wszystkich, wiedziała do kogo i gdzie się zwrócić, każdy zaułek, każdy kamień przydrożny był swój — a tu? te nieskończone długie ulice, te domy, na które musiała patrzeć, zadzierając głowę, ci obcy, dalecy ludzie, do których nie miała śmiałości podejść. Myśli o wypadkach ostatnich miesięcy — i łzy napływają jej do oczu...

Takie straszne nieszczęście zwaliło się na nią.

Po tym weselu Anki Oksiutówny, zapomniała o upiciu się i o Franku i o jego pocałunkach... przeszło i już. Starała się nie myśleć o tem... Ściskał ją i całował jakiś obcy... wstyd... wstyd... gdyby się tatuś dowiedział... wybiłby chyba, a mama...

Jak dawniej przychodził Władzio, rozmówił się z rodzicami, ułożyło się wszystko dobrze... Ojciec nastawał tylko, żeby czekać: „młoda jeszcze, ma czas... a ty Władek odsłuż wojsko, a jak wrócisz — to i „działy" nastąpią i wtedy można będzie się pobrać"...

Obie rodziny zgodziły się na to. Chodziła z Władkiem w niedzielę do lasu... zbierali grzyby — jesień była taka ładna... taka ciepła... Uśmiechała się Zosia do życia. A tu nagle coś się popsuło... Zaczęła czuć się jakoś niedobrze... nie była chora, a odrzucało ją od jedzenia, czasami chwytały jakieś mdłości, że strach!... Minął miesiąc, drugi trzeci... Matka coś zauważyła... wzięła ją na spytki...

Pamięta, pamięta tę okropną scenę, gdy złapała ją za włosy pod płotem, gdy szarpały nią wymioty i pytała zdławionym szeptem:

— Ty łajdaku, ty ścierwo... to nie czekałaś wesela?... a ten Władzio... taka niuńka, i ot co pokazał...

— Mamusiu... Władek... nie prawda, ani mnie nie tknął... przysięgam...

— Co?... a któż?... gadaj mi zaraz...

— Ja nie wiem... nie rozumiem...

— Patrzcie, nie rozumie!... z powietrza, czy jak?...

— Mamusiu, — jęczała, obejmując jej nogi, nie bij...

— Z kim, z kim co miałaś?

— O ja nieszczęśliwa! nie wiem, nie wiem... — zalewała się łzami...

— Duszę z ciebie wytrząsę, a musisz mi powiedzieć... gdzie chodziła? z kim? kiedy?... Jezus Marja! Jezus Marja!... zwarjować można.

Zośka łkając przysięgała na wszystkie świętości... nigdzie nie chodziła, z nikim się nie zadawała... tylko wtedy na weselu Anki... ten Franek... piła ona... wyprowadził ją za stodołę, całował i obejmował, ale więcej nie pamięta, może to było wtedy... nie wiedziała, była pijana...

Matka zalewała się łzami: „Moja wina, moja wina, powinnam cię była pilnować... Co robić? Ojciec chyba zabije i mnie i ciebie... taki wstyd, taka hańba na całą rodzinę... całe Jeziorki się dowiedzą... i Władek... nie, nie! trzeba radzić... trzeba coś wymyślić... A ty milcz! ani pary z gęby!... Po paru dniach zamknęła się z Zośką w alkierzu i wyłożyła co i jak: Zosię wyprawi do Warszawy, do ciotki, która ma sklepik, ciotka wdowa, nie ma dzieci, Zosię bardzo kochała, kiedy ta była małą.

— Opowiesz jej, jak księdzu na spowiedzi — wszystko... Ona poradzi... W Warszawie mają na wszystko sposoby, a jeżeli nie — to urodzisz, dziecko się gdzieś umieści i koniec... A u ciotki nauczysz się pomagać w sklepie, nauczysz się porządnie krawieczyzny i za rok wrócisz... Świat się nie dowie. Ojcu już powiedziałam, że trzeba, abyś się czegój nauczyła... zgodził się na wyjazd...

— Zośka popłakała, pożegnała rodziców i wieś i Kostka i Anielkę i wszystkie drzewa w lesie i Władka, który był bardzo zmartwiony i ściskając jej ręce pytał:

— A nie zapomnisz o mnie? a może warszawskie kawalery odbiorą mi ciebie?...

A ona, łykając łzy, zapewniała:

— Co też Władzio mówi? jak można takie rzeczy przypuszczać do głowy?... I Władzio przecie za dwa miesiące idzie do wojska, niewiadomo, gdzie wyszlą — to i tam będą inne panny, ładniejsze odemnie...

Zaklinał się, że na żadną nie spojrzy... płakali oboje — rozstając się... Wreszcie wyjechała, mając zawiniętą w chusteczcę na piersiach metrykę, adres ciotki i dziesięc złotych... Trochę bielizny i sukienkę zawinęła w chustkę... Była pełna nadziei, że wszystko dobrze się skończy, już nie myślała, żeby się utopić w stawie...

„Miłosierny Pan Bóg mi przebaczy, a ja już nigdy, nigdy tej przeklętej wódki do ust nie wezmę...“ przyrzekała sobie, jadąc w pociągu.

Warszawa ją oszołomiła. Jak głupia łaziła tu i owdzie, po raz pierwszy widziała tramwaje, auta wprowadziły ją w zdumienie wystawy sklepowe wydawały się cudem, a gdy wieczorem zabłysły wszystkie lampy elektryczne, gdy tysiącem świateł świeciły gdzieś w powietrzu zawieszone neonowe ogłoszenia — Zośka stawała osłupiała i przelękła. Do owego Targówka dojść nie mogła, więc pytała się po drodze różnych ludzi, wreszcie jakaś pani wsadziła ją do tramwaju. Na Targówku ledwo trafiła pod dany numer, ale w sklepiku siedział ktoś obcy, od niego dowiedziała się, że ciotka już kilka miesięcy temu sprzedała interes i wyniosła się na prowincję, hen, w Sandomierskie do zamężnej siostrzenicy. Zośka aż przysiadła ze strachu. Co teraz zrobić? gdzie zanocować? Właściciel sklepu przyjrzał się jej świeżej twarzyczce, autentycznym rumieńcom i wielkim błękitnym oczom — i zaproponował, aby zanocowała u niego. Zawahała się. Patrzył na nią tak żarłocznie, że mrówki

zaczęły chodzić jej po skórze, a gdy wreszcie nachylił się i objął ją wpół — wyrwała się i uciekła co sił.

Przez kilka godzin chodziła po Pradze, kupiła sobie chleba i kiełbasy, zjadła na schodkach małego domku i spytała stróża, gdzie tu można przenocować.

— A ile panna da? — spytał człowiek, szumnie zwany dozorcą.

— A co ja mogę panu dać? Mam całego majątku złoty pięćdziesiąt groszy...

— To ci kapitał... — mruknął — daj panna tę złotówkę, a pozwolę przespać się w kącie, u mnie dużo dzieci, niema miejsca...

Było już późno, Zośka nie miał wyboru, z bólem serca wyciągnęła chusteczkę i z węzełka wysupłała błyszczący pieniądz, dozorca wziął, chuchnął i odrazu spojrzał na przeciwległy róg, skąd dochodził głos gramofonu i pijackie krzyki.

— Chodź panna — wprowadził ją do małej izdebki i krzyknął — „Gieńka, przenocuj tę pannę, daj jej tą starą derkę do przykrycia".

— A już!... — odburknęła stróżka — a pod czem będzie spać Stasiek? Kładź się dziewczyno, gdziebądź, ale pościeli nie dostaniesz.

I tak Zośka, podłożywszy pod głowę swój mały tłomoczek—przedrzemała noc całą, niepokojona przez pluskwy i myszy.

Następny dzień przechodziła, gapiąc się na wystawy i wchodząc do małych sklepików, aby zapytać się, czy nie ma jakiej pracy. Używała sposobu z Konina, gdzie o żadnych kantorach i pośrednictwie pracy nie wiedziano jeszcze. Odpowiadano jej opryskliwie lub kazano się wynosić. Onieśmielona bała zwrócić się gdziekolwiek, zjadła tylko kawałek chleba i zmęczona przesiedziała na dworcu kilka godzin wieczornych; potem jakaś dziewczyna z wykarminowanemi ustami poradziła jej, aby wyszła, gdyż mogą ją zaaresztować. Zośka nie zrozumiała, o co chodzi właściwie, przecież nikogo nie okradła, ani zabiła — ale usłuchała. Noc spędziła w jakimś kącie podwórka, przytulona do ściany, drżąc z zimna i ze strachu, by ją kto nie zobaczył.

Trzeci dzień był najgorszy, osłabła, z braku snu i pożywienia kręciło się jej w głowie, a gdy sięgnęła do torebki, aby za ostatnie 40 groszy coś kupić — z przerażeniem się przekonała, że zarówno metryki, jak i pieniędzy nie było. Musiała jej to zabrać owa dziewczyna z dworca, kiedy zadrzemała zmęczona. Widmo głodu stanęło przed nią, trzęsła się z zimna, a łzy napływały do zaczerwienionych bezsennością oczu.

Tłumy snuły się po ulicach zaaferowane, śpieszące... tylu ludzi było na świecie, a nikt jej ręki nie poda, nikt nie zapyta — czuje się taka biedna, sama, bezbronna... Zabrnęła na Krakowskie. Kościół był jasno oświetlony... jakiś ślub... wsunęła się do przedsionka i patrzyła na strojne druchny, na pannę młodą w mirtach i zwojach białej iluzji, na wyfraczonych mężczyzn i wytworny orszak ślubny... Organy pięknie grały... uklękła... i zaczęła się gorąco modlić o pracę lub powrót do rodzinnych Jeziorek, o dach nad głową i kawałek chleba.

Wyszła trochę pokrzepiona na duchu — ale chłód się zwiększył, na noc brał przymrozek, nogi miała przemoczone, była zupełnie chora... W żołądku czuła pustkę i ból. Ruch wzmagał jeszcze apetyt. Coraz większe znużenie podcinało jej nogi, wlokła się drżąca, wystraszona, z tępem przerażeniem w źrenicach.

Zapadł wczesny zmierzch zimowy. Wystawy sklepów zabłysły setkami świateł, w powietrzu hen na dachach — na tle ciemnego nieba, migały różnokolorowe napisy... Zośka gapiła się bezmyślnie, potrącana przez tłum. Nie zauważyła nawet, że jakiś gruby, przyzwoicie wyglądający jegomość dwa razy obejrzał się za nią i zwolnił kroku. Badawczem okiem obejrzał ją od stóp do głów, chwilę poczekał i zrównawszy się z nią — zapytał:

— Cóż to panienka tak sama spaceruje?

Zosia drgnęła i podniosła nań smutne błękitne oczy.

— Czy nie lepiej pójść we dwoje i zabawić się gdziekolwiek?...

— Kiedy ja nie mam nikogo znajomego.

— O to najłatwiej, możemy się poznać...

— Ja nie wiem...

— Panienka nietutejsza? co?

— Tak, ja z pod Konina...

— To zaraz znać — ja też przyjezdny, ale w Warszawie jestem jak w domu. Konin... wiem, wiem, byłem tam kiedyś... ładne miasto...Taka młoda i taka sama... Może pójdziemy co zjeść — czas na kolację, albo do kina, co?... — i śmiał się dobrodusznie.

Zosia spojrzała z wdzięcznością, nabrała odrazu zaufania, znał Konin... zajął się nią, może jaką służbę nastręczy...

— Więc jakże?...

Oczy Zośki napełniły się łzami...

— Tak... zjadłabym co... — szepnęła ze wstydem. Gruby pan raz jeszcze ją obejrzał. Iść z nią do restauracji — niepodobna, strasznie nędznie wygdąda, ale twarzyczka ładna i miła — pewno początkująca..

— Ja tu mieszkam w hotelu — blisko... pójdziemy i każę dać kolację w numerze.

— Proszę pana, ja nie mogę, bo...

— Cóż? boi się panienka? — ja krzywdy żadnej nie zrobię — ot, zjemy i porozmawiamy, a potem panienka pójdzie do domu...

— Do domu!... — Zosia się zatrzymała... znów noc gdzieś w bramie, na mrozie... pójdzie, choć na godzinę... ogrzeje się, naje... Przecież to nic złego...

— No, jakże będzie?

— A to pójdę, jeśli pan taki grzeczny... — szepnęła.

Za chwilę szli po schodach trzeciorzędnego hoteliku, pan wziął klucz od numerowego i wpuścił Zosię do pokoju, sam zeszedł do restauracji i zamówił kolację...

Zosia wciąż stała na środku pokoju w czapeczce i żakiecie...

— Czemu się panienka nie rozbiera.... Jak na imię?...

— Zofja...

— Ach! Zosia... no, proszę p. Zosiu — ot tak... rozebrać się... usiąść tutaj i pogadamy...

Pan był grzeczny, łagodny, usadowił Zosię na miękkiej kanapie, podsunął jakąś poduszkę i zaczął pogawędkę... Opowiadała mu o Koninie, o swoim przyjeździe, poszukiwaniu ciotki, o kradzieży pieniędzy — pan słuchał w roztargnieniu i jakby niedowierzał.

Wkrótce zjawił się kelner z tacą pełną przekąsek i butelką wódki. Gdy zapach jedzenia doleciał do nozdrzy dziewczyny — zrobiło się jej

mdło — wstyd było rzucić się na apetyczne śledziki i sałatki — więc zapanowała nad sobą, tylko wargi jej drżały, a oczy połykały smakowite tartinki...

— Więc „nasze kawalerskie"!...— zaczął gruby pan(nalewając kieliszki.

— Ja nigdy nie piję...

— E, co tam — na rozgrzewkę jednego!...

Zosia wypiła, przegryzła śledziem i naraz zrobiło się jej jasno i wesoło.

— Panno Zosiu, jak pić — to na obie nogi!... — i napełnił znów jej kieliszek...

— Kiedy, proszę pana, ja niezwyczajna — w domu nigdy nie piłam...

—To się panienka nauczy — proszę jeść sałatkę, a zaraz będzie coś gorącego, schab z kapustą — ot co!...

Wypili znów — wódka na czczy żołądek działała, dziewczynie robiło się coraz weselej, parę razy roześmiała się i nie spuszczała już powiek, przeciwnie oczy jej spotykały się raz po raz z małemi, napłyniętemi tłuszczem oczkami grubasa.

— Cóż? zdrowię panny Zosi! — zawołał, nalewając znów wiśniówkę.

— Jak Bozię kocham, już nie mogę, niech pan sam pije...

— A cóż to, czy ja dorożkarz, żeby mi postawić samotny kieliszek?... do panienki!

Pijatyka rozpoczęła się na dobre... zrazu piła i jadła, jak nąjęta... luba błogość objęła ją całą — w pokoju było ciepło rozmarzające... alkohol uderzał jej do głowy, śmiała się i biła po palcach grubego pana, który coraz bliżej do niej się przysuwał.

W karafce wciąż ubywało, wkrótce wypili bruderszaft, a gdy dno ukazało się wreszcie — Zosia już nie wiedziała, co się z nią dzieje... Z wysiłkiem otwierała powieki, spostrzegła jeszcze zamykające się drzwi za kelnerem, zgrzyt klucza, potem czuła pocałunki, od których próbowała się oganiać, jak od much uprzykrzonych — potem jakiś ciężar zwalił się na nią — i zapadła w otchłań bez dna...

— — — — — — — — — — — — — —

Obudziło ją brutalne szarpnięcie... nie podnosząc głowy bezprzytomnym wzrokiem rozejrzała się wokół... Nad łóżkiem pochylał się jakiś obcy mężczyzna w kapeluszu i drugi w policyjnym mundurze...

— Nazwisko? jak się nazywasz? papiery!... wołał ostry głos.

Przy drzwiach obojętnie przypatrywał się zaspany numerowy.

— O, Jezu! czego panowie?... Co się stało?...

— A to, że pójdziesz do komisarjatu...

— Ja?... za co?... Ja... co?... — pytała bezmyślnie.

— Właśnie za to, że tu jesteś... No, nie ma czasu na gadanie, ubieraj się i jazda!

— Gdzie? teraz? po nocy?... — bezradnie powiodła wzrokiem nakół — dziki strach ścisnął ją za gardło... Oczy jej padły na numerowego.

— A gdzie ten pan, co tu był?...

— Ten pan wyjechał godzinę temu, a panna spała, nic nie wie...

— Dosyć gadania, powtarzam — w komisarjacie będziemy sobie opowiadać... — mruknął cywil i zapalił papierosa.

Zośka leżała pod kołdrą i wstyd palący oblewał ją jaskrawym rumieńcem wobec tych mężczyzn, wałęsających się po pokoju... Nie rozumiała o co chodzi, nie poczuwała się do niczego, a tu policja... komisarjat...

— No, wstawać!...

— Niech panowie wyjdą, przecie muszę się ubrać...

— Patrzcie ją! jaka wstydliwa!... — roześmiał się cywil — tylko prędko bo czasu nie mamy...

Wyszli.

Drżącemi rękami kładła na siebie pomięte ubranie, w głowie czuła jeszcze szum po pijaństwie... myśli wichrem przenosiły się po głowie. Co z nią zrobią? czego chcą?...

— Prędko już?... — dobiegło ją pytanie.

— Zaraz, zaraz...

Włożyła czapkę i sięgnęła po torebkę, wyciągnęła z niej chustkę, chcąc otrzeć łzy i wtedy ujrzała nową srebrną pięciozłotówkę. Ucieszyła się.

— Dobry człowiek — pomyślała. — zostawił mi pieniądze, pewnie domyślił się, że nic nie mam...

Czuła się bardzo źle, głowa ją bolała, po całym ciele rozchodziła się dziwna omdlałość, nogi uginały się... nigdy czegoś podobnego nie doświadczała. Ubierając się powoli — strząsała resztę snu i oszołomienia alkoholowego — przerażenie ściskało jej serce — co będzie? co teraz będzie?...

Po chwili wyszli wszyscy troje na ulicę. Padał deszcz, zimno było przejmujące. Wstawał szary i posępny ranek zimowy, na ulicach wlekli się zapóźnieni przechodnie i spieszący do pracy robotnicy. Z zamglonego nieba sączyło się blade, anemiczne światło.

Zośka brnęła po wodzie, spuściwszy oczy, wstydząc się strasznie, że widzą ją ludzie w asyście policji.

Weszli do komisarjatu. Tu spisano protokół i wepchnięto ją do celi, gdzie siedziało już kilkanaście stłoczonych i rozgadanych dziewczyn. Cela była brudna i ciemna. Padały ohydne słowa i przekleństwa. Zośka przytuliła się do ściany i czekała. Ogólna uwaga zwróciła się na nią. Rozczochrana i silnie podmalowana tłuściocha — zapytała:

— „Tee!... „wytyszka“! skąd cię wzięli?

Zośka nie wiedziała, że to do niej są zwrócone te słowa — milczała.

— Cóż ty nie gadasz? Niemowa, czy co?... Do ciebie mówię, wytyszka!...

— Ja się nie nazywam żadna tyczka, tylko Zofja Salkowska, proszę pani!

Zabrzmiał chóralny śmiech.

— To panienka tu pierwszy raz? — zapytała druga.

— Pierwszy — i ja nie wiem, za co... nikomu nic nie ukradłam, proszę pani.

„Panie“ pękały ze śmiechu.

— Patrzcie! nic nie rozumie! a gdzie cię złapano?

— A w hotelu.

— Z gościem?...

— Z jakim gościem?... jeden pan wziął mnie na nocleg, bo nie miałam gdzie spać...

— Patrzcie ją!... nic nie rozumie... Czekaj, już my się wykształcimy... — wołała trzecia.

Zaczęły gadać jedna przez drugą. żargon tego towarzystwa był jej zupełnie obcy. Przerażona siadła w kącie na ławce, patrząc bezmyślnie na ścianę, gdzie spacerowały sobie swobodnie dwie, tłuste pluskwy. Po żakiecie leżącej na podłodze posiniaczonej ulicznej dziewki — lazła wielka wsza...

— O, Boże!... tyle tu robactwa!... — westchnęła.

— A cóżeś ty myślała — że tu Bristol? Nie bój się, przyzwyczaisz się!

Wrzeszczały bez ustanku, wysilały się na najplugawsze wyrażenia i najwyrafinowańsze porównania. Zośkę krew zalewała ze wstydu i oburzenia. Po czterech godzinach weszło dwuch posterunkowych.

— Zabrać się! idziemy!...

— Dokąd? — zapytała przestraszona Zośka.

— Nie wiesz? Do obyczajówki! — odparła chuda, o gruźliczym wyglądzie żydówka.

— Co to znaczy „obyczajówka“?...

Ogólny ryk był odpowiedzą. Śmiały się dziewczyny, jak opętane, śmieli się posterunkowi. Zośka zawstydziła się.

— Nie bój się! będziesz niedługo wiedziała!...

— Przecież to już biały dzień... — zauważyła jedna w popielicowym futrze — ja nie idę...

— To stawiaj panna auto, jak się wstydzisz.

— A pewno, że postawię... Kto ze mną do spółki?...

Dwie przyłączyły się do niej, Zośka także... Jechały z szykiem przez ulice, zaczynające się już ożywiać — oto plac Teatralny, Daniłowiczowska — stop! Posterunkowy zagarnia je, aby która się nie ulotniła... Płacą szoferowi po 50 groszy... dzwonią — zaspany woźny otwiera drzwi, idą, idą po czystych schodach, hałasując i przekomarzając się z policjantami. Kurytarzyk — i dwie sale z ławkami. Światło elektryczne kłóci się z dziennym brzaskiem. Posterunkowy puka do drzwi dyżurki...

— Proszę...

Pani w białym fartuchu przyjmuje raport i pyta każdą o książkę.

— A ty?...

— Nie mam...

— Aha, pierwszy raz...

Przyciska dzwonek i po chwili zjawia się woźna i rewiduje torebki dziewcząt: nożyczki, scyzoryki, giletki oddaje siostrze, a ta chowa je do szuflady, zapisując nazwisko właścicielki. Wchodzą do dużej celi z zakratowanemi oknami i zaczynają wrzeszczeć jedna przez drugą: „Koce!“ Woźna — wysoka, chuda kobieta mówi spokojnie:

— Co wy? co? przecież to już pół do ósmej, koców się teraz nie daje, nie wiecie, panie?

— Ale my chcemy pospać! — upierają się „panie“...

— O, jakie to! jakby pierwszy raz były — za pół godziny zabieram koce tym, co śpią, przyniosę wody do mycia...

— To może nam pani przyniesie bułek i sera?

— To proszę o pieniądze...

Wszystkie wyciągają woreczki i liczą drobne.

— A dla mnie kiełbasy i chleba! — woła dziewczyna w chustce.

Dama w popielicach poleca — mówi:

— A mnie dwa ciastka drożdżowe i butelkę mleka.

Woźna wychodzi. Obudzone hałasem dziewczyny, śpiące na narach — podnoszą rozczochrane głowy: krzyk, kłótnie, głośne opowiadania. Po kilku minutach zaczynają dobijać się do drzwi:

— Wody, wody!... chcemy się myć...

Z dyżurki wyjrzała głowa dyżurnej sanitarjuszki:

— Opamiętajcie się, kobiety! przecież woźna poszła po prowianty, więc nikogo nie ma... wszystko dostaniecie za chwilę.

Zośka siedzi w kącie z opuchniętą od niewyspania i płaczu twarzą.

Wszystko to takie dziwne i niezwykłe. Głowa ją boli, pijaństwo wczorajszego wieczora, krzyki i kłótnie drziewcząt, niepewność jutra — ciężkiem brzemieniem kładą się jej na serce.

Machinalnie zajada przyniesioną bułkę z kiełbasą i oblicza, że zostało jej tylko 4 złote, sięga do torebki, aby raz jeszcze policzyć... torebka jest pusta... gdy zdrżemnęła się, widocznie ją okradziono... szuka naokoło, zagląda pod ławki...

— Czego szukasz?...— pytają...

— Zginęło mi cztery złote — miałam je dzisiaj... tutaj jeszcze...

— Pewnie zgubiłaś na ulicy...

— Ale gdzietam... tu jeszcze liczyłam...

— Patrzcie ją!... wytyszka!... przecie tu nikt ci nie ukradł!... oburza się stara, koścista dziewczyna z bezczelnym wyrazem twarzy — i daje jej kuksańca w bok.

Zośka zaczyna płakać... jutro przedstawie się beznadziejnie...

Dama w popielicach spogląda na zegarek...

— Już późno powinni puszczać na rewizję... Przecież tu wytrzymać nie można — taki smród!...

— Grandeca!... — szepce nienawistnie „Koścista“ — pies ci mordę lizał! dama!

W tej chwili wywołują Zośkę po nazwisku, podnosi się z ławki, jakaś inna pani — stara, siwa sadza ją w dyżurce na krześle i zaczyna wypytywać: a skąd jest, gdzie pracowała, gdzie ją aresztowano, co robi w Warszawie — Zośka wstydzi się strasznie, ale odpowiada szczerze, a pani zapisuje wszystko, wreszcie czyta jej zeznanie, każe się podpisać, a potem bierze wskazujący palec Zosi, przyciska do fijoletowej poduszeczki i odbija go pod podpisem.

Zosia rozdziawia usta zdumiona. Wszystko to jest takie dziwne.

J. Mori.

(d. n.)

ZALAŁ ROBAKA.

„Na frasunek — dobry trunek“,
Więc pij, by „zalać robaka“.
Rada taka
Panu — Kopytko wielce
Do gustu przypadła,
Bo po „butelce“
I smak do jadła,
I człowiek wtedy
Zapomni biedy —
I przyjaciele —
Radość — wesele —
Kompańja niebyle jaka
Wspólnie — „zalewa robaka“.

„Na frasunek — dobry trunek“,
A kłopotów jest dużo:
Ręce nie służą
W pracy — słabną oczy
Niemoc ogarnia ciało,
Cały dzień roboczy
Kopytko — wzdycha —
Dopiero w wieczory
Leczy się nasz chory
— Balsamem z kielicha.
Ten — ów słowo powie —
Szulim! Chaim! zdrowie!
Ból ucichł i zmalał.
Szewc — robaka zalał“.

„Na frasunek — dobry trunek“,
Są inne kłopoty —
Mało roboty.
Same łatania,
Zelowania —
Zarabia więc mało.
Kupićby się zdało
Kapotę, ubranie.
Ech! co tam mospanie,
Nie starczy na wszystko.
Dobrze, że szynk blisko —
Po co myśl wszelaka —
Trza „zalać robaka“.

„Na frasunek — dobry trunek“,
Wzięli warsztat za podatki,
Manatki

Zwinął szewc i idzie.
Ma przyjaciół, — pił z nimi —
Poratują w bidzie,
Dola się odmieni...
Jaki - taki - zobaczył,
Mocniej drzwi zahaczył —
Czyjaś żona krzyczy —
„Nie puść pijanicy!“
A kompańja w szynku cała,
Jakby nigdy go nie znała.

Dziś — gdy widzicie żebraka —
To ten — co „zalał robaka“

Nela Krzepkowska.

ŚWIĘTA.

Każdy pamięta,
Że święta
To rzecz miła bardzo.
Nieliczni, którzy gardzą
Tradycją. Naprzykład Wielkanoc:
Moc
Radosnych wzruszeń — wizyty
Goście...
Stół obfity
Po długim poście.

Przy mięsiwie baterja,
Jak straż przy armacie:
„Malinówka“ się mieni
W uroczym szkarłacie...
Kształtem — smakiem
Ponętna wódka jałowcowa,
„Pieprzówka“ w zieleń
Barwinku się chowa.
Niby generałowie —
I armji tej wodze
Stoją smukłe butelki
Wina — dumne srodze.
Nie szkodzi, że krajowe
Jabłecznik, czy śliwy...
Gość, — zakrapiając, hołd
Im odda sprawiedliwy.
Ordynańsi w ukryciu —
Jak to zwykle bywa,
Czekają na rozkazy —

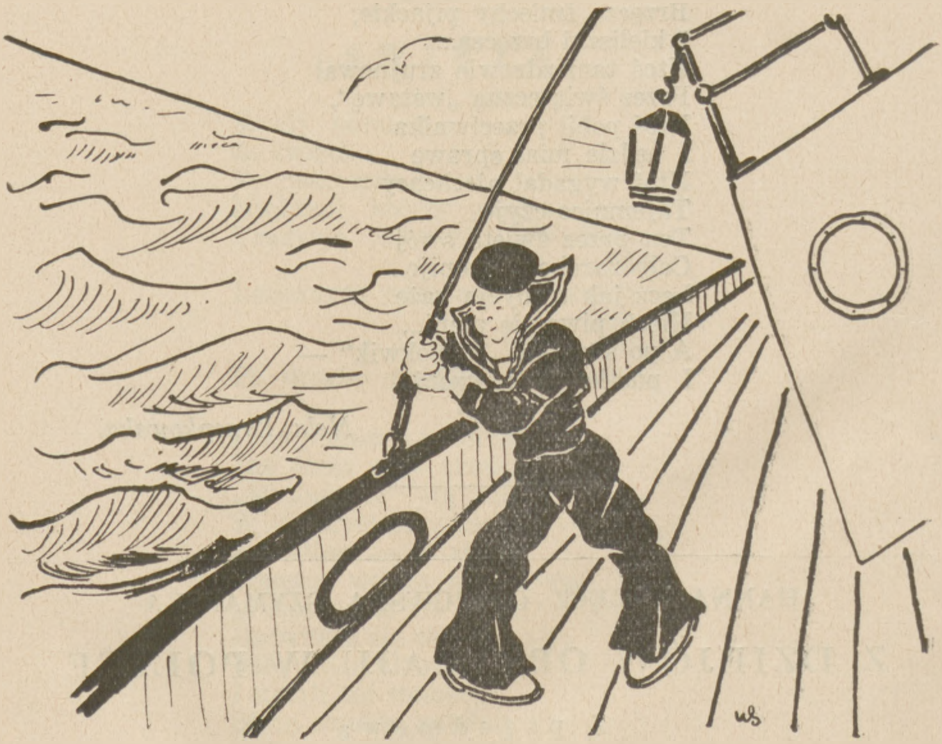
To butelki — piwa!
Zachwycają się goście
Świąteczną zastawą.
Nie pijaństwo! broń Boże!
Zwyczajowe prawo!

Święta — krewni — okazja —
Odmówić nie można.
Upijać się na codzień
Wiadomo — rzecz zdrożna —
Człek nawyka, i nałóg
Ujmuje go w szpony —
Lecz od święta —
Strach niczem nieuzasadniony...
Więc się mieni alkohol
Pstrych kolorów tęczą...
Brzęczą śmiechy pijackie,
I kieliszki brzęczą...
Ktoś tam zdrowie zrujnował
Przez świąteczną „wstawę“,
Ktoś pobił przeciwnika
I będzie miał sprawę
Ktoś wygadał niechcący
Tajemnice czyje
Ten przez święta swój
Cały zarobek przepije..
Lecz jak tradycja każe
Niech piwo się pieni...
A po świętach „kociokwik“ —
I pustka w kieszeni...

Nela Krzepkowska.

Wacław Szulc.

ALKOHOLIZM W RYSUNKACH.



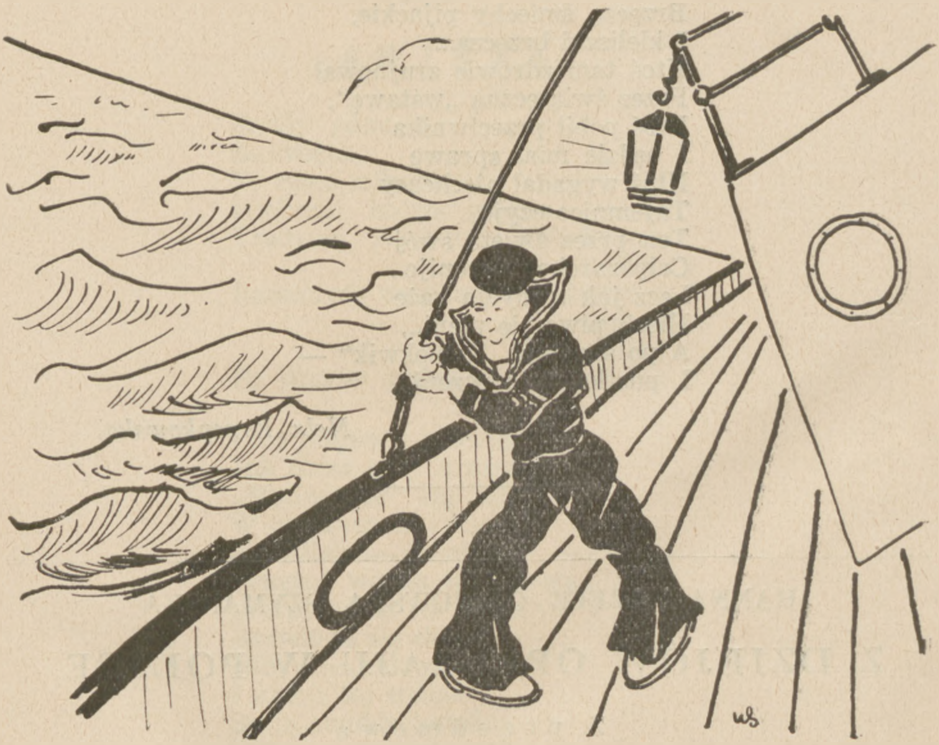
Zagadnienie równowagi na morzu.



Zagadnienie równowagi na lądzie.

Wacław Szulc.

ALKOHOLIZM W RYSUNKACH.



Zagadnienie równowagi na morzu.



Zagadnienie równowagi na lądzie.



Do późna w noc — libacja.



Trzeba się trochę przespać.



Rano pędem do fabryki.



I tam pod wpływem następczego działania alkoholu — nieszczęśliwy wypadek i kalectwo na całe życie.



Mróz, wiatr — coraz zimniej...



Trzeba się „rozgrzać"



Pijany — zmarzł...



Koniec.



Dobrze ułożony młodzieniec.

NALEŻY ROZUMIEĆ CHINY.

W Chinach dzieje się źle, to wiemy wszyscy. Zarówno pod względem politycznym i gospodarczym, jak i na wąskim odcinku środków odurzających, który nas szczególnie interesuje.

Nota Ligi Narodów z dnia 1 grudnia C. L. 218.1936. XI mówi wyraźnie o poważnej sytuacji w Chinach w dziedzinie pokątnej fabrykacji narkotyków i nielegalnego obrotu nimi. Apeluje ona w sposób wyjątkowo dobitny do rządów wszystkich krajów o współdziałanie w celu ukrócenia niepokojącego handlu nielegalnego środkami odurzającemi, zwraca się wprost do rządu japońskiego o zmianę postanowień ustawodawczych obecnie obowiązujących. Przewidują one tak niskie kary za ten handel, że nie mogą zapobiec nadużyciom, ani działać odstraszająco na handlarzy japońskich, uprawiających swój proceder poza granicami kraju.

Chiny wydały u siebie prawa drakońskie (p. „Trzeźwość“ nr. 10 z r. 1935 „Chiny z punktu widzenia opjum i środków odurzających“). A. T. E. podaje depeszę z Pekinu, że 13 stycznia b. r. rozstrzelano tam 5 handlarzy narkotykami, ujętych na gorącym uczynku sprzedaży heroiny. Stracenie odbyło się publicznie w ramach widowiska propagandowego, w czasie którego zniszczono skonfiskowaną heroinę. W walce z niedozwolonym handlem narkotykami, a w szczególności opjum i heroiną, władze pekińskie wykonały wyrok na Chińczyku, który przyznał się do handlu narkotykami. Przed egzekucją skazanego obwożono po mieście skutego w kajdany.

Obraz zastraszający, szczególnie jeśli się uda zajrzeć za kulisy tych procesów i wyroków. Przedewszystkiem zastanawia, skąd się biorą narkotyki, stanowiące przedmiot tego handlu, a powtóre, kto są ci ludzie, którzy, nie dając się odstraszyć najcięższemi karami, uprawiają przemyt, lub dostarczają przemycony towar.

Na pierwsze pytanie pewne światło rzuca wspomniana nota Ligi Narodów. Japonja jest tym źródłem, a raczej jednym ze źródeł, gdyż wiemy napewno, że nie jest jedynem.

Odpowiedź częściową na drugie dostarcza nam bardzo ciekawy artykuł Wassana-Girej-Dżabagi p. t. „Pierwsza lady Chin“ Madame Czang-Kai-Czek, (Kurjer Warszawski Nr. 7 z r. 1937). Czytamy tam, że „doszukując się przyczyn rewolty Czang-Hsue-Lianga, przyszło jej na myśl, że poza względami politycznymi do rokoszu mogły się przyczynić pobudki materjalne niektórych jenerałów, których polityka Czang-Kai-Czeka w sprawie zwalczania używania narkotyków, pozbawiła poważnego źródła dochodu, mianowicie handlu opjum. Wiedziała ona bowiem, że handel ten stanowił monopol jenerałów Pal i Szena, uczestników buntu wojskowego i że musieli oni najwięcej być niezadowoleni z surowego zakazu sprzedaży i używania opjum, zakazu, wydanego przez Czang-Kai-Czeka pod groźbą kary śmierci dla opornych (w swoim czasie kilku handlowców stracono). Otóż jenerałowie powyżsi, pragnąc zniszczyć popularność Czang-Kai-Czeka, wystąpili wraz z Czang-Hsue-Liangiem w roli zaciętych wrogów Japonji, licząc na to, że hasło wydania wojny tej ostatniej będzie poparte przez większość na-

rodu chińskiego i w ten sposób doprowadzi do usunięcia z życia politycznego Czang-Kai-Czeka...“.

O marszałku Czang-Hsue-Liangu wspomina w swej książce o Chinach p. t. „Należy rozumieć Chiny“ („Il faut comprendre la Chine“) *William Martin*. Trzecie jej wydanie ukazało się w Paryżu w r. 1935 nakładem Libraire Académique Perrin. Są to notatki z podróży wybitnego dziennikarza już nieżyjącego, utalentowanego politycznego współpracownika „Journal de Genève“, który do Chin udał się w misji specjalnej z ramienia Ligi Narodów. Spisane w drodze powrotnej, nie mogły już być przejrzane przez autora, są więc wiernem odbiciem bez retuszu jego wrażeń, spostrzeżeń i obserwacji. Zaznajamiają nas z wewnętrznem życiem Chin w sposób tak bezpośredni, że kraj ten tajemniczy, daleki i obcy, zbliża się powoli i odkrywa swoje wnętrze, nie tracąc nic ze swego egzotycznego uroku. Zainteresowanie nie słabnie na chwilę, sympatja i współczucie wzrastają.

Martin w ten sposób charakteryzuje marszałka Czang-Hsue-Lianga: „jest to ofiara losu, walczył, mając lat 19, a rok później, stał na czele kilku dywizji. Nie miał nigdy czasu, aby się uczyć, kształcić, pracować nad sobą. Lekarze japońscy dawali mu narkotyki, do których się przyzwyczaił. Jest to człowiek chory i słaby, zawinił brakiem energji, przejdzie do historji, jako ten, który utracił Mandżurję i Jehol“. Narkotyki, zapisywane przez lekarzy japońskich, spełniły swoją rolę znakomicie.

W książce Martina znajdujemy jeszcze kilka szczegółów, dotyczących narkotyków w Chinach. „W Szanghaju cudzoziemcy, spijający whisky i cocktaile, mówią z oburzeniem o opjumie. Nie zdają sobie sprawy, że alkohol czyni tam większe spustoszenia od opjumu. Nie chcą widzieć, że centrum handlu narkotykami znajduje się w koncesji francuskiej i że spoczywa wyłącznie w ręku cudzoziemców. W literaturze mówi się często i dużo o palarniach opjum. Muszę one gdzieś istnieć, ale jakże dyskretnie są umieszczone w okolicach Hai-Alai, gdzie się odbywa gra w piłkę baskijską i Kanidromu, gdzie są urządzane wyścigi psów, aby dać możność Chińczykom przegrywać znaczne sumy przy zakładach. Podobno wymaga tego budżet koncesji francuskiej, utrzymuje ona bowiem liczne instytucje dobroczynne dla zrujnowanych Francuzów, którzy w Chinach szukali szczęścia i majątku, a nie znaleźli ani jednego, ani drugiego. Sposoby te gubią młodzież chińską, to też Chińczycy nie mogą się pogodzić z faryzeuszowską moralnością Europejczyków, na każdym kroku dającym im odczuć swą wyższość.

W Tientsinie, mieście międzynarodowem, handel narkotykami odbywa się prawie jawnie w koncesji japońskiej. Cel Japończyków jest wyraźny, zyski handlowe stoją na drugim planie, przedewszystkiem chodzi im o to, aby zatruć młodzież chińską, pozbawić ją energji i uczynić niezdolną do wszelkiego oporu.

Chiny, pisze Martin, są krajem oryginalnym. Chińczyk nienawidzi walki, wobec czego pogardza wojskiem. Wojsko rekrutuje się z czynników najgorszych, z pośród tych, którzy nie mogli znaleźć innego zatrudnienia. Zachętą do wstępowania w szeregi jest wysoki żołd. Żołnierz pobiera dwa razy więcej, niż chłop może wypracować przy największym wysiłku. Niestety, żołd ten często pozostaje w kieszeniach

przełożonych. Stwierdzono, że w chwili klęski armja, broniąca Jeholu, nie pobrała ani grosza od przeszło 10-iu miesięcy. Natomiast żołnierzom dostarczano regularnie heroinę, zapewne miała ona zastąpić heroizm— dodaje autor z gorzką ironją.

A w innem miejscu mówi: jenerałowie nie lubią wojny. W kraju tym, nastrojonym pokojowo, jenerałowie są jeszcze bardziej pacyfistyczni, niż ludność cywilna. O słynnym Tang-Yulinie, gubernatorze Jeholu, opowiadają, że w chwili zbliżania się Japończyków, zarządził rekwizycję wozów ciężarowych celem odtransportowania bogactw oraz opjumu dla siebie i heroiny dla syna zamiast zaopatrywać front w niezbędną amunicję. Mieszkańcy Jeholu, wyniszczeni podatkiem gruntowym dziesięciokrotnie wyższym, niż w innych prowincjach, powitali Japończyków jako zbawców.

Ciekawy dokument stanowi proklamacja, jaką jenerał Tang-Yulin kazał opublikować w zarządzanej przez siebie prowincji w związku z zakazem hodowli opjumu. „Ja, Tang-Yulin, jako prezydent prowincji, jestem z urzędu członkiem komisji walki z makowcem. Zabraniam zatem komukolwiek hodować mak. Ale aby walczyć z opjumem trzeba mieć pieniądze. Ustanawiam więc podatek specjalny, wynoszący tyle to i tyle. Winni hodowli maku wbrew zakazowi podlegają specjalnemu opodatkowaniu, wynoszącemu 5%“. Wiadomo, że opjum przynosi pokaźne zyski hodowcom maku. W ten sposób walczono w Chinach z klęską opjomanji.

O Japończykach znajdujemy następującą wzmiankę: Odbudowanie Chin zwalczają oni jeszcze w sposób następujący: przez port w Dairenie wchodzi 34 razy więcej środków odurzających, niż przez wszystkie porty W. Brytanji razem wzięte. Narkotyki te są przeznaczone dla młodzieży chińskiej, którą zatruwają w sposób systematyczny i celowy. (Autor ciągle powraca do tego spostrzeżenia, które wydaje mu się ważnem i niepokojącem).

Tyle William Martin w swej książce, którą odkłada się z żalem, że śmierć nie pozwoliła na dalszy szczegółowy opis tego, co widział, poznał i zrozumiał w Chinach.

W Chinach tworzy się obecnie ruch „Nowego życia“, którego celem jest szerzenie zasad moralnych; pod wpływem tego ruchu rząd wydał rozporządzenia zamykania domów gry i domów nierządu, zwalczania palenia opjum i t. d.

Chiny zatem walczą, wspomagane ideowo przez Ligę Narodów. Są one terenem zmagań się sprzecznych interesów obcych mocarstw i z trudnością będą się mogły wyplątać z misternych sieci, w które zostały uwikłane. Zrozumieć Chiny nie jest rzeczą łatwą, dopomóc im jeszcze trudniejszą.

podała *Marja Sokalówna.*

DOMOWE ZNICZE.

Chociaż to się zdaje nieprawdopodobne, a jednak trzeba było przeżyć ten straszny dzień, kiedy przyszła wiadomość, że drogi Zygmuś zmarł. Pani Stefanja przez długi czas nie mogła pojąć treści depeszy. Dopiero kiedy Magdalena, odwołana z ogrodu, wpadła z rakietą w ręku do pokoju, i przeczytawszy złowrogie słowa, zawołała: „Jakto! Więc ojciec nie żyje?" świadomość nieszczęścia przeniknęła do mózgu wdowy.

Trzy następne dni żyła, jak pogrążona w niepojętym złym śnie; wszystko zlewało się z sobą, plątało w pamięci, pozbawione było sensu. Pośpieszne pakowanie walizek, wyjazd z pensjonatu, gdzie dziesięć dni temu przyjechała z najstarszą córką, wsiadanie do pociągu, — pocóż było robić to wszystko, skoro Zygmuś, — najlepszy z mężów — odszedł na zawsze.

Właśnie teraz wróciła z pogrzebu i dosłownie zwaliła się na fotel, jak podcięty pień. Za chwilę Magdalena zajrzała do pokoju, a przez uchylone drzwi przeniknął gwar, wprawdzie dyskretny, lecz nieunikniony tam, gdzie zbierze się wiecej osób. Córka podeszła na palcach, by zdjąć kapelusz z głowy matki, odsłaniając jej twarz, rozpaloną od łez i znużenia.

— Może się mama położy? — spytała półgłosem.

Nie chciała nic. Najdrobniejszy wysiłek wydawał się w tym momencie nie do pokonania. Cóż ją mógł obchodzić cały świat. Nieszczęście, jakie spadło niespodziewanie, znieczuliło wszelką aktywność. Myśli krążyły koło śmierci, przy której nie była obecna, — i rwały się ciągle, nie mogąc zaczerpnąć z doświadczenia lat ubiegłych, czegoś bowiem tak strasznego nie przeżywała jeszcze nigdy. A przytem wszystko stało się tak nagle. Trudno było pojąć, że przerwał się niespodzianie bieg spraw, uczuć, interesów!

To ostatnie przypomniało jej nagle coś, nad czem warto się było zastanowić. Wstała, by wejść do salonu, zdecydowanym krokiem, jak zawsze kiedy musiała przyjąć na siebie rolę inicjatora i działać.

Córka, zięć, dwaj synowie, ich żony, a nawet to małe biedactwo, jak nazywano najmłodszą z rodzeństwa, czternastoletnią, niezupełnie rozgarniętą dziewczynkę, — wszyscy zwrócili oczy ku matce. Zrobiło się nagle cicho i głos pani Stefanji zabrzmiał tem rozpaczliwiej.

— Co się stało z trzydziestoma tysiącami? Musi być gdzieś w domu książeczka, kontrakt, lub pieniądze!

Porucznik Jerzy Rudlicz, który poznawszy obie panie przed kilkoma dniami na letnisku, przywiózł je do Warszawy, nie mógł się powstrzymać od popełnienia niedyskrecji i pochyliwszy głowę ku Magdalenie, zapytał:

— Czy zginęły pieniądze?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Chodziło o kontrakt na kupno domu. Akt miał być zawarty tego samego dnia, kiedy zdarzyło się nieszczęście, — wyjaśniła. — Właśnie ojciec pisał do nas o tem przed kilkoma dniami.

Młodszy z synów Jan i zięć Ksawery przysłuchiwali się dyskretnie, lecz uważnie, z rosnącą urazą w sercu, że starzy mieli jeszcze tyle pieniędzy i nie uważali za właściwe podzielić się tą wiadomością. Czoło Ja-

na aż pofałdowało się ze zdumienia, tak owa wiadomość wydała mu się niewiarogodna. Więc to dlatego w zeszłym miesiącu ojciec odmówił pożyczki głupich dwuch tysięcy na kupno lasu? Pocóż im — u djabła — był dom na starość? Jeden kłopot więcej.

Spojrzał z niechęcią w kierunku młodszej siostry. Czuł niewytłumaczony wstręt do tej „pokraki" jak ją w duchu stale nazywał; niedość, że przyszła na świat niepożądana i nieoczekiwana, przez całe życie przynosiła wstyd najbliższym, niesłusznie cieszyła się miłością rodziców, a jej leczenie pochłaniało pieniądze, jakie z powodzeniem można było użyć na wydajniejsze cele.

— To pewnie dla niej ta zapobiegliwość, — zmełł w ustach gorzką uwagę i odwrócił głowę w inną stronę, żeby nie widzieć „idjotki" i starszego brata Ludwika, który gładził głowę dziewczynki, płaczącej cicho i żałośnie.

— Magdaleno, otwórz burko! Musi się znaleźć kontrakt, albo pieniądze! — powtórzyła matka, zanurzając gorączkowo drżące ręce w torebce, by odnaleźć klucze.

Tak, Magdalena załatwi to dobrze i dokładnie. Temu najstarszemu dziecku w zupełności można było zaufać. Zresztą energja pani Stefanji znów zaczęła się wyczerpywać; ciężko powlokła się do swego pokoju i siadła na poprzednim miejscu.

Pragnęła samotności; wyobrażała sobie, iż w ten sposób będzie bliżej wspomnień o mężu i zdoła wreszcie zrozumieć jego nieobecność.

Umarł. A przecież jeszcze kilkanaście dni temu byli razem i nic nie wróżyło nieszczęścia.

Pani Stefanja kochała bardzo swoje dzieci. Kiedy jednak pożeniła synów, wydała zamąż córkę, gdy dom względnie opustoszał i skończyły się troski o szkarlatyny, koklusze, cenzury i wyprawy, przeżyła znów z mężem najlepsze lata ponownego życia sam na sam,

Wystarczyło w tym właśnie pokoju rzucić okiem choćby na tapczan, gdzie tak często odpoczywał, żeby wspomnienia ożyły. Zygmuś, choć nieraz zdenerwowany i niecierpliwy, zawsze spędzał chętnie z żoną parę godzin przy stole. Z poczuciem dobrze spełnionego ważnego obowiązku, podsuwała mu najlepsze potrawy, własnoręcznie nalewała starkę, troskliwie smarowała kromki, czy wybierała najlepszy kąsek. Nie było wpadku, żeby się wtedy nie rozchmurzył. Przeciwnie. Był wesoły, rozmowny, lubił żartować, a nieraz długo opowiadał, co mu dolega, jacy ludzie są niewdzięczni, on zaś wyrozumiały, wspaniałomyślny, przewidujący i szlachetny. Bo trzeba przyznać, że był o sobie bardzo wysokiego mniemania.

Pani Stefanja zresztą podzielała w zupełności to zdanie. Usiłowała teraz odtworzyć całą wielkość człowieka, z którym parę lat temu przeżyła dwudziestopięciolecie małżeństwa. Trudno temu zaprzeczyć, że był dobrym gospodarzem. Jeśli majątek przeszedł w obce ręce, stało się to raczej dlatego, że ludzie są podli, a uczciwych los prześladuje. Ach, ci przyjaciele, którzy go nieraz najdroższego i bez skazy, przemocą ciągnęli do kieliszka, żeby potem wyłudzić pieniądze. Czy jednak łatwowierność można poczytać za winę? Trudno przecież było znaleźć lepszego ojca i opiekuna.

Dzieci! Przesunęła się jej przed oczami cała kochana gromadka.

Każde zasługiwało w jakiś specjalny sposób na troskliwą miłość: Janek nieopanowany, porywczy, miał wielkie trudności w nauce; ileż to razy musiała go osłaniać przed gniewem ojca! Najwidoczniej w szkole znęcali się nad chłopcem i zatrzymywali po dwa lata w tej samej klasie. Lucio znów dosyć chorowity i wątły, poważny nad wiek i skryty. Dzięki Bogu, że go trochę odmieniło małżeństwo. Anielka z krzywicą kości, cierpiąca w dzieciństwie na konwulsje i wreszcie ta najmłodsza — drogie biedactwo, nad którym się sprzysięgły wszystkie złe moce.

Pani Stefanja, wzruszona, zdawała się o tem zapominać, że przed chwilą miała je przed oczami dorosłe. Pod wpływem rozczulenia, chciało się je przygarnąć wszystkie do piersi, poczuć ciepło główek pod sercem, gdzie je kiedyś tak troskliwie nosiła.

Jedna tylko Magdalena, rzadko kiedy zaprzątała umysł matki, uśmiechnięta, zdrowa, łagodna, najłatwiej godziła się ze wszystkiem, najmniej sprawiała troski. Teraz znów wsunęła się do pokoju. ,

— Nie znalazłam pieniędzy, — powiedziała, — lecz być może, że ojciec schował je gdzieindziej. Czy mama przyjdzie na obiad?

Wszyscy już siedzieli przy stole, a stara Fransiszkowa roznosiła zupę. Opowiadała przebieg całej tragedji, której była świadkiem.

— ...Bo to, proszę państwa, — mówiła z takiem samem przerażeniem w oczach, z jakiem napewno patrzyła na konającego, — bo to przyszli panowie na obiad, tych dwuch, a nasz pan trzeci. Podałam zakąskę do wódki przed zupą, kiedy pan do mnie mówi: „A pikli niema tam w spiżarni?" Zdrowiuteńki jeszcze był wtedy i wesoły, kiedy przyniosłam te pikle, co potrzebne były do sztukamięs i wódki. Potem z kuchni nie wychodziłam parę minut, bo musiałam pokrajać kaczkę. Panowie jedli, rozmawiali głośno i chwalili, że dobry obiad"...

Umilkła na chwilę, gdyż całą uwagę musiała skupić na pasztecikach, żeby się, jak mawiała, nie „roztercbły", bo takie są kruche. Obnosiła półmisek i każdy brał kolejno bez sprzeciwu z powagą, jakby spełniał ceremonjał smutnego obrzędu. Nagle, jakby przypomniała sobie rzecz najważniejszą i rzekła z westchnieniem:

— Potem zawołał: „Niech Franciszkowa da czarną kawę". Zapytałam się, czy ma być mocna i wtedy zobaczyłam, że pan ma takie wypieki na twarzy, żyły nabrzmiały. Mówili tamte panowie, że coś krzyknął, ale byłam wtedy w kuchni, młynek od kawy głośno terkotał i nie było słychać. Dopiero jeden z nich, jak nie przyleci, jak nie zawoła o wodę, i to takim strasznym głosem, że aż na razie połapać się nie mogłam; wszystko mi z rąk leciało. Złapałam cały dzbanek, bo nie wiedziałam do czego; patrzę, a nasz pan leży na podłodze. Tamte chcą go podnieść, a on tylko cicho powiedział, że mu krawat zawadza. Nachyliłam się, uklękłam, chciałam mu rozwiązać, — kończyła cicho, — ale już czerwoność ustępowała z policzków i nic nie pomogło.

Otarła oczy kułakiem i podreptała do kuchni naszykować drugie danie. Przy stole panowała cisza. Franciszkowa podczas ostatnich dni nie po raz pierwszy opowiadała tę historję, zawsze nieodmiennie wywołując przygnębiający nastrój. ,

• Należało się jednak otrząsnąć i zająć bieżącemi sprawami. Piętrzyły się w ciągu najbliższych dni, a najwięcej kłopotu sprawiało owe trzydzieści tysięcy. Pomimo usilnych poszukiwań nie znaleziono ani kon-

traktu, ani pieniędzy. Stan książeczki wskazywał, że były podjęte. Zięć Ksawery specjalnie opóźnił swój wyjazd, przejrzano każdą skrytkę, lecz nie natrafiono na żaden ślad. Usiłowano porozumieć się z obywdoma gośćmi, którzy sprowadzeni tego dnia na obiad, przeżyli z panem domu jego ostatnie chwile — wszystko bezskutecznie.

Pani Stefanja snuła się po pokojach, jak cień; nie jadła, nie mogła zasnąć. sycąc swe chore nerwy wspomnieniami, które na każdym kroku zdawały się czyhać, wysnuwać przygnębieniem ze sprzętów, drobiazgów czy listów, by dręczyć i wyciskać łzy. Zapadło więc postanowienie, że trzeba mamę odsunąć od domu. O wyjeździe do pensjonatu nie było mowy; wdowa nie znosiła teraz obojętnie uśmiechniętych twarzy, nie potrafiła słuchać obcych spraw, czy uczestniczyć w rozmowach, które nie zahaczały niczem o jej nieszczęście. Zdecydowano więc wyjazd do starszego z synów, Ludwika, co chroniło przed stykaniem się z obcymi ludźmi. Obie panie miały tam spędzić kilka tygodni. Zięć Ksawery zabrał do siebie na wieś najmłodszą Helenkę; ciągle nie tracił nadziei, że pieniądze prędzej, czy później się znajdą i pragnął usposobić życzliwie teściową, by zyskać resztę posagu, na który tak bardzo liczył.

Mimo wrodzonej powagi, Magdalena nie wyglądała na dwadzieście siedem lat, chociaż od dziecka była zamknięta w sobie, skupiona i rozważna. Uczyła się zawsze dobrze i nie chorowała. Cechy te wyróżniały ją z pośród rodzeństwa. Już jako niewielka dziewczynka spostrzegła, iż rodzice darzą ją mniejszem zainteresowaniem, niż pozostałą czwórkę. Wieloletnie doświadczenie przekonało ją niezbicie, że się nie myli. Nic jednak nie potrafiła poradzić, by przeciwstawić się losowi, coś zmienić na swoją korzyść. Już naprzykład w pierwszej godzinie istnienia sprawiła ojcu zawód; bardzo pragnął mieć następcę. Zbudziły się w nim średniowieczne instynkty, kiedy to płeć znaczyła tak wiele. Sam, będąc synem ubogich dzierżawców, chowany w niedostatku, kiedy w posagu otrzymał majątek ziemski, miał wrażenie, że od tej dopiero chwili rozpoczął właściwie życie. Magdalena przyzwyczaiła się do tego, że jej dobra cenzura mniej cieszyła ojca i matkę, niż wyżebrana trójka któregokolwiek z chłopców. Niekończące się choroby Ludwika i Anielki, potem kłopoty, jakich powodem była stale najmłodsza Helenka, — wszystko to wystarczało w zupełności, by wypełnić wszystkie godziny, jakiemi matka mogła rozporządzać. Skądże więc miała je brać dla Magdaleny, która bez specjalnej troskliwości rosła i rozwijała się pomyślnie. Tak już zresztą było od wieków, że te właśnie dzieci, które w zetknięciu z życiem wykazują pewne niedociągnięcia, są zawsze najmilsze sercu matki, jakby ta miłość miała im owe braki wynagrodzić.

Magdalena nie cierpiała jednak z tego powodu; była pogodna i niezdolna do zazdrości. Poprostu pogodziła się z tem, że jest na innych nieco w domu prawach i temu się zupełnie nie dziwiła.

Jak każda natura, która nie ma komu, lub nie potrafi zaufać, powierzała swe myśli pamiętnikowi, który był jednym z jej stałych przyzwyczajeń. Często, nie mogąc uchronić swych tajemnic przed inwazją młodszego rodzeństwa, paliła ukrywane zeszyty. Lecz wkrótce zaczynała pisać na nowo.

Zdarzyło się, że jedna z licznych domowych nauczycielek, jakie

z trudem zaszczepiały potrzebny zapas wiadomości w tępym mózgu Anielki, lub uczyły leniwego Janka, — uratowała jedną ze zmiętych kartek i wygładziła by przeczytać:

“...O tym często mi się marzy,
Czy los kiedy mnie obdarzy
Małą chatką, co w zieleni
Stanie taka cicha, biała,
Dni szczęśliwych przystań trwała.
O tem często mi się marzy.
Czy serduszka rytm posłyszę,
Czy w ramionach zakołyszę,
Takie małe dziecię moje?
Jakże chciałabym je chronić,
Przed niebezpieczeństwem bronić!
Czy serduszka rytm posłyszę?...“

Naiwny pod względem formy, lecz bogaty w treść wierszyk zadziwił nauczycielkę, tem bardziej, że autorka miała lat trzynaście. Te kilka wierszy, choć nigdy o nich nie było mowy, zacieśniły przyjaźń między obiema, — i prawdopodobnie sprawiły, że wychowawczyni była pierwszą miłością Magdaleny. Niestety, wkrótce wypadło się z nią rozstać. Panna Marja odjeżdżała na zawsze, a kiedy Magdalena prosiła matkę aby zmieniła decyzję, odpowiedziała tylko:

— Trudno, muszę wziąć kogo innego, skoro ta nie potrafi sobie dać rady z Jankiem.

Nie było się czemu dziwić. Od lat przecież wszystko było na usługi tamtych, młodszych dzieci.

Pożegnanie odbyło się pozornie spokojnie. Magdalena była smutna, lecz powściągliwa, jak zwykle. Dopiero kiedy w swoim pokoju rozwinęła kartkę, którą w ostatniej chwili odjeżdżająca wsunęła jej w rękę, gdy przeczytała własny wiersz i dopisek u dołu, rozpłakała się serdecznie, jakby straciła kogoś drogiego. Na dole ołówkiem, widocznie przed samym wyjazdem w pośpiechu było napisane:

„...Nie tak łatwo dom zbudować,
W dziecku wzniecić iskrę Bożą,
Na człowieka je wychować...“

Przez wiele następnych lat Magdalena nie posiadała pamiętnika. Zadawalniała się notowaniem cudzych zdań, które jej się podobały. Miała do tego celu piękny w skórę oprawny notes, gdzie zdecydowanym pismem osoby dorosłej zapełniała całe strony urywkami z przeczytanych książek, Na pierwszej jednak stronie wlepiona została owa kartka. Można sobie było na to pozwolić, gdyż w domu nikt teraz nie sięgał po cudze tajemnice. Jak wyhodowane ptactwo, rozbiegło się młodsze rodzeństwo po świecie.

Nie znaczyło to przecież, że w domu skończyły się troski. Pani Stefanja, jak każda matka, miała tysiączne wątpliwości; martwiła się, czy synowe zapewnią szczęście ukochanym chłopcom, wkładała wiele trudu i energji, by ułatwić życie rodzinne chorowitej Anielce, serce zamiera-

ło jej z lęku, gdy zastanawiała się nad losem małej Heleny. O Magdalenę była spookjna. Uważała, iż losem jej nie trzeba się specjalnie zajlenę była jednak spokojna. Uważała, że wszystko ułoży się jakoś samo, jak zawsze, gdy chodziło o najstarszą córkę.

Kiedy jednak doliczyła się owych dwudziestu siedmiu lat, postanowiła wreszcie coś przedsięwziąć, by dziewczynę wydać zamąż. Oczywiście Magdalena nie domyślała się nawet, co było główną przyczyną wyjazdu obu pań do Worochty. Przez cały szereg lat nie opuszczała rodzinnej wsi, a kiedy majątek został sprzedany, młodszy brat Jan ożenił się i dostał w posagu inny, gdzie można było wyjeżdżać na lato. Zdarzało się również, że odwiedzała pensyjne koleżanki, które mieszkały na prowincji. Nigdy jednak dotąd nie towarzyszyła matce, kiedy ta udawała się do znanych krajowych i zagranicznych kuracyjnych miejscowości, by leczyć którekolwiek z pozostałych dzieci.

Dlatego zapewne pensjonatowe życie bawiło ją swoją odrębnością. Nawet ci obcy ludzie, którzy zbierali się razem w porze posiłków, tworzyli różnobarwną ciekawą mozajkę. W ciągu pierwszych paru dni grała parę razy w tenisa z pannami i młodzieńcami, nie wiedząc nic o nich, nawet nazwiska,—mieszała się z tłumem na spacerze, prowadziła banalne towarzyskie rozmowy, których treści już po pięciu minutach nie potrafiłaby powtórzyć.

Nie umiała grać w brydża i nie każdy taniec sprawiał jej przyjemność. Dlatego też wieczory wolała spędzać we własnym pokoju, lub na obszernym tarasie, który do niego przylegał. Rozmyślała wtedy i zastanawiała się, dlaczego usposobieniem różni się tak bardzo od innych, czemu nie umie dostroić się do rozbawionej gromady. Z dołu najczęściej dobiegały kaskady śmiechu i wesoły rozgwar, który pociągał, lecz nie potrafił pochłonąć.

Któregoś wieczoru dotkliwiej niż zwykle dokuczało jej poczucie samotności. Matka spała. Z parteru szło echo zabawy i Magdalena uczuła raptem tęsknotę za ludźmi, za kimś, kto teraz sprowadziłby ją ku nim, wysłuchał i nauczył, co czynić trzeba, żeby upodobnić się do tamtych.

Wyszła na taras, siadła w fotelu i zapatrzyła się w gwiazdy. Niebo było ciemne i otulało jak kloszem ziemię, gdzie było tak smutno i samotnie. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się modlić, by Pan Bóg ją, albo los odmienił,

Kiedy podniosła głowę, dostrzegła w mroku czerwony punkcik; gasł i znów się rozżarzał. To na sąsiednim balkonie stał mężczyzna i palił papieros. Magdalena czuła w ciemności oczy, które na nią patrzyły. Zmieszana, jakby odkryto jej najtajniejsze myśli, podniosła się i zniknęła za drzwiami.

Jerzy Rudlicz był lotnikiem. Przed trzema miesiącami przeżył katastrofę. Obecnie czuł się prawie zupełnie dobrze; nie dokuczały już kłucia w piersiach, gdzie dwa złamane żebra zrosły się bez żadnych komplikacji, nie odczuwał najmniejszych bólów głowy, które tak bardzo męczyły w pierwszych tygodniach. Cała przygoda została jedynie w pamięci, jako okropne wspomnienie. Jedyny widomy znak — to lekkie utykanie prawej nogi. Gdyby nie wyjątkowa uroda i zgrabna cała postać,

zwracająca ogólną uwagę otoczenia, nie dostrzeżonoby prawdopodobnie jego niepewnego chodu, tak było to niewidoczne.

Za to w psychice młodego porucznika została niezagojona rana. Bo jakże można było dopuścić, żeby pewność siebie zawiodła. Ileż to razy odbywał brawurowe loty, szamotany przeciwnym wiatrem, niewyspany, zziębnięty, lecz zawsze wytrwały do końca. Tym razem nie panował poprostu przez chwilę nad maszyną, dzięki czemu zniszczył ją i o mało sam się nie zabił.

Obecnie resztę wolnych tygodni spędzał w pensjonacie. Nie był to wprawdzie jeden z tych wesołych urlopów, pełen sportowych rozrywek i tańca. Nawet spacery odbywały się na niewielkiej przestrzeni. Zostawały więc książki i możność obserwowania, jak się inni bawią.

Kiedy tego dnia wyszedł na balkon, nie odrazu dostrzegł Magdalenę. Dopiero księżyc, który wysunął się z za chmury, oświetlił opuszczoną nisko głowę. Mogło się zdawać, że to ktoś płakał. Jerzy patrzał na skuloną sylwetkę, jak na ciekawy obrazek. Zarówno pochylona, z twarzą ukrytą w dłoniach, jak i zapatrzona w gwiaździste niebo, miała w sobie coś natchnionego, pociągała tajemniczością.

Gdy ją spotkał na sali, skąd dochodziła muzyka, nie wyróżniłby może z pośród barwnego grona, nie zauważył. Tutaj nabierała dziwnych cech czegoś odrębnego, co stanowiło nieodparty urok kontrastu, tem bardziej, że jako tło do jej najwidoczniej smutnych myśli, rozbrzmiewała na dole jazbandowa muzyka.

Poznali się na drugi dzień, kiedy Magdalena wracała z partji tenisa. Poznał ją odrazu, mimo, iż rozgrzana ruchem i uśmiechnięta odmieniła się zupełnie. Nie zdziwiła się nawet, gdy podszedł by się przedstawić; widywała go zresztą przedtem przy stole i wiedziała, że mieszka w tym samym pensjonacie. Od tego dnia ile razy zeszła na dół, gdzie koncentrowało się życie towarzyskie, zawsze na swej drodze znajdowała porucznika Rudlicza i zawsze uśmiechała się rada, że go widzi.

Powiadają, że kobieta, która wzbudzi zainteresowanie mężczyzny i zdobędzie jego uczucie, otacza niewidzialny fluid, jednający i zniewalający innych. W ciągu następnych kilku dni, jakie Magdalena tam spędziła, skupiła na sobie uwagę towarzystwa, jednem słowem miała powodzenie. Tyczyło się to zarówno zabaw na świeżem powietrzu, jak i tańców, jakimi nieodmiennie kończył się każdy wieczór.

Zresztą Magdalena nie poznawała sama siebie; zniknęła nieufność i smutek. Pani Stefanja patrzała z podziwem jak córka promienieje radością. Kiedyś wieczorem, gdy wracały do swego pokoju, by położyć się na spoczynek, matka zajęta pisaniem listów, poraz pierwszy słyszała, że jej dziecko, zawsze milczące i zadumane, nuciło teraz skoczną melodję — jedną z tych, jakie grano często na dole.

Przez resztę dni pobytu nie nudziła się zupełnie. Jerzy Rudlicz towarzyszył jej stale. Opowiadał o katastrofie i przeżyciach z nią związanych, o swoim życiu i planach.

— Nigdy jeszcze nie latałam,—rzekła kiedyś.—Czy zawsze jest tak niebezpiecznie, że w każdej chwili można się spodziewać nieszczęścia? Jeśli tak, to każdy lotnik jest bohaterem, a jego rodzina—męczennicy za życia.

— Nie, proszę pani, — zaprzeczył, — W górze znacznie bezpiecz-

niej, niż na ziemi. Musi być tylko pewna maszyna i bystrość orjentacji, szczególnie w tych momentach, kiedy dobry los przestaje sprzyjać. Tego pechowego dnia byłem zmęczony, niewyspany, pół bowiem nocy spędziłem na imieninach u kolegi. To zapewne wina kilku wypitych toastów. Jeśli na drugi dzień wypadnie lecieć, zawsze głowa trochę ciąży. Cały zresztą wypadek należy uważać za lekki, jeśli się potem żyje. Przeważnie bywa tragiczny koniec. Dzięki Bogu, że tak się skończyło. Oto za kilka dni wracam do pracy i po trochu zatrze się przykry okres choroby. Zato pensjonat w Worochcie nigdy nie będzie zapomniany.

Zamilkł. Magdalena uświadomiła sobie ze smutkiem, co przed chwilą powiedział. Minie jeszcze kilka dni, a potem rozstaną się, odejdą do swoich spraw, z których się składa życie.

— Gdzież jest jego treść, — myślała, — ślizgamy się po powierzchni różnych zdarzeń, jakie nam los piętrzy, a jeśli iskierka szczęścia zabłyśnie przed nami, nie umiemy pozwolić jej rozgorzeć w ognisko.

Jakąż miała ochotę usłyszeć, że nie odbiegną od siebie na zawsze. Lecz młody porucznik milczał.

Na drugi jednak dzień, kiedy po otrzymaniu strasznej wiadomości, obie panie potraciły głowy, stanął obok nich, jak ktoś bliski i nie odstępował w nieszczęściu. Był z całą rodziną przez wszystkie dni, jakie mu zostały do końca urlopu, a przed odjazdem zamienili z Magdaleną pierścionki.

— Jakże się cieszę, — mówiła Julja, żona starszego syna Ludwika, — że kochana mama nareszcie przyjechała. Może i Ludwik trochę się odmieni. Od jakiegoś czasu znów dziwnie stroni od ludzi, a przecież gdy się żyje w dużem mieście, trudno się od nich odgrodzić. Rozumiem, że spotkało nas nieszczęście, ale nawet jeśli żałoba jest w domu, człowiek nie może zaniemówić.

Pani Stefanja westchnęła. Znała to dawne, poważne, usposobienie syna. Miała to za dobre synowej, że po ślubie potrafiła odmienić odludka.

— A może to śmierć ojca tak na niego wpłynęła?

I przypomniawszy sobie o przeżytem nieszczęściu, wyjęła chusteczkę by otrzeć łzy.

Ależ nie, moja mamo. Jeszcze na wiosnę, po powrocie z urlopu, na nowo zdziwaczał. Ojciec cieszył się wtedy jak najlepszym zdrowiem. Przyznaję, że Ludwik mnie przeraża, gdy wszystkie wolne chwile spędza w gabinecie, obłożony książkami i to mu wystarcza. Czasami myślę, że wogóle straciłam męża. Czyż podobna, aby mężczyzna w jego wieku nie pragnął żadnej ludzkiej rozrywki, tylko stale się czegoś uczył?

Był to ulubiony temat pani domu, nigdy niewyczerpany. Zawołano jednak do obiadu i wszelkie żale trzeba było odłożyć na potem. Pani Stefanja, siedząc naprzeciw syna, obserwowała go bacznie; dostrzegła, że jest blady i mizerny, ale nic w jego twarzy nie znamionowało podniecenia, czy niepokoju. Matka odetchnęła z ulgą. Rozmawiali teraz na różne nieważne tematy, starannie unikając wzmianki o ojcu, żeby nie wywołać przykrego nastroju.

Po raz pierwszy od powrotu z Worochty Magdalena czuła się zadowolona i szczęśliwa. Utkwiła wzrok w niebieskiej plamie nieba, stanowiącej barwne tło dla kwitnącej za oknem pelargonji, myśląc o swo-

im szczęściu i przysłym domu, który stworzą z Jerzym. Niebardzo też wiedziała, o czem mówiono przy stole. Nie spostrzegła również, jak bratowa napełniła kieliszki, a Ludwik ostentacyjnie odsunął swój od nakrycia. Dopiero głos Juli przywrócił ją do rzeczywistoci. W słowach dźwięczała ta sama nuta urazy, z jaką przed pół godziną skarżyła się pani Stefanji.

— Sama mama widzi, jak trudno z nim wytrzymać, — zaczęła. — Powiedział sobie naprzykład, że nie powinien pić wina, ani wódki, a przecież tu chodzi wyraźnie o jeden kieliszek. Uważam, że podobne wyróżnianie swojej osoby zakrawa poprostu na dziwactwo. Czy mama się ze mną nie zgodzi?

— Ależ, moje dziecko, poparła synowę pani Stefanja, nie warto się sprzeczać o podobny drobiazg? Tak się przecież kochacie i doprawdy jedno drugiemu powinno ustępować.

Niespodziewanym gestem schwycił kieliszek do ręki i podniósł do ust. Było coś nieoczekiwanie gwałtownego w tych ruchach, co zastanowiło Magdalenę. Nie wypił jednak, lecz cisnął szkłem o ziemię. W ciszy, jaka panowała przy stole, zadźwięczało niemiłym dysonansem, Ludwik zerwał się i wyszedł z pokoju; w ślad za nim pobiegł płacz żony, która rozszlochała się, jak mała dziewczynka.

Kiedy pełną buntu i urazy pani Stefanja odprowadziła do sypialni, Magdalena została sama. Napróżno starała się odgadnąć przyczynę całego zajścia.

— Bo trzeba znać Ludwika, — myślała — zawsze dawniej opanowany, jakże się bardzo odmienił.

Po chwili wahania zapukała do gabinetu brata. Wewnątrz było cicho i Magdalena, nie doczekawszy się żadnej zachęty, nacisnęła klamkę.

Dostrzegła jego głowę, nisko opartą na rękach.

Zbliżyła się cicho. Patrzyła ze współczuciem na pochylone plecy. Wydawał się jej bezradny i bardzo nieszczęśliwy. Nagle powiedział coś, co najmniej spodziewała się usłyszeć:

— Nie wyobrażasz sobie, jak człowiekowi który pił, trudno się od picia powstrzymać.

Więc to miało być tak ważne? Prawie że się uśmiechnęła.

— Kochanie, — rzekła, pochylając się ku niemu jeszcze niżej, — więc to jest twoje zmartwienie? Poprostu pije się, gdy się zdarzy okazja, lub kiedy przyjdzie ochota. Sądziłam, że trapi cię zupełnie coś innego, naprawdę groźnego. Nie należało może wywoływać utarczki przy stole o ten jeden kieliszek. Przecież to był poprostu drobiazg. Pokazałeś upór dziecka, albo zmysł przekory.

Podniósł się gwałtownie. Nerwowymi krokami przemierzał pokój, Magdalena nie rozumiała nic, lecz czekała w milczeniu. Zatrzymał się wreszcie, by zapalić papierosa. Widziała, że ręce mu drżały, gdy pocierał zapałkę. Stał teraz przed nią i mówił w podnieceniu:

— To nie jest drobiazg, Magdaleno!

Ponieważ siedziała spokojnie, pohamował się nieco.

— ...Tak łatwo oceniamy innych, jakże często błędnie. Czemu przypuszczać, że usiłowania mają wyrażać upór, lub przekorę? Dlaczego odchyleń od przeciętnego szablonu nie traktować, jako wyrazu niezależności inteligentnego człowieka, świadomego swej siły? Tyle lat spędzi-

łaś ze mną pod wspólnym dachem; jest przecież między nami tylko rok różnicy. Znałaś mnie dobrze, choć byłem małomówny i skryty. Lecz nie znasz mnie teraz. Życie zmienia ludzi, a niekiedy czyni to nieubłaganie gwałtownie. Pamiętam, jak rodzice cieszyli się, że mnie małżeństwo przeobraziło. Byli przekonani iż na dobre. Rzeczywiście wpadłem w wir zabaw, garnąłem się do ludzi, a właściwie do Juli, więc szedłem chętnie tam, gdzie jej było dobrze. Po dwóch latach takiego życia dostrzegłem, że nie mogę się obejść bez kilku kieliszków wódki, czy koniaku, jeśli chcę pracować i myśleć; czasem nie wiedziałem, co mówią do mnie. Myśli rwały się na strzępy. Nie masz pojęcia, jakie to upokarzające uczucie, szczególniej, jeśli trzeba pracować. Czy możesz sobie to wyobrazić? Strzępy, żadnej całości, a potem apatja, co gorsze męka upokorzenia!

Zamilkł, nie przywykły do zwierzeń. Lecz potrzeba podzielenia z kimś bliskim myśli, które go nurtowały, przemogła i rozpoczął na nowo:

— ...Postanowiłem szukać ratunku. Lekarz, do którego się zwróciłem, skierował mnie do specjalnego zakładu w Świacku, gdyż okazało się, że jestem poważnie chory. Zetknąłem się tam z dziwnym doktorem, który umie zapuszczać sondę do duszy ludzkiej. Powiedzmy sobie otwarcie: ojciec nasz był dobrym człowiekiem, lecz nie posiadał takiego klucza, którym się dusza ludzka otwiera; mama dbała w pierwszym rzędzie o ciało i zdrowie. A czyż człowiek sam zawsze umie zaglądać w głąb własnego ja? Tygodnie, spędzone w Świacku, dużo mnie nauczyły, na wiele zagadnień otworzyły oczy. Tak, moja droga, wlecze się czasem jakieś fatum za człowiekiem, być może, że odziedziczone od pokoleń. Alkoholizm to straszna choroba; ludzi nią dotkniętych jest więcej. niż przypuszczasz. Chodzą wśród nas, ocieramy się o nich. W chwilach poczytalności każdy usiłuje ukryć swe kalectwo, jak chorobę weneryczną. Są i tacy, którzy nigdy nie nazwaliby siebie alkoholikami, a kiedy pomyślą o ratunku, będzie już za późno. Mogę się uważać za szczęśliwego, że umiałem zawrócić w porę. Ów cudowny lekarz potrafił mnie uzdrowić. Wróciłem do domu, jak odrodzony. Odkąd znów mogę godzinami zagłębiać się w naukowej pracy, instynktownie się tutaj zamykam, by odgrodzić teraźniejszość od wspomnień i pokusy. Co to zresztą za rozkosz znów wszystko rozumieć, kojarzyć, wybierać i zapamiętać. Po kilku godzinach pracy czuje się normalne znużenie lecz jednocześnie zadowolenie z pokonanych trudności. Nie wiesz pewnie o tem, — dodał, — że człowiek, który cierpiał na tę straszną chorobę, dotąd będzie zdrów, dokąd nie wypije tego jednego kieliszka; po tym sięgnie napewno po więcej.

Magdalena słuchała w skupieniu. Nie zdążyła jeszcze przemyśleć tego, co usłyszała, lecz stanowisko brata utwierdzało ją, że to są poważne zagadnienia.

— Czemuż nie powiedziałeś o wszystkiem Juli? — spytała.

— Zawsze twierdziła, że szczęście małżeńskie należy wyłącznie do ludzi zdrowych. A przytem mogła przypuszczać, że sobie chorobę zawdzięczam. Och, Magdaleno, — dodał ze smutkiem, — kiedyś miałem pokusę, żeby się jej pochwalić nad odniesionym zwycięstwem. Było to właśnie wtedy, gdy udało mi się dokończyć naukową książkę, nad którą wiele lat pracowałem. „Czy to będzie dużo pieniędzy? — spytała — Może wtedy zaczniemy znów wieść dawne beztroskie życie“.

Milczeli przez chwilę. Magdalena nie patrzała na twarz brata; i tak wiedziała, ile wysiłku kosztuje go ta długa, szczera rozmowa.

— ...Widzisz, — mówił dalej, — kocham ją i nie chciałbym utracić, mimo iż wiem, że nasze małżeństwo nie jest doskonałe; mieszkamy razem, jemy wspólnie obiad, przyjmujemy gości, kochamy się nawet na swój sposób, lecz nie znaczy to, że umiemy razem myśleć. A przecież w tym tkwi najsubtelniejsza, i najmocniejsza podpora, na której jakże rzadko, niestety, buduje się rodzina. A społeczeństwo czy nawet najbliżsi? Zwartym frontem, jakby na przekór zdrowemu rozsądkowi robią wiele, żeby dobre wysiłki zniweczyć. Miałaś dzisiaj drobny przykład. O, Magdaleno, jeśli napotkasz na swej drodze człowieka, który ci jest przeznaczony, nie pozwól mu brać kieliszka do ręki. Naucz go poprostu, by nie pił. Zaczyna się przecież zawsze od tego jednego. Potem, kiedy już los zwiąże mocno życie dwojga ludzi, nie pora na żądania; mają one wtedy posmak rozkazu.

Magdalena machinalnie obracała na palcu zaręczynowy pierścionek. Kamień błyszczał tęczowemi promieniami, niby zapowiedź przyszłego szczęścia, wpatrywała się w jego migotliwe światła, lecz nie powiedziała nic; przesycone radością wyznanie nie pasowało w jej pojęciu do tego, co tu usłyszała.

— Moja mamo, — mówił zięć Ksawery, — muszę dostać kilka tysięcy. Kiedy się żeniłem, trudno było przewidzieć, że Aniela nie nadaje się na żonę. Przecież u nas doktór nie wychodzi z domu. Podobno w dzieciństwie cierpiała na konwulsje, miała krzywicę kości. Teraz — jak wiecie — jest w ciąży i doktorzy twierdzą, że o normalnym porodzie nie może być mowy.

Pani Stefanja słuchała zgnębiona. Dopiero minęło pół roku od śmierci Zygmusia, a jej się zdawało, że to całe lata, tyle było ciągle nieszczęść i zmartwień. Inne matki, — myślała — w znacznie gorszych warunkach chowają dzieci, przecież wszystko się im potem wiedzie pomyślnie.

Skądże ci wezmę pieniędzy, — powiedziała niemal pokornie. — Zapewne bluźnię, lecz myślę nieraz, że może i lepiej, iż ojciec nie żyje; czekałyby go same troski i troski. Pomyśl, mój drogi, jeśli nawet byłaby odłożona jakaś większa suma, to mam obowiązki względem tego najmłodszego dziecka, które jest bezradne.

Ksawery nie mógł się już opanować. Znany był z tego w rodzinie, że nie oszczędził nikomu przykrych słów, jeśli go podrażniono.

— Gdyby ojciec żył, — rzucił ze źle tajoną złością, — wystarczyłoby mu kupić butelkę koniaku ,a już po paru kolejkach zgodziłby się na wszystko, oddał ostatni grosz nie tylko mnie, ale pierwszemu z brzegu, ktoby się z nim trącił kieliszkiem. Przecież to nie jest tajemnicą, że wolał towarzystwo podchmielonych kompanów, niż żony. Może tu właśnie należałoby szukać przyczyny, iż Aniela jest wiecznie chora, a Helena rośnie na niedołęgę. A czy w normalnych warunkach, majątek przeszedłby w obce ręce?

Tego już było za wiele. Chciała mu rzucić w twarz: „Ty sam z nim często piłeś", lecz słowa uwięzły gdzieś w gardle. Podniosła się z ceglastymi wypiekami na twarzy i bez jednego słowa wyszła z pokoju. Do

piero tam dała upust rozpaczy. Całe życie traktowała męża, jak domowe bóstwo. Ileż trudu kosztowało, by go wybielić we własnych oczach, jeśli nawet nie wszystko i nie zawsze szło po jej myśli. Był to swoisty instynkt samozachowawczy, czy może egoizm, by świadomie zamknąć przed sobą oczy, by nie ujrzeć czemkolwiek zbrukanego ołtarza, na którym opierało się gniazdo rodzinne.

Ciemno było w pokoju, lecz nie zapalała światła. Przeżuwała gorycz ostatniej rozmowy i sens całego życia.

Do pokoju weszła Magdalena, Jej obecność działała zawsze uspokajająco. Ona jedna potrafiła sobie wyprosić od losu trochę uśmiechu. Pani Stefanja odetchnęła z ulgą. Uświadomiła sobie, że Jerzy Rudlicz niedługo zostanie jej zięciem. Może tym dwojgu będzie się wreszcie wiodło.

W ciągu ostatnich miesięcy Magdalena przeobraziła się nie do poznania. Zwykle małomówna i skryta, potrafiła teraz godzinami rozmawiać z matką. Zostało wprawdzie dawne skupienie i rozwaga, lecz oczy wyraźnie uśmiechały się do ludzi. Teraz zbliżyła się do tapczanu, na którym siedziała pani Stefanja. Starała się ją uspokoić, pocieszyć. Jeden ze sposobów była to rozmowa o przyszłym domu, który należało stworzyć.

— Jeśli mnie twoje małżeństwo zawiedzie, dziecko drogie, — mówiła — stracę wiarę, że są dobrzy ludzie na świecie. Nawet Ludwik i Jula, którzy się tak kochali, a przecież nie są szczęśliwi.

— Pobyt u nich nauczył mnie wiele, — rzekła Magdalena. Doszłam do wniosku, iż najbezpieczniej wyrzucić alkohol z domu. Niewinnie wygląda ten jeden kieliszek, a tyle krzywdy przynosi. Dlatego też umówiłam się z Jerzym, że w naszym domu nie będzie trunków. Obiecał się odzwyczaić od picia.

Pani Stefanja lubiła wyobrażać sobie przyszły dom córki. Znajdowała odpoczynek w obmyślaniu najdrobniejszych szczegółów,

— Nie wyobrażam sobie jednak, — rzekła, — jak będziesz przyjmowała gości, bez wina, czy wódki. Weszło to poprostu w zwyczaj, z którego się trudno wyłamywać. Każdy sam powinien wiedzieć, co mu wolno i do jakich granic.

Lecz Magdalena zaprzeczyła gorąco.

— Ludwik zapoznał mnie bliżej z tę sprawą, — powiedziała. — On sam jest żywym przykładem, jak łatwo owe granice przekroczyć. Zresztą przyjrzyjmy się naszym najbliższym; nigdzie nie ma śladu, żeby przez picie działo się coś dobrego. Jerzy o mało życia nie postradał przez parę głupich kieliszków.

Miała ochotę powiedzieć coś o piciu i potomstwie. Tyle się ostatnio naczytała o tym. Przyszło jej jednak na myśl własne rodzeństwo, a szczególnie Helenka; milczała więc, nie chcąc sprawić matce przykrości.

Nie pierwszy raz poruszały te tematy. Magdalena powracała do nich często. Obcowała teraz zresztą prawie włącznie z matką, gdyż narzeczony wyjechał za granicę i miał powrócić dopiero za parę miesięcy.

Zresztą pani Stefanja godziła się w zupełności ze zdaniem córki. Trudno przecież byłoby znaleźć człowieka, który ośmieliłby się twier-

dzić, że pijaństwo jest czemś mądrem. Nie przeczyła nawet, iż wszystko się zaczyna od tego jednego kieliszka.

Nadszedł wreszcie radosny wieczór, w którym Jerzy powrócił. Poraz pierwszy od wielu miesięcy mieszkanie przybrało uroczysty nastrój, a pani Stefanja krzątała się sama, żeby wszystko jak najlepiej przygotować. Znów oto była sobą, tą dawną panią domu z przed kilku miesięcy, kiedy starania o drobne nawet wygody domowników wypełniały jej życie. Zajrzała do kuchni, własnoręcznie ustawiała na stole przekąski i kwiaty. Wreszcie spojrzała krytycznem okiem na nakrycie; wydało jej się niekompletne, poprostu coś raziło. Pamiętała naturalnie dobrze, co mówiła Magdalena i jakie było jej życzenie. Kiedy jednak otworzyła kredens i spojrzała na karafkę, pełną nalewki, przekonania zaczęły blednąć. Bez wahania umieściła ją na środku stołu, a ustawiając naokoło smukłe kryształowe kieliszki, myślała o szczęściu tych dwojga młodych, którzy tu za chwilę zasiądą.

Któraż zresztą matka myśli w tym wypadku inaczej?

Takich jest napewno niewiele.

Zofja Herwichowa.

ODGŁOSY Z TERENU.

Tak „Ostatnie informacje", jak i „XI Kurs alkohologji w Państw. Szkole Higjeny z Nr. 1—3 z b. r. miesięcznika „Trzeźwość" pióra sen. Iżyckiego, przemówiły mi do przekonania, nakazując głębokie zastanowienie nad akcją przeciwalkoholową w terenie.

Szczególnie bliski termin Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego powinien zelektryzować wszystkich kursistów, działaczy akcji przeciwalkoholowej na terenie całego Państwa, oraz zapłodnić ich nakazem solidarnego wystąpienia na Kongresie. Wystąpić jednak z czemś, z pewnym dorobkiem.

By to się stało niezbędne, są pewne pociągnięcia ze strony Zarządu Głównego Tow. Trzeźwość.

Przedewszystkiem wskazanemby było zwołać przy końcu kwietnia lub z początkiem maja tegoroczny Walny Zjazd Delegatów Pol. Tow. „Trzeźwość" do takiego miasta, do któregoby wszyscy zaproszeni kursiści i delegaci mieli możność się zjechać (np. Warszawa, a może Lublin). Wszystkich kursistów na ów Zjazd zaprosić, przygotowując w tym celu osobny i specjalny program zjazdu, streszczający się w następujących punktach, a względnie referatach:

1) praca kursistów w terenie: a) badanie środowiska w kierunku możliwości poczynań akcji przeciwalkoholowej, b) przygotowanie kursistów do pracy, c) wyniki pracy wśród starszego społeczeństwa i dziatwy szkolnej;
2) planowanie pracy na przyszłość;
3) akcja przeciwalkoholowa, a szkoła i kościół;
4) akcja przeciwalkoholowa, a państwo.

Zapadłyby na zjeździe decyzje co do zebrać się mającego materjału, potrzebnego do referatów, co do treści samych referatów, oraz gremjalnego udziału kursistów w Kongresie. Napewne doszłoby na Zjeździe

do powstania Koła słuchaczów kursów przeciwalkoholowych, tak, jak powstało Koło lekarzy abstynentów.

Niechby zjechało nas na zjazd tylko 10—20% kursistów, a byłby to już wymowny sukces wysiłku w tym kierunku. Wszak 400 luda, to już armja pracowników, którą nie pogardziłaby żadna z organizacyj społecznych. Zdobycie 400-stu członków dla niejednej organizacji, i to z tych aktualniejszych, dzisiejszych (np. Loppu, Ligi M. i K., Tow. Bud. Publ. Szk. Powsz. i t. p.), jest żmudną kilkuletnią pracą i wymownym wysiłkiem. Ba, dowodem nawet wielkiej aktywności zarządu danej organizacji.

Warto więc na tę koncepcję pójść i zaryzykować taki eksperyment. A nuż stanie na apel ze 600 luda. Wtedy powodzenie Kongresu zapewnione, a wysłuchane poreferatowe tezy pójdą na stół pracowniany każdego ze słuchaczów. Akcja przeciwalkoholowa ożyje, nabierze rozmachu i potoczy się poważnie naprzód, zyskując autorytatywne, bo pokongresowe poparcie Władz, które skreślają dziś czemprędzej z wykazu towarzystw małe organizacje, wykazujące się niewielką liczbą członków i aktywnością.

Jarosław.

Letniowski Paweł.

„WODZOWIE EUROPY“.

Pod tym tytułem Emil Ludwig (Tow. Rój, Warszawa 1935 r.) daje szereg sylwetek, nazywając je „szkicami z natury“. Najbardziej zajmujący jest szkic o Masaryku „słowiańskim przyjacielu ludzi“, być może dlatego, że postać b. prezydenta rzeczypospolitej czechosłowackiej jest dla nas najsympatyczniejsza. życiorys zaczyna się, jak w bajce: „W jednej z posiadłości potężnego cesarza (Austrii) służył stangret i kucharka; pobrali się, gdy im państwo udzielili na to pozwolenia; bez przyzwolenia swego pana nie mogli sami powziąć żadnej decyzji, ani też zmienić zawodu, lub miejsca zamieszkania. Młode stadło nadało w następnym roku 1850-ym pierworodnemu swemu synowi imię Tomasz. Nie mieli wcale na myśli apostoła, to też nie wiedzieli, jak trafnie, choć mimowoli, przeczuli charakter swego dziecka. Dalszy ciąg bajki jest niemniej cudowny. Terminator u kowala, korepetytor syna dyrektora policji, Tomasz Masaryk, kończy chlubnie gimnazjum i uniwersytet, żeni się z Amerykanką, a potem pracuje, pracuje bez chwili odpoczynku i wytchnienia, nad sobą i dla innych. Bardzo wcześnie pisze swoją pierwszą książkę „o samobójstwie“, którą do dziś dnia uważa za swe podstawowe wyznanie wiary, a właściwie za wyraz swej mądrości życiowej. Książka ta oskarża wojnę, alkohol, kapitalizm i wyuzdanie płciowe, jako przyczyny nędzy i poniewierki znacznej większości ludzi.

Bajka trwa dalej: wprawdzie młode małżeństwo mieszka w Wiedniu w jednym pokoju i stołuje się w garkuchni, ale wkrótce widzimy Masaryka członkiem wiedeńskiego parlamentu i na stanowisku profesora czeskiego uniwersytetu w Pradze. Trudno na tem miejscu przytoczyć dzieje jego zawrotnej karjery, która doprowadziła tego niezwykłego męża stanu na Hradczyn. On sam w pamiętnikach opisuje fakt ten

w następujących krótkich wyrazach: „gdy 14 listopada obwołano w Pradze republikę i wybrano mnie na prezydenta...".

Znajdujemy u Ludwiga mnóstwo szczegółów niezwykłego charakteru. Przytoczymy tylko jeden, który nas szczególnie obchodzi: pod wpływem Forela w 50-ym roku życia wyrzekł się zupełnie alkoholu. I dziś jeszcze na stole b. prezydenta można znaleść rozmaite frykasy i smakołyki prócz wina i innych trunków. ... dodaje autor, opierając się na własnych wspomnieniach.

Zaiste, przykład godny naśladowania.

podała *Marja Sokalówna.*

KOGUT.

Wiemy, że kogut należy do kurowatych, co sprawdzić niezmiernie łatwo; w swoim czasie — był wzięty za symbol przez Franków, lecz — żeby stał się, aż nieszczęściem — nie słyszano jeszcze nigdy!

Mało ceniony przez gospodynie dla twardości swego mięsa, a wielce — przez podległe mu kury, dla względów im okazywanych, nie uczynił wprawdzie ludzkości przysług, równych czynom kapitolińskich gęsi — był jednak zawsze tolerowany łaskawie. Czasem nawet, jako kurek na kościele — stawiany bardzo wysoko...

Jest trzecia rano, czyni tedy, co do niego należy — pieje. Robili to jego przodkowie w zamierzchłych wiekach i zaśmieconych kurnikach. Nieraz, jak on w tej chwili — i na dworze. Może nawet, pod oknami zasypiających późno — z rozmaitych przyczyn kasztelanek. Może — sen słodki im przerwały, będący ciągiem dalszym owych niespania powodów. Mniejsza o to jakich, dość — że gniewu w dziewiczych serduszkach nie zdołały obudzić. Zmienił się świat, inne nastały czasy...

— — — — — — — — — — —

— Pieje! To okropne, nie do zniesienia. Mówiłam mamie, znowu będzie to samo!

— Skończy, Nineczko...

— Owszem — gdy ja wstawać zacznę! Mama wszystko bagatelizuje, a moja fizyka...

— Twoja... fizyka?!

— O, niby to bez związku mówić zaczynam! Mama nie rozumie, że mój organizm, przemęczony nauką, potrzebuje spoczynku, który właśnie kogut uniemożliwia!

— Uspokuj się, dziecko!

— Tak, lepiej zrezygnować odrazu i wystąpić z gimnazjum...

— Ninko, co ty mówisz?!

— O, znowu pieje, to niemożliwe!

— To zwykła rzecz, Nineczko...

— Właśnie dlatego — niemożliwe! Niechże mama co zrobi... — Wstanę...

— Tu o to chodzi, aby wstawać nie było potrzeba!

— Wyślę ojca, by go odpędził. — Wsuwa na nogi pantofle i wychodzi do sąsiedniego pokoju.

— Michale, śpisz?

— Odpowiada tylko mocne chrapanie, więc potrząsa męża za rękę.

— Aha, tysiąc lat.... zdrowia, panie tego... — mamrocze mąż z zamkniętemi oczami.

— Wstań! kogut Ninkę budzi!

— Co chcesz? Toć buty zdjąłem przed spaniem! Nie rozumiem... — przewraca się na drugi bok.

— Knajpy nie odespał... I to ma być ojciec! — syczy małżonka, obrzucając łóżko pogardliwym wzrokiem. Po upływie pięciu minut, ogarnąwszy się jako tako — wybiega sama. Słychać ciężki tętent, przerażony wrzask koguta, zawzięte, pełne nienawiści okrzyki:

— Poszedł! ty gałganie, żebyś mi się na oczy nie pokazywał! a sio, a sio!

— Milkną głosy ściganego i pogoni. Ninka naciąga wysoko kołdrę. Gdzież ta mama? Cicho, a zasnąć nie daje oczekiwanie jej wejścia. Nareszcie — pani wraca.

— Mama to serca nie ma chyba!

— Jakto, dlaczego?!

— Poszła, mnie spać nie dając...

— Dziecinko, koguta poszłam odpędzić. Taka rosa, całe nogi mam mokre...

— Mama swem mówieniem zasnąć mi nie pozwala!

— Już milczę, Nineczko...

— Dziwnie mama milczy, mówiąc o tem!

— Jesteś rozdrażniona. Uspokój się! Zważ, twoja poprawka...

— Mama mi wymawia?!

— Namawiam cię jedynie do spania.

— Ja rozumiem, o co tu chodzi. Ach, najprędzej skończyć szkołę, by nie słuchać wiecznych wymówek!

— Ależ, dziecko...

— O tak, dziecko — do strofowania! Jesteś dorosłą panną — słyszę,gdy chodzi o zachęcenie do nadmiernego wysiłku...

— Śpij spokojnie!

— Niechże mama wpierw mówić przestanie!

Cisza. Córka stara się zasnąć, oczekując jednak na jakieś słowo. Chyba chwilowo tylko zabrakło matce argumentów... niesłusznych zresztą, jak zwykle. Długie czekanie nuży — w rezultacie wpada w półsen. Gwałtowne pianie...

— Mamo!

— Pieje, Nineczko...

— Bardzo mama spostrzegawcza. Trzeba go było dalej odpędzić!

— Biegłam za nim na sam koniec placu. Dalej był płot...

— Czy to moja wina? Furtką należało obejść.

— Onby tymczasem wrócił...

— Ogromnie mama przewidująca, tylko nie przewidziała tego, że mnie tu budzić będą!

— — — — — — — — — — —

Śniadanie rozpoczyna się ponurem milczeniem. Zapowiedzią wyładowań złego humoru pani Ireny — są stawiane przez nią zbyt głośno talerzyki. Pan Michał, drgając przy każdem stuknięciu, nie może powstrzymać lekkiego okrzyku:

— Och, duszko, stłuczesz co jeszcze!

— Gdy patrzę na ciebie, gotowam w to uwierzyć! Wartoby stłuc takie „coś", co własnego dziecka obronić nie potrafi! Picie tylko w głowie i rozpamiętywanie gatunków wódek...

Ninka, która chrupie rogaliki z niezręcznie symulowanym brakiem apetytu — ziewa w tej chwili demonstracyjnie.

— Widzisz?! Dziecko gotowe się rozchorować, a ty...

— Nie gniewaj się, duszko — przerywa pan Michał — doprawdy nie rozumiem...

— Ja się nie gniewam. Mówię, co inny zrobiłby na twojem miejscu...

— Co, duszko? powiedz!

— Od tego jesteś mężczyzną, żebyś sam wiedział, co uczynić należy, aby nosa przytrzeć tym Zadzierskim! Prawda — nie wiesz o wszystkiem! Wczoraj, gdyś wrócił w błogim nastroju, słuchać mnie nie byłeś w stanie. Pijaczyna!...

— Coś mówiłaś,że ktoś mówił...

— Doskonale pamiętasz, rzeczywiście! Nic dziwnego, i to dużo jak na ciebie! Czego się gapisz? — spotyka mętny wzrok męża. — Nie kuj tak łyżeczką, opowiem ci od początku. Patrz, jaka Ninka mizerna...

— Upudrowana za mocno...

— Wódka przez ciebie gada! Słuchaj lepiej... Pamiętasz historję z tamtymi kogutami?

— Kupiliśmy i zjedliśmy, zdaje się, cztery...

— Może mi jeszcze powiesz dlaczego: że przychodziły z placów sąsiednich i budziły Nineczkę! Niby ja nie wiem o tem sama... Tu o Zadzierskich, o ich docinki chodzi! To oni śmieli się z naszego dziecka! Nazywali psychozą — niespanie z powodu wściekłego wrzasku. A ona, ta podła baba, powiedziała — że to histerja, że nawet przyznawać się do takich rzeczy nie należy!

— Tyś odrzekła jej trochę niegrzecznie...

— Jak należało! Powiedziałam, że sen twardy, jaki oni mają — jest przywilejem chłopów, którym cepami można tłuc nad głową. I gdy wyjechałeś, wiesz co ona zrobiła?

— Nie wiem...

— Naturalnie, tybyś coś wiedział! Otóż ona — sama kupiła rasowego koguta i puszcza go rano. Pieje od trzeciej do piątej. I co ty na to?

— Zdaje się... dwie godziny?

— Idjota! Nie chodzi mi o rachunek, chodzi o to, aby nie piał wcale!

— Ja? no cóż... tak... rzeczywiście...

— Bardzo dokładnie obmyślony plan działania! Można powinszować daru orjentacji! Nic dziwnego, po wczorajszych wódkach... Biedne dziecko — z jego zdolnościami mieć takiego ojca! że też trzymają cię w sądzie...

Pan Michał czuje tępy ból głowy — skutki niedawnego nadużycia. Sopran żony razi go, niby uporczywe stukanie młotkiem. Przypomina sobie toczone w dzieciństwie kule ze śniegu, jak rosły, olbrzymiały w oczach. Podobnie jest z kogutem, który pianiem budzi Nineczkę, ta nie daje spokoju matce, a w rezultacie — wszystko spada na niego lawiną wymówek...

żona terkocze:

— ...fizyka, gotowa Ninka zostać na drugi rok! I to przez kogo? — Przez ciebie!

— Daruj, bo niezbyt pojmuję — otwiera senne oczy — ja jej nie budzę...

— Kogut budzi, a ty mu pozwalasz! Czy można wymagać rozumu od głupiego ptaka, gdy tobie go nie staje?! Boże, to szczęście, że Nineczka nie odziedziczyła twej inteligencji! Ogromnie zdolna...

— Przecież fizyka...

— Jednostki wybitne nie zdradzają nigdy zdolności uniwersalnych. To dowodzi tylko jej nieprzeciętności! Ty zaś...

— Już ci kiedyś mówiłem, że i Przybyszewski...

— Tamtemu po ogłupieniu wódką bezporównania więcej rozumu zostawało, niż tobie! Nie każdy może sobie pozwolić na taką rozrzutność! Ty zwłaszcza...

— Nie gniewaj się, duszko! Nalej mi drugą szklankę kawy.

— Tak, potrzebna ci na ból głowy—po wódce, a o własne dziecko głowa cię nie zaboli! Obejdź się smakiem... Ninuś, czas do kościoła! Ty idziesz, Michale?

— Wiesz, ja trochę niebardzo...

— Zostań więc w domu i wyśpij się porządnie, abyś potem nie zamykał przy gościach oczu! Ale, ale — nie napocznij czasem tej butelki, wczoraj przywiezionej! Włodkom, gdy przyjadą damy po obiedzie. Użyłeś chyba dosyć! Najlepiej — kładź się odrazu! Snu potrzebujesz tyle, a biednego dziecka zrozumieć nie potrafisz... Dasz budzić Nineczkę! Zawsze byłeś bez serca, egoista. Puder, gdzie też położyłam?... Ninko, biedactwo, chodź prędzej! Dowidzenia...

— — — — — — — — — — —

Pan Michał siedzi na zalanej słońcem werandzie. Jest ciepło, rozkosznie ciepło, wcale go jednak nie cieszy śliczna pogoda. Osowiały — patrzy ponuro na zagajnik smukłych choinek, otaczających willę z tej strony... Słychać czyjeś kroki. Ocknął się — to Zadzierscy! Przeszli koło werandy wystrojeni, też do kościoła zapewne. Już zniknęli za kolczastym drutem ogrodzenia. Pan Michał wstaje, by się położyć i wtem — przypomina sobie, co żona mówiła o gościach. Butelka — byłby zapomniał o jej otworzeniu! Nigdy nie lubi odkładać takich rzeczy na chwilę ostatnią. Nie jest Przybyszewskim, trudno, ale systematyczny od dziecka...

Przynosi butelkę, patrzy pod światło na ciemną barwę wiśniówki. Z puknięciem wyciąga korek, niestety — obłamany na końcu... Masz tobie, musiał kawałek zostać w butelce! Trzeba zlać płyn z wierzchu. Nie mając pod ręką kieliszka, zlewa do szklanki po czarnej kawie. Do licha,

nic nie wyszło! zostało wszystko! W zdenerwowaniu wypija wódkę i nalewa znowu gwałtownie, licząc na spłynięcie okruchów z prądem. I tym razem nic... Jako higjenista—z całą już świadomością wypija pół szklanki, nie może przecież wlać tego z powrotem! Przykłada oko do szyjki, by wyśledzić ukryty złośliwie korek. Nagle — podrywa pana Michała wrzask metaliczny. Czerwienieje z irytacji.

Naprzeciwko werandy — pieje kogut. Raz po raz stroszy biały kark, wygina w przepisowym ruchu ciało z takiem przejęciem, jakby siła wyższa zmuszała go do wykonania rzeczy ogromnie trudnej. Panu Michałowi błyska myśl, poco ten ptak męczy siebie i ludzi — idjota! Kogut drze się nadal, mężczyzna chwyta więc skórkę od chleba i w pasji ciska w ptaka, ten jednak, bynajmniej nieprzestraszony — rzuca się na nią chciwie. To dopiero, jeszcze może będę karmił swego prześladowcę! Już, już, ma w ślad za skórką polecieć — spodek, gdy wtem, w głowie pana Michała powstaje plan genjalny. Urzeczonemi oczami patrzy na chodzącego wolno koguta... Ogromne korale wiszą pod dziobem, nakształt fantastycznej brody, grzebień spada kokieteryjnie na jedno oko, łapy stawiane uroczyście, z namysłem, zostawiają gałązki śladów na wilgotnej ziemi.

Pan Michał całkiem już bezinteresownie, nie szukając korka, nalewa sobie nową porcję wiśniówki. Coraz wyraźniej, w miarę picia, występuje przed nim plan działania. Jest moment — że wzdryga się ze strachu... On, ceniony w sądzie urzędnik!... Lecz wspomnienie wymówek żony, Ninka i jej fizyka, a przedewszystkiem — ostatnio wypita szklanka — rozpraszają chwilową refleksję. Ma z półtorej godziny czasu, załatwi wszystko...

Staje na niezbyt pewnych nogach, szuka w kieszeni sznurka, przyczepia go do klamki drzwi wychodzących na werandę, szeroko otwartych na zewnątrz... Wydłubawszy środek z chleba, rzuca kogutowi maleńki kawałek. Ptak łyka błyskawicznie. I znowu kawałek i znowu... Teraz — na schodki. Ze strony koguta następuje chwila namysłu, prędko zwyciężona przez dobry apetyt. Pan Michał, trzymając koniec sznurka, cofa się do sionki i kruszy chleb na werandę.

— Cipuś, ślicznIutki, cip, cip, cipusiek! — głosem przyciszonym nabrzmiałym słodyczą, zachęca ptaka do przejścia progu, niby wahającą się, nieśmiałą kochankę... Suto sypnięte w sionce okruchy — każą kogutowi przekroczyć wreszcie Rubikon. W tej chwili — naprężony sznurek od klamki przyciąga wolniutko drzwi. Już! W mrocznym przedpokoju rozlegają się ochrypłe wrzaski łapanego ptaka...

— — — — — — — — — — —

Wzdłuż szeregu willi, piaszczystą, ubitą przez deszcz ścieżką — idzie pan Michał Pozewicz. Spojrzenie ma tryumfujące, kapelusz zesunięty na tył głowy, pod pachą — teczkę czemś wypchaną, a w piersiach — pełne radości serce.

Radości — uzasadnionej... Bo proszę — któżby się zdobył na tak subtelną strategję? Koguta nie zabił, rzecz prosta, jakże mógłby dokonać przelewu krwi — on, urzędnik sądowy! I z prawem — wogóle się nie minął. Wszelkie paragrafy, najeżone groźbami za naruszenie cudzej

własności — ustępują przed jego rozumowaniem. Samemu wymierzać sobie sprawiedliwości nie wolno, ale czyż on to robi? Nic podobnego — on tylko przesiedli koguta w takie miejsce, skąd ptak już nie zdoła powrócić! Czy zresztą kogut, niedawno przez Zadzierskich kupiony, nie mógłby zabłądzić sam w lesie? Naturalnie! Nawet — zabłądzić powinien! W tem, że nie zaginął dotychczas — kryje się jakiś nieporządek. O, pan Michał jest systematyczny, nie może na coś podobnego zezwolić...

Idąc po linji raczej krętej niż prostej, zaczepia głową o zwieszone z za parkanu gałęzie. Drobny ten wypadek sprowadza jego myśl na mniej pogodne tory. Byle kogut nie zapiał! Tego nie brał zupełnie pod uwagę. Bo fakt, że kroczy ze swym jeńcem główną arterją letniska — stanowi jedynie alibi dla pana Michała, w razie jednak improwizowanego koncertu—stałoby się takie alibi trochę za głośnem... Ale—co znowu! Czego on się obawia! Przecież kogut w ciasnocie teczki nie stanie w przepisowej dla piania pozie, tem samem — i zapiać nie potrafi...

Pan Michał, stuknąwszy o jakiś kamień, wchodzi teraz w szeroką aleję, wiodącą do kościoła. O, naturalnie, Pozewicz nie zmierza do niego, ale tędy prowadzi droga na drugą stronę toru kolei! Tam w lesie puści koguta, gdyby ptak chciał wrócić — może go pociąg przejedzie... Pan Michał nic nie ma przeciwko tej ostatecznej ewentualności.

Za osobnikiem z rojaśnioną fizjognomią—oglądają się wracający z kościoła ludzie. Ktoś z drugiej strony ulicy kłania się panu Michałowi, gdy ten jednak ukłonem nie odpowiada — młody człowiek na ukos przecina drogę i podchodzi szybko.

Dzień dobry koledze! Idziecie do kościoła? Już po sumie. A może na spotkanie swych pań? Przyjechałem tu do ciotki — wyciąga z powitaniem rękę.

Pan Michał, by podać swoją, musi przełożyć pod drugą pachę żywy ciężar. Kogut, widocznie obudzony — cicho zagaworzył. Niech go djabli!

— O co pytacie? czy do kościoła? Tak, to jest nie... Co? — że mi w kiszkach burczy? O, doskonały żart! A tak, rzeczywiście, jestem głodny... Dowidzenia!

Chce pójść dalej, lecz kolega przytrzymuje go za rękaw.

— A może... wyjeżdżacie?!

— Nie, dlaczego?

— Bo teka na spacer nie jest potrzebna!

— Właśnie... potrzebna — zaczyna trzeźwieć w nagłem poczuciu niebezpieczeństwa. — Idę... do sklepu!

— Zamknięte dzisiaj wszystkie. A zresztą — już jest wypchana.

— Właśnie, właśnie... sweterek wziąłem dla Ninki, może włoży wracając, chłodno się robi...

— Wolne żarty! Upał, aż twarz macie czerwoną, mokrą... Jak Boga kocham, co to jest? — pokazuje palcem na tekę. Pan Michał drętwieje: z górnej szpary — zwisa wielkie, białe pióro z koguciego ogona...

— No chyba widzicie, że pióro! Znalazłem na ścieżce... że co? że kogut zgubił? Pewnie nie wróbel... Przepraszam, śpieszę się!

Kolega zaczyna jednak iść obok.

— Ależ wypadnie wam to, wypadnie... Włożę je głębiej — pociąga

mocno za ptasią ozdobę. Kogut, urażony nie tyle w swej godności, co w zainteresowanej okolicy — wrzasnął dziko.

— Jezus, Marja! To się przestraszyłem! Nie mogliście powiedzieć odrazu, że całego koguta niesiecie? Czego się wstydzić! A czy tłusty przynajmniej? Ciekawym, ile za niego wzięli... Co tak pędzicie? Do licha, nie rozumiem dokąd wam śpieszno! Przecież nie w tej stronie mieszkacie...

Pan Michał nie odpowiada. Ma chęć zarznąć nie tylko szamoczącego się znowu koguta, ale — i kolegę w dodatku. Leci prędko, wpada co chwila na przechodniów. Chciałby cisnąć ptaka gdzieś za parkan, a tu — nieproszony świadek! Nagle — spostrzega Zadzierskich... Idą wprost na niego. Kolega zna ich, wygada wszystko... Nogi wrastają mu w ziemię. Jak przez mgłę, słyszy uprzejme powitania, ktoś pokazuje na teczkę. Z za rogu ulicy wyłania się granatowy mundur policjanta. Pan Michał rzuca teczkę, zawraca i biec zaczyna przed siebie w nieprzytomnym, okropnym strachu...

Roma Luxówna

WALKA Z ALKOHOLIZMEM WŚRÓD UKRAIŃCÓW.

Na terenie Polski mieszka przeszło 9.000.000 ludności ukraińskiej, zgrupowanej głównie w województwach wschodnich i południowych, stanowiąc tamże poważniejszy odsetek całego zaludnienia.

Jeśli chodzi o kwestję alkoholizmu, nie ulega wątpliwości, że tak liczna grupa mieszkańców może w bardzo wysokim, a nawet wyłącznym stopniu decydować o trzeźwości albo nietrzeźwości, a w tym wypadku niezaprzeczenie mniejszej przydatności obywatelskiej i gospodarczej dużej połaci kraju.

Uznając walkę z alkoholizmem za podstawowy czynnik rozwoju państwa, nie można nie pamiętać o zwróceniu uwagi na ludność ukraińską, ale przeciwnie, chcąc walce z alkoholizmem w Polsce zapewnić powodzenie, musimy żywiej zainteresować się stosunkami alkoholowymi i akcją przeciwalkoholową wśród Ukraińców.

Jeszcze od czasów przedwojennych akcję tę prowadzi ukraińskie Tow. abstynenckie „Widrodżennia", posiadające centralę we Lwowie, a statutowo uprawnione do działalności na terenie całej Polski. Tow. „Widrodżennia" jak każda organizacja przeciwalkoholowa niewesołe ma życie i bynajmniej nie cieszy się wywoływaniem entuzjazmu wśród swego społeczeństwa. Trudności utrzymywania się „Widrodżennia" wśród ogółu pijących współrodaków najlepiej wyraża cyfra 1260 członków-abstynentów. Gdy się zważy, że ta ilość członków zamyka 25-letnie istnienie Towarzystwa, to już najlepsza ilustracja trudu pracy i oporności społeczeństwa!

Jeśli chodzi o ilość pracy i jej natężenie, to znów nie słowa, ale cyfra najlepszym dla niej miernikiem, a wynosi ona 585.900 egzemplarzy rozpowszechnionej literatury przeciwalkoholowej i 1854 artykuły w prasie codziennej w latach 1930—36. Docieranie do społeczeństwa przedewszystkiem słowem drukowanem jest metodą pracy „Widrodżen-

nia". Metoda bezwątpienia dobra, bo trwalej oddziaływująca niż inny rodzaj przemijającej propagandy.

Aczkolwiek pod względem ilości członków rezultaty tej propagandy są skromne, to jednak wywierają one wpływ na społeczeństwo choć nie 100-procentowy, to przecież dający się zauważyć. Przedewszystkiem dużo znaczy dotarcie „Widrodżennia" do prasy, która raz po raz umieszcza hasła trzeźwościowe, odezwy i artykuły, nadesłane przez Towarzystwo, a nawet artykuły przeciwalkoholowe własnej redakcji. Przy tem wszystkiem prasa ukraińska nie gardzi alkoholowymi dochodami z suto opłacanych anonsów wódczanych i piwnych, z czem „Widrodżennia" nieustannie walczy.

Drugim ważnym sukcesem abstynentów ukraińskich jest wprowadzenie abstynencji w życie innych zrzeszeń społecznych. Prawie stuprocentowo udaje się to w miejscowościach, w których istnieją silniejsze Koła abstynentów (np. Rohatyn), biorących czynny udział i nadających ton w życiu miejscowych organizacyj kulturalnych. W tych środowiskach praktykuje się zasada urządzania wszelkich zewnętrznych występów towarzystw bez alkoholu.

W miejscowościach, w których niema oddziałów „Widrodżennia", a także we Lwowie sprawa ta wygląda smutniej. Tu udaje się od czasu do czasu nakłonić jakąś organizację, zwłaszcza pośród młodzieżowych, do urządzenia zabawy bez alkoholu, ale ogół społeczeństwa jest głuchy na nawoływania, pouczenia, a nawet piętnowania ze strony abstynentów. Przeglądając rocznik miesięcznika „Widrodżennia", dobrze redagowanego organu Towarzystwa, napotykamy liczne wytykania nietrzeźwości ukraińskim zrzeszeniom kulturalnym, powołanym do dawania pod każdym względem dobrego przykładu. Na obchodach narodowych, bankietach z okazji zjazdów, nie mówiąc już o zabawach karnawałowych, płynie alkohol tak wartkim prądem, że porywa uczestników aż na pogotowie ratunkowe.

Tak więc ogół społeczeństwa ukraińskiego z niebardzo wielkim pośpiechem podąża za hasłami przeciwalkoholowemi „Widrodżennia", a monopol spirytusowy nie może narzekać na brak lojalnego poparcia ze strony mniejszości narodowej.

Działalność Tow. „Widrodżennia" koncentruje się na obszarze województw południowych, a nie doszła jeszcze na Wołyń i Polesie, gdzie ze względu na wysokość spożycia alkoholu oficjalnego i samogonu przez głodnych Poleszuków jest przedewszystkiem potrzebna. Dotarcie z propagandą przeciwalkoholową na Wołyń i Polesie stanowi największą troskę „Widrodżennia", które obok trudności materjalnych, hamujących jego rozwój, napotyka na Wołyniu także na przeszkody ze strony czynników, oślepionych blaskiem skarbowych dochodów alkoholowych.

Znając całokształt grozy alkoholizmu w Polsce, nie można spokojnie zaniedbać wychowania przeciwalkoholowego ludności ukraińskiej. Trudno sobie wyobrazić trzeźwość Polski bez trzeźwości miljonów obywateli narodowości ukraińskiej. Sprawą tą powinny się zainteresować obok ukraińskiej także polskie organizacje przeciwalkoholowe, a doniosłość przeciwalkoholowego wychowania koniecznie powinny zrozumieć czynniki rządowe, powołane do czuwania nad zdrowotnością i moralnością obywateli swego państwa.

Trzeźwości na Wołyniu i Polesiu ani o jeden krok nie posuną naprzód rygory policyjne w stosunku do samogonu, jeśli równocześnie nie otworzy się drogi dla uświadamiającej ludność propagandy przeciwalkoholowej i nie udzieli się tej pracy rzetelnej opieki.

Przypatrując się działalności Tow. „Widrodżennia" w tych okręgach, w których znajduje ono dla swych dążeń jakie takie warunki, musi się stwierdzić umiejętność organizacyjną, dużą pracowitość, a w stosunku do ogromu przeciwdziałania potęgi alkoholizmu — wyniki zupełnie zadawalające.

Lwów. *Mikołaj Skiba.*

LEITMOTIV.

(Fragment powieści).

W sekundę po naciśnięciu czerwonego guziczka zaterkotał, z drugiej strony bramy, młoteczek dzwonka, który po chwili osłabł: drżał już tylko słabo, aż w pewnym momencie zemdlał z niemocy i umilkł; w bramie jeszcze tylko jego echo grało. Rozległo się ciche, później coraz to mocniejsze człapanie dozorcy po betonowej posadzce, zgrzyt przekręcanego klucza.

Dochodzące dźwięki, rozpływając się po uśpionym podwórzu, odbijają się w kącie o ubikację i stamtąd ściekają oknem suteryny do Mańka.

Pokój oddycha ciszą nocy. Z głębi dochodzi chrapanie ojca, lekki, przerywany oddech matki, oraz Zdzicha i Niusi.

Maniek coraz głośniej oddycha, coraz częściej zachłystuje się powietrzem, które łyka z lekkim świstem w gardle. Podniósł się na łóżku półciałem, poprawił, odwracając na drugą stronę, poduszkę i przywarł rozpaloną twarzą do chłodnej materji.

Maniek pluje: kurczy mięśnie szczęk, wlewa wydobyte z płuc plwociny, w zagłębienie języka i wraz z resztkami powietrza w piersi, wypycha to wszystko z wiatrem przez okno, ku trupiemu swą bladością księżycowi. Plwociny padają na srebrną pierś brukowca, czerwone od zawartej w niej krwi Mańkowej.

Zmęczony pada na poduszkę i dusząc się od wysiłku, łyka łakomie powietrze, to zaś przyprawia go o lekkie drapanie w płucach i dusi się znowu chwilę, aż zaczyna strasznie, bez końca kasłać.

Stara się zapanować nad kaszlem: zatyka rękoma usta, kurczy się, lecz to nie pomaga — o ścianę maleńkiego pokoiku odbijają się odgłosy powstałego nagle zamętu i docierają do uszu śpiących. Matka przewraca się na drugi bok i znowu, zmęczona pracą, usypia...

Matka, to napozór śmieszna nieco kobiecina: mała, drobniutka, wiecznie, jak każda matka, zatroskana. Ostatnio codziennie rano o piątej i pół wstaje. Spod pierzyny wysuwa się głowa, potem ręce i nogi, nagle chce się to wszystko znowu schować w fałdy pierzyny, lecz ta, sama odsuwa się w przeciwległą stronę i matka wyskakuje, chlaszcząc bosemi nogami o białą podłogę. I wraz z Popławską, z facyjatki, jej prze-

ciwstawieniem — olbrzymią, szeroką w biodrach, wdową po tramwajarzu — idzie na Wielką, do prania. Popławska ma duże, olbrzymie ręce i jest silna; matka ma ręce słabe i nieraz późnym wieczorem po powrocie z pracy cicho skarży się komodzie: „och, jak mnie ręce bolą, Boże! Moje ręce...“, a później przy stole, gdy kto usłyszał, tłumaczy się naiwnie:

— To artretyczne bóle, nie z pracy! Pewnie jutro będzie zmiana pogody. Jak zmiana — to wszystkie kości mnie rwą, bolą... Starość...

Gwiazdy płoną jak lampa w cichym pokoju. Maniek budzi się z zadumy. Myśli: matka powiedziała „starość“... Ja jestem m.ody... Młody... Mam siedemnaście lat i chcę żyć, oddychać bez trudu, jak dawniej, pracować, wąchać jeszcze własny pot, być furmanem, poklepać jeszcze Maćka, i nie będę (głuchy łoskot w głowie, lekkie drapanie w gardle), i nie będę... Nie doczekam się zmierzchu, może nawet świtu i nie ujrzę matki. (Mamo! Mamo, ratuj! Boże, nie chcę umierać, nie, nie... Czemu mi tak gorąco?).

Uspokoił się. Lampka nad ubikacją migoce. Maniek wpada w stan wpół odrętwienia, majaczy, wspomina...

„... pójdziesz ze mną, chłopaczku...? tu, niedaleko, drugi dom za rogiem“.

... Należy najpierw przebyć kilka schodków, później długą sień... Nogi obute w ciepłe, ranne pantofle z czerwonym pomponem na przodzie, prześlizgują się w pół biegu po schodkach. Szare palto zwolnione zostaje z pętli, obejmującego biodra paska. Spod palta, rozchylonego, jak odrzwia pokoju, bije czerwień sukni, opinającej ciało. Poniżej, błyszczące jedwabiem, napięte w ruchu, muskuły łydek. I znowu stopy obute w ciepłe, ranne pantofle z czerwonym pomponem na nosku.

— to tędy— ...

Sień jest długim lochem, nogawicą niewyprasowanych spodni, o pięknych krzyżujących się łukach sklepienia, opartego na kamiennnych ścianach. Mrok, pulsującego życiem miasta wdarł się i tu, zlewając się z organicznym mrokiem sieni. Z boku lampka, mdłym płomieniem oświetla schody pnące się ku górze. Należy je minąć:...

Tuż obok, po prawej stronie, idzie kobieta. Dyszy, zmęczona szybkim krokiem. Czuć, jak czerwień jej sukni, obcisła na piersiach, faluje w rytm przyśpieszonego oddechu. W nozdrza bije nieokreślony zapach, dziwnie odurzających perfum i ciała kobiecego. Maniek czuje, że to pobudza do szybszego jeszcze ruchu i tak przyśpieszony, bolesny rytm krwi. Ta nieznana, spotkana na ulicy kobieta wydaje mu się być istotą dziwnie bliską. Czy napewno jej nie zna? Przecież widział ją już nieraz podczas długich, koszmarnych nocy. że twarz miała inną? To nieważne... Bo przecież to kobieta. Słowo to napełniało się dopiero treścią, nabrało znaczenia i piękna w niedawnych czasach. Czemże było przedtem? Czemś nieuchwytnym i dalekim. Dopiero później... Pierwsze szepty, gdzieś w kącie, pełnego nudy pokoju i przeogromne zdziwienie: mój Boże, czy to możliwe?! Wspólne zabawy ze starszą o kilka lat Lodźką: „babciu, Lodźka i ja, prosimy... Pozwól nam się bawić wodą... Pójdziemy do kuchni“... Szept: „pozwól, Lodźka, przecież ja nic nie zrobię, pozwól...“

I dalej wspomina...

...Głowa, o tlenionych włosach, odwraca się lekko. Spod łuku napiętych brwi błyszczą czarne, zdziwione oczy. Głowa nachyla się lekko. Słowa banalne obliczone na efekt — mój ty chłopczyku —. W nozdrza bije nieokreślony zapach: perfumy i alkohol. Maniek czuje, że go mdli. Wódka, to tak, jak u ojca, u stryjka. Ogarnia go paniczny strach. Odpycha stojącą obok kobietę. Ucieka.

... Oto Maniek Kruszyna puka w okna sąsiadów: Helka, choć się przejść! I oto idą... Wisła płynie obok. Idą wciąż, trzymając się za ręce, a nim ujdą za mostem kroków kilka, to zniknie czerwony obłok wieczoru, a później gwiazda zabłyśnie na niebie. Gdy zrobiło się granatowo, usiedli. W dole, przed nimi,ruchem pełzającego węża, wiła się rzeka, podobna do przeciągającej się, przebudzonej dziewczyny. Była noc i był księżyc, ot taki, jak tu teraz: blady, wiecznie srebrny, z głupim uśmiechem na gębie.

I od tego czasu Maniek zawsze pukał w okna sąsiadów i wołał: Helka, chodź się przejść! I szli nad Wisłę. Aż ojciec zabronił. Ojciec: wielki, olbrzymi chłop, silny, jak niegdyś sam Lampucer. Lampucer — ten siłacz nadwiślański, co, gdy huknął pięścią w cyferblat, to nie było chłopa, któryby się pod takim uderzeniem nie położył.

Ojciec ma wąsy i dwoje zwisających rąk, żylastych od pracy. Dawniej te ręce odpychały wiosłem, od brzegu Wisły bat i wydobywały z dna rzeki mokry, biały piach, piach — złotówki; teraz zaś muszą bezczynnie zwisać. Niema pracy. I ojciec nie wie, co z tymi rękami zrobić: czasem pragnie nimi bić, albo trzepać futrzane palta, a czasem — po kilku kieliszkach — pobiegłby do pierwszego spotkanego człowieka, objąłby temi rękami i ściskał, kochał...

Kilka kieliszków... Cóż one mogą zrobić z człowieka. Maniek pamięta, jak ostatnio, ojciec wrócił urznięty w sztok. Poznał go, gdy jeszcze był na podwórzu. Po kroku ciężkim i twardym.

Po chwili otworzyły się drzwi i ukazał się ojceic wielki, czerwony na twarzy, o złych zamglonych oczach.

— O, jesteś, cholero! — ryknął głośno.

Matka przestraszona zbliżyła się do Maćka.

— Twoja rzecz? Dajcie forsę, bo zarżnę was tu wszystkich.

W decydującej chwili matka odzyskała odwagę. Wybuchła: nie dam, słyszysz, nie dam. To Mańka pieniądze, nie moje. Tobie, draniu, na wódkę potrzeba, a on jest chory. Nie dam... to jego, on musi wyjechać na kolonje.

Ojciec nie słuchał. Zbliżył się wielki, wytrzeszczył oczy i nagle wielkie jego ręce spadły na twarz matki. „Nie dajesz, cholero, nie dajesz? Matka upadła. Maniek już nie mógł wytrzymać. Drżąc ze strachu i nienawiści, wyciągnął ukrytą w komodzie skarbonkę, wepchnął ojcu w rękę i krzyknął:

— Niech, tata, idzie...

Maniek słyszał, jak matka poprzez szloch szeptała: „Nie daj, to dla ciebie, chory jesteś".

Myśli Mańka wracają znowu do Helki, później zaś przed oczyma staje mu Maciek. Widzi go, jak wyciągając łeb do przodu, prężąc ciało, ciągnie zielony wóz, naładowany „z czubem" piachem. Maniek pomaga mu ciągnąć: pcha ztyłu zielone pudło, woła tak ciepło: Wiooo. wiooo — lub też przejeżdża ręką po sierści.

Raz się Maciek na niego rozłościł i poraz pierwszy, zaciągnąwszy go w jakąś spokojną uliczkę, bił batem po łbie, po nogach, po brzuchu, niezważał gdzie. A bił go nietylko za porwane lejce, a za to, że będzie musiał się z nim pożegnać, nazawsze pożegnać, bo on teraz pluje krwią, słyszysz Maćku? To było jego rozstanie z Maćkiem. Później, przychodził nieraz do stajni, otulony w stare palto ojca i wtedy płakał, a Maciek rżał.

— Teraz, gdy umrę, będzie nim jeździł Zdzicho — rozmyśla Maniek.

Zdzicho ma tak, jak ojciec, gruby kark i długie ręce. Te długie ręce będą później utrzymywały rodzinę.

I nagle Mańka ogarnia wzruszenie. Pragnąłby ująć teraz Zdzicha i całując, szepnąć mu do ucha, jak ma się z Maćkiem obchodzić. Lecz jest noc i Zdzicho leży daleko, a Maniek niema sił się podnieść. Maniek płacze: szlocha cicho i gryzie swymi białymi zębami białą poduszkę.

Pokój oddycha ciszą nocy. Znowu słychać zgrzyt otwierającej się bramy, robi się na chwilę dzień i Maniek widzi przez sekundę piękne, strzeliste nogi pani z pierwszego piętra. Nogi w jedwabnych pończochach. Jedwabne pończochy? Joanna — garbuska też miała jedwabne pończochy... Ze strzałkami — pamięta. O jedwabną pończochę również z Kiełbasińskim poszło. O pończochę, którą głupi Janek Cygan zwędził z okna Kiełbasińskiej. Oto najpierw Kiełbasa pobił się z Jankiem, później zaś stara Kiełbasińska z Cyganową, aż nakoniec stary Kiełbasa zaprzysiągł zemstę. Głupi Cygan zwędził jedną pończochę i co mógł właściwie z nią zrobić?

Stary Kiełbasa dotrzymał słowa. W sobotę po wypłacie wlazł do Kopcia na flachę i gdy się uchlał, poszedł lać starego Cygana. W bramie spotkał ga Maniek. Zaczepił:

— Ej, panie Kiełbasiński, gdzie to pan tak pędzi? Kiełbasiński, zataczając się: — Chodź synku, idziem bić Cygana. To złodziej, psia jego mać.

— Daj pan spokój, to ten mały szczeniak zrobił, Janek, a to jeszcze smarkacz.

Kiełbasiński tylko zamruczał pod nosem... Maciek dalej tłumaczył. Kiełbasa rozłościł się. Warknął coś i, przechodząc koło Mańka, pchnął go. Maniek upadł. To wystarczyło, aby i tak ledwo chodzący Maniek położył się do łóżka.

I oto teraz leży i patrzy na uśmiech księżyca. Możeby jeszcze pożył, gdyby nie pończocha i wódka?

Maniek stara się nie myśleć. Rozłożywszy się wygodnie nawznak, patrzy w niebo, bezgraniczne morze granatu.

Budynki zaszyte w mrok, tuląc się jedne do drugich, drzemią. Maniek stara się usnąć i lęka się, — czy aby nie nazawsze?

Z niedokręconego kranu monotonnie kapią krople wody. Maniek czuje, że coraz to trudniej mu nawet już łykać powietrze. W skroniach straszny szum, a serce coraz wolniej bije. Przymyka powieki. Powoli, wraz ze znikającym księżycem zasypia.

Jest cicho, przeraźliwie cicho, a lampka nad ubikacją mruga sennie. Świta.

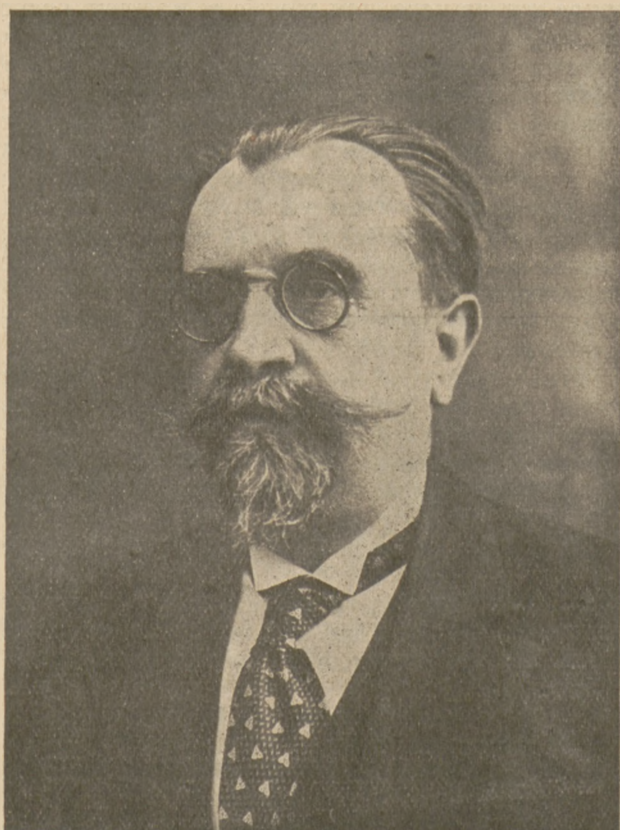
Ryszard Norman.

Ś. P. DR. STANISŁAW SKALSKI.

(1870 — 1937).

Z uczuciem głębokiego i serdecznego smutku piszemy słowa wspomnienia pośmiertnego o tym wielkich zasług działaczu społecznym, który całe swe pracowite i pełne poświęcenia życie oddał bez zastrzeżeń wielkiej sprawie dobra powszechnego.

Czy jako działacz rewolucyjny, czy jako społecznik, czy jako wysoki urzędnik państwowy — miał w postępowaniu swojem zawsze jeden tylko cel i jedną miarę: dobro społeczne, narodowe i państwowe.



Ś. p. Dr. Stanisław Skalski.

Ten, dużej skali moralnej, obywatel, wysoko niósł sztandar ideowości i nigdy mu się nie sprzeniewierzył.

Od początków swojej płodnej akcji społecznej stanął w czołowych szeregach abstynentów polskich, działających na terenie b. Kongresówki, a zwłaszcza Łodzi, gdzie prawie całe swe życie spędził. Z natury więc rzeczy i swych poglądów społecznych głęboko przejął się ka-

tastrofalnością skutków alkoholizmu wśród proletarjatu i wśród dzieci—prowadził też w tym zakresie specjalne badania.

Słowem, piórem, przykładem własnym, głębokiem przekonaniem i zapałem przez długie lata szerzył ideę absolutnej trzeźwości, a w działalności tej odznaczał się zawsze rozumnym umiarem i taktem, dążąc stale do oparcia swych słów i poczynań o niewzruszalne podstawy badań ściśle naukowych.

*

Ś. p. Dr. Stanisław Skalski brał bardzo czynny udział w Tow. „Przyszłość“, które rozwijało szeroką działalność w b. zaborze ros. od początku bieżącego stulecia do czasu wielkiej wojny.

W Polsce niepodległej jeden z pierwszych przystąpił do nowopowstałego Tow. „Trzeźwość“ i przez cały czas — do ostatnich miesięcy swego życia był wytrwałym, wiernym, intensywnym i zapalonym współtowarzyszem naszej pracy.

Cieszył się zawsze z każdego objawu żywotności naszej idei, z każdej nowej broszury czy książki, z każdego Kursu, Zjazdu, czy Kongresu, z każdego artykułu w prasie codziennej, świadczącego o zainteresowaniu sprawą, której sam był tak całkowicie i szlachetnie oddany. żywo go obchodziły losy naszej ustawy przeciwalkoholowej, przeżywał serdecznie dni jej tryumfu i upadku, bo jako lekarz-społecznik największego robotniczego miasta polskiego, rozumiał i odczuwał, jak mało kto w Polsce, *znaczenie* i *doniosłość choroby* alkoholizmu dla ustroju społecznego, tak osłabionego latami niewoli, wojny i licznych własnych niedomagań. To też stale kierował myśl ku możliwościom wynalezienia i stosowania *praktycznych* sposobów walki z alkoholizmem (jak np. wzmożenie spożycia cukru, mleka, owoców).

*

Z uczuciem rzewnem smutku i bólu żegnamy serdecznego Przyjaciela naszego, tak przedwcześnie zgasłego, a tyle w życiu utrudzonego i wiele, wiele zasłużonego dla swego kraju ukochanego.

Pozostaje o Nim niezatarta pamięć jasna, świetlana, pozostaje Jego zasługa rzetelna czynu społecznego i wysiłku ku podniesieniu ludzi na wyższy stopień poziomu etycznego.

Cześć Jego pamięci!

Jan Szymański.

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

Praca Dra Pawła Dauphin'a pod tyt.: „Alkoholizm, który nie wie nic o sobie“ [1]), jest faktycznie krótkim, rzeczowym, doskonale skondensowanym podręcznikiem alkohologji współczesnej, napisanym dla jaknajszerszej czytającej publiczności. Zawiera on spopularyzowaną wie-

---

[1]) Dr. Paul Dauphin: „L'alcoolisme qui s'ignore. Préface par le docteur M. Legrain, médecin en chef honoraire des Asiles de la Seine“. Avec 11 figures et 1 Tableau. Paris. Librairie J. B. Baillère et fils 19, rue Hautefeuille 1936. Str. 79.

dzę o tym strasznym wrogu ludzkości, wykazującą perfidną i podstępną moc tego, uświęconego tradycją, towarzysza najsmutniejszych i najradośniejszych chwil w życiu ludzkiem. Język i styl barwny, żywy, obrazowy, sprawia, że książeczka ta posiada duże znaczenie propagandowe i uświadamiające. Jasny wykład podstawowych wiadomości z dziedziny alkohologji, oraz położenie wielkiego nacisku na sprawę małych dawek alkoholu używanych, czy to codziennie, czy też w pewnych odstępach czasu, niewątpliwie zainteresuje każdego, kto pierwszy raz weźmie książkę z tego zakresu do ręki, a właśnie o takich nowicjuszów najwięcej nam powinno chodzić.

Dr. Dauphin podkreśla również psychologiczny wpływ na obecne pokolenie tak mocno zakorzenionego obyczaju picia towarzyskiego i rodzinnego. Twierdzi, że właśnie dlatego tak trudno jest walczyć z nałogiem, iż mamy tu do czynienia z czynnikami głęboko zakorzenionymi w psychice ludzkiej.

Według dra Dauphin'a, u kobiet zwłaszcza, występuje zjawisko nieuświadomionego alkoholizowania się, w postaci towarzyskiego spożywania wytwornych i słodkich alkoholi, nie podejrzewając nawet, jak one są szkodliwe dla zdrowia. Przed brutalnymi objawami upijania się, panie wzdrygają się i pijaństwo ma w nich zdecydowanego wroga — tem nie mniej narażają one siebie na ciężkie następstwa towarzyskiego, „niewinnego", słodkiego alkoholizowania się. W tej dziedzinie nawołuje autor do prowadzenia intensywnej propagandy uświadamiającej o zaczajonym podstępnie nieprzyjacielu.

Na podstawie wykresów i ankiet dr. Dauphin wykazuje wpływ alkoholu na pracę mięśniową i umysłową, podkreśla niebezpieczeństwo alkoholu w sporcie, w ruchu komunikacyjnym i t. d. To są wszystko zagadnienia omawiane i oświetlane dostatecznie szczegółowo, więc nie zatrzymuję się nad niemi bliżej.

Pragnę natomiast zaznaczyć, że dr. Dauphin widzi, jako jeden ze sposobów skutecznej walki z alkoholizmem, tworzenie wszędzie wesołych i jasnych miejsc wypoczynkowych i świetlic dla ludzi, mających ciężkie warunki materjalne. Jednoczesne podnoszenie ogólnej stopy życiowej, poprawienie warunków mieszkaniowych i wogóle socjalnych, może mieć kolosalny wpływ na odciążenie barów i wszelakich miejsc rozrywkowych, połączonych z alkoholem. Z drugiej jednak strony mamy ogromny odłam społeczeństwa, ulegający alkoholowemu podnieceniu bynajmniej nie z nędzy i upośledzenia społecznego, lecz właśnie spowodu tradycyjnego nawyku, oraz zupełnego lekceważenia głosów propagandy przeciwalkoholowej, lub też nieuświadomienia dostatecznego w dziedzinie tak niesłychanie doniosłej i decydującej w życiu. Z jakiego rodzaju pracą wychowawczą należy do nich podchodzić? Dr. Dauphin powiada, że im to zwłaszcza należy wykazywać, jakie ogromne plusy mają do zdobycia przy swych już i tak dodatnich warunkach życia, jeżeli całkowicie wyrzekną się używania alkoholu — że ich ułatwiona egzystencja dopiero wtedy się przekształci w pełnię rozkwitu potęgi psychicznej i moralnej i zdrowia fizycznego, jeśli zerwą bezwzględnie ze zwyczajem systematycznie działającym ku szkodzie jednostki i ogółu.

„*L'Etoile Bleue*" zamieszcza często ciekawe sprawozdania z podróży objazdowych po całej Francji p. Bastide'a. Z ramienia Ligi Na-

rodowej do zwalczania alkoholizmu, p. Bastide, jeżdżąc, jako prelegent, dociera do najbardziej oddalonych zakątków swego kraju, gromadzi na swych odczytach miejscową ludność i mówi jej o klęsce alkoholizmu, niszczącej w sposób zatrważający wszystkich bez wyjątku, bo starzy, młodzi i nawet dzieci piją. Ostatnio, w Sorbonie, w lutym b. r. p. Bastide miał wykład specjalny, reasumujący wrażenia z dwuletniej jego pracy. Powiada, że rozpoczynając ją, spotkał się ze sceptycyzmem nawet u ludzi oddanych celom Ligi, którzy byli zdania, że tego rodzaju wędrówka po kraju tak zrośniętym z obyczajem picia, jak Francja, nie da rezultatów. Pamiętajmy, że Francja ma 50.000 destylacyj, 500.000 sprzedawców, 3 miljony producentów i 4 miljony obywateli zainteresowanych pośrednio, lub bezpośrednio w produkcji i sprzedaży aukoholu.

Ludność Francji wydaje 25 miljardów na alkohol, i spożywa go rocznie 20 litrów na głowę.

Otóż p. Bastide stwierdza, że nigdzie się nie spotkał z przyjęciem wydrwiwającem, czy niechętnem. Konstatuje, że najważniejszym momentem psychologicznym, a decydującym w ustosunkowaniu się ludności do prelegenta, jest pozyskanie przez niego sympatji przy pomocy serdecznego podejścia do słuchaczy, które jednocześnie przekonałoby ich o zupełnej jego bezinteresowności w głoszeniu hasła trzeźwości. Nawet w Rouen, które stoi na czele spożycia alkoholu, nawet w Pontarlier, państwie destylacji, ani w Finistère, mającem najwyższą statystykę kar za pijaństwo, nie spotkał się ani z jednym odruchem nieprzyjaznym, ani z jednym okrzykiem wrogim.

Wszędzie podczas zebrań, pogadanek, przedstawień przeciwalkoholowych — publiczność najbardziej różnorodna ujawniała nie tylko zainteresowanie tematem, ale i przejęcie się zupełnie nieznanem sobie oświetleniem zjawiska tak codziennego, tak powszechnego, jak picie, i to picie w takiej ilości, jak to ma miejsce właśnie we Francji. P. Bastide wygłosił 314 odczytów podczas dwu lat swej pracy w różnorodnych środowiskach, jak: szkoły, wojsko, no i szeroka publiczność. Około 100.000 osób wysłuchało tych wykładów. Jeden z właścicieli barów oświadczył, że on i jego koledzy po fachu z zadowoleniem zaprzestaliby podawać gościom napój, powodujący ich ogłupienie i gniew, co jest powodem tylu awantur i bójek, tylko musieliby mieć coś, co zastępowałoby alkohol. Z radością utrzymywaliby zakłady spokojne, w których nie byłoby potrzeby interwenjować podczas bójek i krwawych zwad. (Podobną myśl wypowiedział jeden ze znanych polskich fabrykantów wódek — po gruntownem zwiedzeniu wystawy przeciwalkoholowej).

W szkołach p. Bastide stosuje metodę opowiadania rozmaitych powiastek w których alkohol gra taką, czy inną rolę, oraz wyświetla na ekranie barwne obrazy, odnoszące się do treści podawanej, co bardzo żywo działa na wyobraźnię dziecinną, i ułatwia propagandę wśród małoletnich słuchaczy.

„L'Etoile Bleue“ przypomina, że, podczas wprowadzania czterdziesto ośmio-godzinnego tygodnia pracy, Albert Thomas, znajdujący się wówczas w pełni swej społecznej działalności, podczas licznych przemówień, jako przewodniczący Narodowego Komitetu Wczasów mówił, że tradycyjni wrogowie świata robotniczego oświadczyli, iż czas wolny niewątpliwie zostanie zużytkowany przez robotników na pijaństwo, i że

liczba przestępstw wszelakiego rodzaju wzrośnie. A jednak statystyka ujawniła wręcz odmienne dane: z chwilą zaprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy spożycie alkoholu zaczęło się zmniejszać. Robotnicy, mając wolny czas, poczęli go wykorzystywać przez wszelakiego rodzaju nie tylko rozrywki, ale i zajęcia kształcące i rozwijające, ciesząc się, że mogą im się swobodnie oddawać w godzinach po pracy zarobkowej. Te same objawy mogłyby być wysuwane i obecnie, przy wprowadzeniu czterdziestogodzinnego tygodnia pracy, lecz to, co się robi w tym względzie pod przewodnictwem p. Léo Lagrange'a powinno sceptykom zamknąć usta. Francja świetnie organizuje zarówno urlopy robotnicze, jak i czas wolny po pracy, zapewniając możność korzystania ze sportów w zależności od pór roku. Stwarza przeróżne ośrodki kulturalne, w których świat pracujący może według swych upodobań kształcić się, a także otwiera teatry, koncerty jaknajszerszym masom. Czytając o działalności Państwowego Podsekretarjatu dla Wczasów i Sportu, nie tylko zresztą w „L'Etoile Bleue", ale i w innych tygodnikach i czasopismach francuskich, podziwiam, ile może zdziałać jednostka obdarzona takim entuzjazmem dla idei, jaką jest wice-minister tego podsekretarjatu Léo Lagrange. Tworzy on całą sieć wycieczek sportowych podczas urlopów, które bynajmniej nie mają na celu przygotowanie przyszłych rekordzistów, lecz wykorzystanie sportu jako czynnika zdrowotnego, w połączeniu go ze zbliżeniem do przyrody, z poznaniem własnego kraju, ze zwiedzaniem prowincjonalnych osobliwości, muzeów, bibljotek i t. d. Człowiek ten tak układa program wczasów, że nie ma miejsca na marnowanie czasu po barach i restauracjach. Wolny czas ludzi pracy jest zorganizowany na podstawie dobrowolnego wyboru należenia do tej, czy innej grupy zajęć, czy to kulturalnych, czy ręcznych, czy sportowych, co daje możność każdemu rozwijania jego wrodzonych upodobań i potrzeb. To nie jest coś narzuconego z góry, lecz dokonanie samodzielnego wyboru wśród wielu sposobów spędzania wolnego czasu, co stwarza atmosferę radosnego realizowania uzdolnień i skłonności.

Nic więc dziwnego, że Liga przeciwalkoholowa francuska współpracuje z poczynaniami Organizacji Wczasów i Rozrywek, widząc w niej swego istotnego sprzymierzeńca. Koło tej roboty niema tylko wiele hałasu, niema efektownej reklamy, ale praca jest i to praca zakrojona na wielką skalę.

„L'Etoile Bleue" podaje cenne przemówienie podsekretarza stanu w Ministerjum Oświaty, pani Brunschwig, która przewodniczyła na zebraniu sekcji młodzieżowej Ligi Narodowej do walki z alkoholizmem, urządzonem w Sorbonie.

Oświadczyła ona, że jest przyjaciółką Ligi, podzielającą jej ideję i że stoi w szeregu tych kobiet, które, pracując dla dobra społecznego, są głęboko przekonane, iż różne choroby i nędza są haraczem płaconym alkoholowi. W Ministerjum Oświaty Liga Przeciwalkoholowa cieszy się zrozumieniem wysiłków, jakie ponosi w celu otrzeźwienia społeczeństwa, a szeregi nauczycieli i nauczycielek są oddanymi współpracownikami Ligi. Pani Brunschwig podkreśliła, że z racji powierzonych sobie prac, zetknęła się obecnie z tragicznymi ofiarami alkoholizmu wśród dzieci. Szkolnictwo specjalne dla dzieci upośledzonych wykazuje namacalnie ile ofiar niewinnych ma złamane życie osobiste i staje się ciężarem spo-

łeczeństwa spowodu alkoholizmu rodziców. W Rouen głęboko poruszył prelegentkę widok łóżeczek w szkole ze śpiącemi dziećmi, które spędziły w domu bezsenne noce, wywołane awanturami ojców - pijaków. Pani Brunschwig niedawno w Komisji Senackiej wypowiedziała przekonanie, że ciężkim jest trud naprawiania tego, co złego zdziałał alkohol, a przecież akcja przeciwalkoholowa mogłaby zapobiec ofiarom i krajowi oszczędzić nieprodukcyjnych wydatków na opiekę społeczną. Czyż nie byłoby lepiej unikać zła, niż płacić później za konsekwencje z niego wynikłe? Podczas ostatniego swego zebrania, odbytego w lutym 1937 r., inspektorki fabryczne i opiekunki społeczne, poruszone wzrastającą nędzą, wywoływaną przez alkoholizm i bezrobocie, oraz destrukcyjnym wpływem kabaretów, paraliżujących ich spokojną pracę, co jest groźne zwłaszcza w momencie wprowadzenia 40-godzinnego tygodnia pracy, zwróciły się do Ministra Zdrowia Publicznego z ostrzeżeniem o grożącej degeneracji fizycznej, moralnej i umysłowej, oraz podały następujące punkty:

Ograniczenie do 40 godzin tygodniowo czasu otwarcia miejsc sprzedaży napojów alkoholowych, lub całkowite ich zamknięcie w soboty;

Ograniczenie miejsc wyszynku przez niedawanie nowych pozwoleń;

Zabronienie otwierania zakładów alkoholowych w pobliżu fabryk i osiedli robotniczych;

Przestrzeganie prawa o sprzedaży napojów alkoholowych i ograniczenie pijaństwa publicznego;

Zorganizowanie walki z nędzą mieszkaniową i akcji budowlanej na rzecz małych domków z ogródkami;

Zapoczątkowanie żywszej współpracy z organizacjami zwalczającemi alkoholizm;

Ofiarowują swą pomoc w przeprowadzaniu ankiet i statystyk oraz badań w terenie;

Po podaniu do wiadomości zebrania powyższego jednomyślnego głosu pań inspektorek fabrycznych, pani Brunschwig zaznaczyła, że p. Minister podziela ideje te i odczytała jego list, jako odpowiedź skierowaną do przewodniczącego tego stowarzyszenia, w którym p. Minister stwierdza, że solidaryzuje się z postulatami mu nadesłanymi, ale musi w sprawie zamykania szynków w soboty wypowiedzieć się negatywnie, gdyż przeprowadzenie tego rodzaju zakazu mogłoby się spotkać z tak silnym sprzeciwem całego społeczeństwa, że ucierpiałaby na tem słuszna sprawa walki z alkoholizmem. Zakaz natomiast otwierania nowych szynków jest całkowicie uzależniony od władz miejskich. Od czasu, jak p. Minister jest prezydentem miasta Suresnes, to jest od 1919 r. nie przybył tam ani jeden nowy wyszynk, mimo, że ludność wzrosła z 14.000 do 30.000 mieszkańców.

Opracowywany jest tekst prawa, zabraniającego powstawanie szynków w pobliżu fabryk i mieszkań robotniczych. Z ofiarowanej współpracy p. Minister skorzysta, gdy tylko zajdzie tego potrzeba.

W zakończeniu swego przemówienia pani Brunschwig wyraża głębokie przekonanie, że sprawa walki z alkoholizmem nie nabierze cech istotnego, głębokiego ruchu społecznego, zanim kobiety drogą głosowania do parlamentu nie wypowiedzą się stanowcza i bezapelacyjnie za

zniesieniem wielu ustaw, popierających pijaństwo. Rząd liczy się z parlamentem, a parlament z wyborcami. Pani Brunschwig zapewnia, że, służąc idei Ligi, służy się Francji zdrowej, kwitnącej, szczęśliwej, a w szeregach bojowników o takie wartości nigdy jej nie zabraknie.

Léo Lagrange wyraził przeświadczenie, że ideja organizacji wczasów, drogą propagandy sportów i obcowania z przyrodą przyczynić się musi do pomniejszenia alkoholizmu i przestępstw.

Tenże minister Zdrowia Publicznego p. Henryk Sellier, którego treść listu podałam wyżej, na posiedzeniu komisji budżetowej, stwierdził, iż Francja jest krajem o największej śmiertelności. ów opłakany stan jest wywołany bezczynnością władzy i opinji publicznej w sprawach, dotyczących higjeny społecznej. Francja jest również krajem, w którym przypada największe spożycie alkoholu na głowę mieszkańca. Ci zaś, którzy wszczynają najgłośniejszy alarm w tej niepokojącej (śmiertelności) sprawie i żądają ofiar budżetowych w celu zażegnania niebezpieczeństwa, są jednocześnie najbardziej nieustraszonymi obrońcami przywilejów fabrykantów wina, mimo, że smutne następstwa zarazy alkoholowej pomniejszają liczbę rekrutów.

Wiemy, że właśnie owe przywileje wywoływały protesty organizacyj przeciwalkoholowych, które obecnie pokładają wielkie nadzieje, łącznie z podanem oświadczeniem Ministra Zdrowia.

Wyniki Olimpjady w Berlinie napełniły niepokojem Francuzów i p. Barthe poświęciła odczyt swój zagadnieniu wychowania fizycznego. Dochodzi ona do przeświadczenia, że alkohol jest przyczyną upośledzenia sportowego młodzieży. Zwraca uwagę społeczeństwa, że podczas ćwiczeń i imprez sportowych, kolarskich, biegów i t. d., towarzyszą sportowcom auta, reklamujące wszelakiego rodzaju alkohole, jako doskonały środek odżywczy i wzmacniający. Niestety, towarzystwa przeciwalkoholowe nie mają dostatecznych środków finansowych, by puścić w ruch własne auta, reklamujące napoje bezalkoholowe i przestrzegające przed używaniem napojów fermentowanych. Prelegentka cytuje słowa profesora Letulle'a wypowiedziane na posiedzeniu Akademji Medycznej, że reklama alkoholu jest jedną z najbardziej kłamliwych reklam, jakie kiedykolwiek istniały.

„L'Etoile Bleue".

Spożycie piwa w Niemczech. Spożycie piwa wśród młodzieży niemieckiej uległo ogromnemu zmniejszeniu. Zanikł typ dawnego studenta-piwosza, który według słów Hitlera przestał być wzorem do naśladowania. Starsze pokolenie nie może zerwać całkowicie z uświęconym zwyczajem i popija piwo, ale młodzież patrzy na to krytycznie i zrywa z tradycją.

Owoc płynny w Niemczech. Produkcja owocu płynnego w Niemczech ogromnie się rozpowszechnia, gdyż dotychczasowi producenci napojów fermentowanych przekonali się, że mogą dostosować swoje urządzenia techniczne do wytwarzania napojów bezalkoholowych, skoro rośnie na nie zapotrzebowanie wśród społeczeństwa.

„Forschungen zur Alkoholfrage".

Prawo opcji lokalnej w Danji istnieje już od lat 30. Obecnie odbyło się w tym kraju ponowne głosowanie w tej sprawie. Na ogólną licz-

bę 967 głosowań, w 573 wypadkach zezwolenia odmówiono, a w 394 przyznano. Zawdzięczając głosowaniu ilość miejsc sprzedaży zmniejszyła się o jedną czwartą. Jedna siódma gmin w kraju jest zupełnie sucha, niema więc tam ani wyszynku, ani sprzedaży do domów; połowa gmin posiada prawo sprzedaży do domów, a niema prawa picia na miejscu. W jedenastu powiatach, gminy bez prawa wyszynku są w większości. Należy stwierdzić, że sam ruch w sprawie opcji lokalnej przyczynił się do zmniejszenia spożycia napojów alkoholowych i posiada ogromne znaczenie wychowawcze, polegające na wzmożonej akcji uświadamiania głosujących w sprawie przyczyn, dla których szynki należy zamykać.

W Finlandji. Minister do spraw społecznych rozdzielił subwencję rządową towarzystwom przeciwalkoholowym na rok 1937. Ogólna suma subwencji wynosi 3.112.000 mrk., czyli około 300.000 fr. czwajcarskich, a 1.500.000 fr. francuskich, dla kraju liczącego 4.000.000 mieszkańców. Towarzystwo Przyjaciół Abstynencji otrzymało 600.000 mrk.; socjaliści abstynenci 460.000 mrk.; nauczyciele abstynenci 300.000 mrk.; ucząca się młodzież 180.000 mrk.; Biuro Międzynarodowe do walki z alkoholizmem 43.000 mrk. Poza tem państwo wydatnie wspiera zakłady lecznicze dla alkoholików. Kontrabanda alkoholu w Finlandji, dochodząca za czasów prohibicji do zastraszających rozmiarów, obecnie znacznie się zmniejszyła, mimo, że liczba konfiskowanego czystego alkoholu przez władze wzrasta. Oto cyfry:

1932 r.:	384.191	litrów
1933 r.:	651.559	„
1934 r.:	101.114	„
1935 r.:	83.039	„
1936 r.:	103.705	„

Belgja jest widownią gwałtownych ataków na paragraf prawa alkoholowego, zabraniający sprzedaży napojów alkoholowych w kawiarniach i restauracjach. Ale prawo to ma również możnych obrońców, którzy, jak Królewska Akademja Medyczna np. jednomyślnie uchwaliła następującą rezolucję: Potwierdzając swe poprzednie deklaracje w sprawie prowadzenia energicznej walki z alkoholizmem, Akademja wyraża życzenie, aby pozwolenia na spożycie napojów alkoholowych w miejscach publicznych pod żadnym pozorem nie były nadawane;

wyraża również żal, że co pewien czas czynione są usiłowania, aby uzyskać od Parlamentu odwołanie prawa, mającego duże znaczenie moralne i zapewniającego rezultaty bardzo pomyślne;

wyraża nadzieję, że w przyszłości nikt nie będzie zmierzać do pozbawienia Państwa praw nad ochroną rasy przed czynnikami obniżającymi poziom fizyczny i moralny.

Kobiety abstynentki w Rio de Janeiro na Kongresie kobiet brazylijskich przyjmowały prezydenta Brazylji śniadaniem bez alkoholu. Prezydent Vargas oznajmił, że fakt ten jest mu obojętny, gdyż i tak nigdy wina nie używa.

Norwegja wprowadziła bezwzględny zakaz dla zawodowych szoferów spożywania alkoholu nie tylko podczas godzin pracy, ale i podczas 8 godzin poprzedzających jazdę. W wypadkach podejrzanych stosuje się analiza krwi.

Szwecja posiada 4 ministrów abstynentów na 12-stu ogólnej liczby.

Prezydent Finlandji Kyösti Kalljo oznajmił, iż jest szczęśliwym, mogąc oświadczyć, że był zawsze abstynentem i że młodzież abstynencka jest obroną kraju.

Premjer francuski Leon Blum jest abstynentem, ale organizacje przeciwalkoholowe mają mu do zarzucenia, że zachowuje milczenie w sprawach alkoholowych, nie chcąc się narazić przemożnej opinji przemysłu winnego

Australja szykuje się do zorganizowania Kongresu przeciwalkoholowego, pan-australijskiego

W Japonji zapadłe wioski, uchwalają rezolucje, by od 3 do 5 lat nie używać alkoholu i w ten sposób pomniejszyć kryzys ekonomiczny.

(Z biuletynów prasowych Biura Międz.).

Mussolini dziennikarzowi angielskiemu Webb Mill nadesłał obszerną relację, w której opowiada o swym trybie życia. „Moja djeta — pisze Mussolini — polega na tem, że spożywam prawie wyłącznie potrawy jarskie, oraz owoce. Uważam, że najbardziej jest dla organizmu szkodliwym alkohol. Tylko w wyjątkowych wypadkach, w czasie oficjalnych przyjęć piję nieznaczną ilość wina, nie tyle z samej potrzeby tego trunku, ile do dopełnienia pewnych etykietą przywiązanych form. Nigdy natomiast absolutnie nie piję likieru. Aby utrzymać zdrowe nerwy, rezygnuję też z silnej herbaty i czarnej kawy. Nie jestem wrogiem palenia papierosów, ja sam jednak od czasu ukończenia wojny światowej nie zapaliłem dotąd ani jednego papierosa, ani cygara. 30 do 40 minut dziennie poświęcam ćwiczeniom fizycznym. Uprawiam wszystkie prawie sporty. Pływam, chętnie uprawiam sport narciarski i niemal codziennie spędzam godzinę na jeździe konnej. W ostatnich czasach jestem również wielkim zwolennikiem sportów w dziedzinie techniki i sam z przyjemnością prowadzę auto, motocykl i samolot. Aby utrzymać zdrowie, poświęcam 7 do 8 godzin na dobę dla snu“.

„Chwila“, 9.III. 1937 r.

„*Ogródki dla dzieci*“, czyli szkoły dla najmłodszej dziatwy mogą również się stać terenem propagandy przeciwalkoholowej, jak nas poucza nauczycielka wiedeńska, Wiktorja Litschauer. Chodzi tu o wyzyskanie momentu psychologicznego, charakterystycznego dla dzieci, a mianowicie, lubią one opowiadać o tem, co się dzieje w domu. Łatwo już będzie naprowadzić dziecko na sprawę, jakich napoi samo używa, co piją rodzice i t. d. A dalej nauczycielka już sama zacznie opowiadać, jak bardzo ją martwią dzieci pijące piwo, lub wino, gdyż będą bardzo powolutku róść. Wiadomą jest rzeczą, że każde dziecko marzy o tem, by jaknajszybciej uróść, jaknajprędzej być dużym i tak się przejmują tem, co nauczycielka dalej na ten temat mówi, że przyrzekają jej nigdy nie brać do ust tych trunków. Rodzice opowiadają nauczycielce, że dzieciaki są wierne postanowieniu nie picia. Są to już te pierwsze ziarna abstynencji rzucane na grunt dziecinny, a więc z radością chłonący wszystko, co nań padnie. Jednocześnie zainteresowuje się tem zagadnieniem i rodziców, którym znów dzieci opowiadają wszystko, co im nauczycielka mówi w szkole. Dokonywa się za pośrednictwem dziatwy wciąganie

rodziców w krąg zagadnień walki z alkoholizmem, oraz propagandy napojów bezalkoholowych.

Lecznictwo alkoholików potrzebuje silnego poparcia ze strony rodziny chorego, a nawet oparcia się o nią w momencie, gdy wyleczony opuszcza zakad. Rodzina winna zrozumieć, że abstynencja bynajmniej nie jest reżimem, który po opuszczeniu zakładu nie wymaga już kontynuowania, lecz przeciwnie, musi obowiązywać do końca życia, i że to od surowego jej przestrzegania zależy utrzymanie się byłego alkoholika na powierzchni życia.

Vandervelde w przemówieniu swem przez radjo w Brukseli w grudniu 1936 r. powiedział, że z uporem i z najgłębszem przekonaniem służenia interesom kraju i klasy robotniczej będzie bronić zdobyczy osiągniętych w walce z alkoholizmem.

Alkohol w czekoladzie. W Szwajcarji zaczęła się rozpowszechniać czekolada z domieszką tak silną alkoholu, że Liga szwajcarskich kobiet abstynentek i dyrektorowie szwajcarskich zakładów leczniczych zwrócili się do wszystkich organizacji walczących z alkoholizmem z wezwaniem do zaprotestowania przeciwko temu, gdyż wystawiałoby to przedewszystkiem na poważne niebezpieczeństwo młodzież i dzieci. Producenci czekolady mają na względzie przedewszystkiem własny zysk — reklamują więc z niesłychaną gorliwością i pomysłowością nowy produkt. Przychodnie natomiast przeciwalkoholowe notowały już i dawniej wypadki alkoholizmu u kobiet który się rozpoczynał rzeczą tak niewinną, zdawałoby się na pozór, jak spożywanie migdałów smażonych w cukrze z alkoholem. Cóż więc będzie, jeżeli czekolada, którą tak młodzież lubi, zostanie nasycona alkoholem? Odezwa ta rzuca hasło uświadomienia całego społeczeństwa o grożącem niebezpieczeństwie, a jednocześnie ostrzega fabrykantów czekolady o skutkach tego rodzaju propagandy, a więc jeżeli nie chcą wywołać kryzysu ekonomicznego w przemyśle czekoladowym, niech natychmiast przerwą fabrykację trującej czekolady. Pragnienie osiągania coraz większych zysków spowodowało ów fatalny pomysł alkoholizowania czekolady — niechże fabrykanci zrozumieją, że może się on przemienić w broń przeciw nim samym.

„L'Abstinence".

H. N.-O. S.

XXI MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY W WARSZAWIE.

(12—17.IX. 1937).

Konieczność dokonania pewnych uzgodnień z Sekretarjatem Międzynarodowego Związku Przeciwalkoholowego w Lozannie — nie pozwala nam podać pełnego programu Kongresu. Możemy już obecnie zaznaczyć, że 6 dni trwania Kongresu będzie obficie wypełnione bogatą treścią licznych referatów.

Na posiedzeniach plenarnych wygłoszą referaty: Prof. Dr. Graf (Dortmund), wieloletni współpracownik słynnego Kraepelina, „Obecny stan naszych wiadomości o alkoholu i pracy", red. J. Szymański „O walce z alkoholizmem w Polsce", Prof. M. Rose (Wilno) „Wpływ alkoholu

na mózg", Dr. Dauphin, Dr. Fillion-Roux i Dr. Faisant (Francja) „Wino jako czynnik alkoholizmu", Prof. Dr. Vermeylen (Bruksela) „Alkohol i choroby psychiczne ze szczególnem uwzględnieniem piwa jako ich przyczyny". Miss Baker (Leominster), Prof. Gachot (Strasbourg) i Dr. Oettli (Lozanna) „Nowe metody nauczania alkohologji", ks. Pastor Carter (Londyn) „Czynniki psychologiczne w pracy nad młodzieżą", p. Arriens (Utrecht) „Jak pociągnąć młodzież do walki z alkoholizmem", Doc. Dr. G. Szulc (Dyrekt. P. Zakł. Higj. w Warszawie) „Alkohol i wychowanie fizyczne", Dr. E. Englund (Stockholm) „Wpływ zarządzeń fiskalnych na spożycie alkoholu", V. Karpio (Helsingfors) „Radjo i kino w walce za i przeciw alkoholowi", Dr. E. Cherrington (Waszyngton) „Współczesny stan walki z alkoholizmem w Stanach Zjednoczonych A. P.", Prof. Dr. Gantkowski (Poznań) „Względy społeczne i eugeniczne w walce z alkoholizmem" i Dr. R. Hercod (Lozanna).

Oprócz tego przewidziano szereg referatów w Sekcjach: Lekarskiej, Pedagogicznej i Ogólnej.

*

Poza wykładami plenarnymi — Kongres zajmie się specjalnie zbadaniem i omówieniem 3 grup zagadnień, stojących w ścisłym związku ze sprawą alkoholizmu: 1) wykorzystania wczasów robotniczych, 2) lecznictwa i opieki nad alkoholikami, 3) ruchu (komunikacji). — Zagajać dyskusję w tych zagadnieniach będą: Dr. G. Thélin (z Międzynarod. Biura Pracy w Genewie), Dr. Gabriel (Wiedeń), Prof. Gonser (Berlin), Dr. Zajączkowski (Świack), Dr. Neczaj-Hruzewicz (Gościejewo), C. Heath (Londyn) i Dr. Th. Dahlgren (Malmö).

*

Podczas Kongresu i w jego ramach odbędą się *Międzynarodowe Zjazdy Specjalne* z I Międzynarodowym Katolickim Zjazdem Przeciwalkoholowym na czele. Mają się odbyć podobne Zjazdy: protestantów, kolejarzy i inne.

Z Kongresem połączona będzie *Międzynarodowa Wystawa Przeciwalkoholowa.*

Kongres i Wystawa odbywać się będą w nowym gmachu „Audytorjów" Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

*

Wszelkich informacyj w sprawie Kongresu udziela Sekretarjat Polskiego Komitetu organizacyjnego, Warszawa, ul. Chocimska 24 — Państwowa Szkoła Higjeny.

ZAGADNIENIE ALKOHOLIZMU I WALKI Z NIM NA XV ZJEŹDZIE LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH WE LWOWIE.

W dniach 4—7 lipca b. r. odbędzie się XV Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie. Na Zjeździe tym czynna będzie specjalna Sekcja Przeciwalkoholowa, na gospodarza której został przez Komitet Organizacyjny Zjazdu powołany p. red. Jan Szymański.

Poniżej podajemy listę zgłoszonych referatów. (Ostateczny termin zgłaszania referatów i nadsyłania streszczeń upływa z dn. 10.V).

1) *Dr. Henryk Zajączkowski*, Dyrektor Państw. Zakładu Leczniczego Świack: temat zastrzeżony.
2) *Dr. Jarosław Neczaj -Hruzewicz*, Dyrektor Państw. Zakładu Leczniczego Gościejewo: „Ze statystyki alkoholizmu dzieci szkolnych w Polsce".
3) *Prof. Dr. Paweł Gantkowski* (Poznań): „Udział lekarzy w walce z alkoholizmem w świetle nauki i etyki lekarskiej".
4) *Dr. Jan Jaworski* (Garbatka k/ Radomia): „Praca lekarza w walce z alkoholizmem na wsi".
5) *Mikołaj Skiba* (Lwów): „Najnowsze dane statystyczne odnoszące się do alkoholizmu w Polsce".
6) *Dr. Mieczysława Brunowa* (Warszawa, Klinika Psychjatryczna Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, Dyrektor Prof. Jan Mazurkiewicz): „Zmiany w chronaksji przedsionkowej u królików, wywołane przez alkohol".
7) *Dr. Kazimierz Szczytt - Niemirowicz* (Warszawa, Klinika Psychjatr. U. J. P.): „Zmiany w chronaksji przedsionkowej u alkoholików, wywołane przez alkohol".
8) *Dr. Helena Renata Katzówna*, I Asystent Zakładu Psychjatrycznego w Chełmie: „Bezpośredni i pośredni wpływ alkoholu na ukształtowanie się psychiki dziecka".
9) *Dr. Aleksander Kuropatwiński* (Drohiczyn Poleski): „Czy alkohol może być źródłem ciepła dla organizmu ludzkiego".
10) *Dr. Juljan Vorbrodt* (Radom): „Zastosowania alkoholu w najnowszych technicznych zagadnieniach".
11) *Dr. Ignacy Fuhrman*, Dyrektor Zakładu Psychjatrycznego w Chełmie: „Narkomanje i ich leczenie zależnie od podłoża konstytucjonalnego".
12) *Dr. Witold Odrzywolski* (Warszawa): „Wypadki przy pracy i alkoholizm".
13) *Dr. Franciszek Ksawery Cieszyński* (Warszawa): „Lekarze wobec walki z alkoholizmem, a monopol spirytusowy".
14) *Dr. Bogumił Krippendorf*, Naczelnik Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu: „Zadania lekarza powiatowego w walce z alkoholizmem".
15) *Dr. Władysław Stryjeński*, Dyrektor Zakładu Psychjatrycznego w Kobierzynie: „Zagadnienie ubezwłasnowolnienia alkoholików chronicznych".
16) *Dr. Stanisław Leszkiewicz* (Kowel): temat zastrzeżony.
17) *Dr. Tadeusz Markiewicz* (Poznań): „O wynikach badań eksperymentalnych nad wpływem alkoholu na potomstwo u zwierząt". (Klinika Psychjatryczna Uniwersytetu Poznańskiego — Dyrektor Prof. Borowiecki).
18) *Dr. Juljan Dretler*, Zakład Psychjatryczny w Kobierzynie: „Zmiany morfologiczne w mózgach białych myszek pochodzących z alkoholizowanych przodków". „Zmiany morfologiczne w mózgach białych myszek z rodziców alkoholizowanych, padłych samoistnie".
19) *Dr. K. Głogowski*, Dyrektor Śląskiego Zakładu dla Głuchoniemych w Lublińcu: „O eteryźmie na Śląsku".
20) *Dr. Oskar Bielawski*, Dyrektor Zakładu Psychjatrycznego w Kościanie: „O wytyczne walki z alkoholizmem w Polsce".
21) *Red. Jan Szymański* (Warszawa): „XXI Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Warszawie 12—17.IX. 1937 r." (Komunikat).
22) *Doc. Dr. Janina Hurynowiczówna* i *Dr. Janina Krassowska* (Wilno): „Niektóre zmiany we krwi i jej surowicy u alkoholików".
23) *Płk. Dr. Jan Nelken* (Warszawa): „Zagadnienia leczenia alkoholizmu w świetle prądów sterylizacyjnych".

24) *Inż. Artur Lejwa* i *Jan Antosiewicz* (Państwowy Zakład Higjeny w Warszawie, Dyrektor Doc. Dr. G. Szulc): „Wpływ alkoholu na przebieg rui u gryzoniów".
25) *Inż. Artur Lejwa i Jan Antosiewicz* (P. Z. H. Warszawa, Dyrektor Doc. Dr. G. Szulc): „Wpływ doświadczalnego podawania alkoholu na podstawową przemianę materji".
26) *Doc. Dr. Gustaw Szulc* i *Mgr. Hanna Dzierdziejewska* (P. Z. H. Warszawa): „Przemiana alkoholu we krwi w spoczynku i przy pracy u zwierząt doświadczalnych".
27) *Prof. Dr. Adam Wodziczko* (Poznań): „Euteniczne i eugeniczne metody walki z alkoholizmem".
28) *Dr. Stanisław Stypułkowski*, Kierownik I Miejskiego Ośrodka Zdrowia w Warszawie: „Upośledzenie umysłowe wśród dzieci alkoholików".
29) *Prof. Dr. Adam Wrzosek* (Poznań): „Jak zwalczano alkoholizm w Polsce w dawnych czasach".
30) *Dr. Czesław Jan Warchałowski* (Kraków): „Badania doświadczalne nad właściwościami morfologicznemi, lepkością, czasem krzepnięcia i opadania krwi, oraz nad ciśnieniem tentniczem krwi królików w zatruciu alkoholem etylowym". (Z Kliniki Neurologiczno-psychjatrycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego — Dyrektor Prof. Dr. Stefan K. Pieńkowski).

Z KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW.

Koło Lekarzy Abstynentów rozsyła następującą odezwę:

Do Kolegów Lekarzy!

We wrześniu r. b. odbędzie się w Warszawie XXI Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy. W związku z Kongresem Koło Lekarzy Abstynentów pragnie ustalić liczbę lekarzy w Polsce: 1) nie używających alkoholu, 2) szerzących ideę abstynencji w swej pracy zawodowej i społeczno-wychowawczej.

Lekarze Abstynenci proszeni są o nadesłanie odpowiedzi na powyższe pytania, oraz podanie imienia, nazwiska, roku ukończenia studjów, specjalności, ewentualnie stanowiska służbowego.

Informacje te będą służyły wyłącznie jako materjał statystyczny i nie obowiązują do przystąpienia do Koła Lekarzy Abstynentów, jak również do wzięcia udziału w XXI Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym.

Przystąpienie do Koła Lekarzy Abstynentów musi być dodatkowo zaznaczone w odpowiedzi.

Ze względu na to, że wyniki ankiety będą reprezentowały lekarzy polskich na terenie międzynarodowym — Koledzy Abstynenci gorąco są proszeni o wzięcie w niej licznego udziału i rychłego nadsyłania odpowiedzi do Koła Lekarzy Abstynentów — Warszawa, ul. Oboźna 4, m. 28. Telef. 511 - 07.

Sekretarz
Dr. Stanisław Deresz.

Wiceprezes
Dr. Stanisław Stypułkowski.

PROGRAM

ZJAZDU DELEGATÓW KÓŁ POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ", LEKARZY ABSTYNENTÓW, ORAZ DELEGATÓW POKREWNYCH ORGANIZACYJ

W DN. 2 i 3 MAJA 1937 R. W WARSZAWIE, W LOKALU TOW. „TRZEŹWOŚĆ", UL. OBOŻNA 4, M. 28. TEL. 511-07.

NIEDZIELA, DN. 2.V.

g. 10. Nabożeństwo w kościele Św. Krzyża przed wielkim ołtarzem. Słowo od ołtarza wypowie ks. Prałat WINCENTY BALUL.

g. 11. Otwarcie Zjazdu. Zagaja p. KAZIMIERZ KALINOWSKI, Prezes Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość". Wybór Prezydjum Zjazdu. Powitania. Referaty:
PROF. DR. MIECZYSŁAW MICHAŁOWICZ, Senator R. P.: „Kilka uwag historycznych o dziejach alkoholizmu w Polsce".
PROF. DR. STEFAN K. PIEŃKOWSKI, Dyrektor Kliniki Psychjatrycznej Uniw. Jagiel. w Krakowie: „Dziecko, jako zjawisko społeczne".
RED. JANINA STRZELECKA: „Alkoholizm konwencjonalny".

g. 14. Przerwa — wspólny obiad.

g. 15.30. Odczytanie protokółu poprzedniego Zjazdu Delegatów. Sprawozdanie Zarządu Głównego i Komisji Rewizyjnej. Dyskusja.

g. 17.30. Referaty:
PROF. DR. ZYGMUNT HRYNIEWICZ, (Wilno): „Rola nauczyciela polskiego w walce z alkoholizacją wsi i młodzieży szkolnej, oraz robotniczej". Dyskusja.
DR. ALEKSANDER KUROPATWIŃSKI, (Drohiczyn Poleski): „O przyczynach małej popularności idei abstynenckiej pośród lekarzy polskich, zwłaszcza pośród lekarzy młodszego pokolenia" Dyskusja.

g. 19.30. Zebranie towarzyskie. W części artystycznej wezmą łaskawie udział: p. ZOFJA ROMEY (śpiew), MARJA BALCERKIEWICZÓWNA (deklamacja). Członkowie Świetlicy Tow. „Trzeźwość" odegrają „Sąd nad pijakiem".

PONIEDZIAŁEK, DN. 3.V.

g. 10. Sprawozdania Kół Tow. „Trzeźwość" — dyskusja.
Sprawozdania Organizacyj pokrewnych.
Dyskusja nad artykułami p. DR. OSKARA BIELAWSKIEGO, p. Senatora IŻYCKIEGO i p. LETNIOWSKIEGO, podanymi w Nr. 4—5 „Trzeźwości" o metodach walki z alkoholizmem w Polsce — zagai p. Red. JAN SZYMAŃSKI.
Komunikat o XXI Międzynarod. Kongresie Przeciwalk. w Warszawie. Poda p. Red. J. SZYMAŃSKI.

g. 14. Przerwa — wspólny obiad.

g. 15.30. Referaty:
KSIĄDZ MGR. JERZY BEKIER (Kalisz): „Jak praktycznie realizować wśród młodego pokolenia ideę trzeźwości". Dyskusja.
KSIĄDZ PROF. DR. JAN CIEMNIEWSKI (Lwów): „Jak uleczyć chorą duszę dzisiejszego człowieka". Dyskusja.
MIKOŁAJ SKIBA (Lwów): „Demoralizujący przykład". Dyskusja.
Wybory uzupełniające do Władz Towarzystwa, uchwalenie rezolucyj Zjazdu. Zamknięcie Zjazdu.

g. 20. Teatr.

ABSTYNENCKA LIGA KOLEJOWCóW.

W dniu 27.XI. 1936 r. została przyjęta na audjencji przez Pana Ministra Komunikacji Juljana Ulrycha delegacja Zarządu Głównego A. L. K.

W skład delegacji wchodzili: Prezes Zarządu Głównego A. L. K. p. Dr. Juljusz Notz, Wiceprezesi pp.: Inż. Józef Szadziewicz i Adam Rauch, oraz Sekretarz Generalny Stefan Ziemlański. P. Dr. Notz przedłożył Panu Ministrowi memorjał przedstawiający potrzeby A. L. K., przyczem jednocześnie złożył sprawozdanie z działalności A. L. K. na terenie P. K. P., oraz o sposobie działania naszej Organizacji. W sprawozdaniu swojem p. Dr. Notz prosił Pana Ministra o poparcie moralne i materjalne A. L. K.

Pan Minister zainteresował się rozwojem A. L. K. i jej programem działania. nadmieniając, że w miarę możności uwzględni przedłożone postulaty A. L. K.

* * *

Zarząd Główny Rodziny Kolejowej kooptował członków Zarządu Głównego A. L. K., a mianowicie: p. Dr. Juljusza Notza do Zarządu Gł. R. K. Sekcji Ochrony Zdrowia i p. Inż. Józefa Szadziewicza do Sekcji Kulturalno-Oświatowej.

* * *

W dniu 18 listopada 1936 r. odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Makowie Podhalańskim.

Odsłonięcia dokonał Pan Minister Komunikacji Juljan Ulrych. Na zaproszenie Zarządu Głównego Rodziny Kolejowej wziął udział w uroczystości imieniem Zarządu Głównego A.L.K. Wiceprezes p. Adam Rauch.

* * *

XI KURS ALKOHOLOGJI W PAŃSTWOWEJ SZKOLE HIGJENY W WARSZAWIE (od 30.XI. do 5.XII. 1936 r.).

W kursie wzięło udział 28 członków A.L.K. z różnych Okręgów D.O.K.P. a to:
Okręg Kraków (Koła Kraków i Bielsko) członków 2,
„ Katowice (Koła Tarnowskie Góry i Katowice) członków 4,
„ Lwów (Koła Lwów i Lwów Miasto) członków 4,
„ Radom (Koła Lublin, Kowel, Skarżyska, Równe) członków 5,
„ Wilno (Koła Wilno i Łapy) członków 2,
„ Warszawa członków 11.

Państwowa Szkoła Higjeny udzieliła dla słuchaczy kursu, naszych członków, 12 stypendjów.

W uroczystości zamknięcia kursu przemawiał imieniem Zarządu Głównego A L. K. Wiceprezes Zarządu Głównego p. Inż. Józef Szadziewicz.

* * *

P r o p a g a n d a.

WAGON WYSTAWA A. L. K.

W czasie od 1.X. 1936 do 31.XI. 1936 r. wagon wystawa objechał Okręgi D. O. K. P. w Krakowie, Lwowie i Katowicach.

W Okręgu krakowskim wagon zatrzymał się na jedno lub kilkudniowy postój w stacjach: Rzeszów, Tarnów, Nowy Sącz, żywiec, Bielsko, Dziedzice, Oświęcim, Trzebinia, Kraków, Kraków - Płaszów.



Ogólna frekwencja zwiedzających wynosiła około 6.700 osób.

W Okręgu lwowskim wagon objechał następujące stacje: Lwów-Łyczaków, Lwów - Podzamcze, Lwów - Persenkówka (Plac Targów Wschodnich), Lwów - Dworzec towarowy, Lewandówka (tor dawnego lotniska).

Ogólna frekwencja zwiedzających wynosiła około 10.750 osób.

W Okręgu katowickim wagon objechał następujące stacje: Nowy Bieruń, Mysłowice, Szopienice, Tarnowskie Góry, Chorzów, Hajduki, Chebzie, Knurów, Rybnik, Wodzisław, Pawłowice, Orzesze, Mikołów, Katowice, Ligota, Tychy, Pszczyna, Katowice.

Ogólna frekwencja zwiedzających wynosiła około 5.000 osób.

Prelegent Zarządu Głównego A. L. K. p. Mikołaj Skiba wygłaszał w wagonie prelekcje i wykłady z przeźroczami. Prelekcje te cieszyły się dużem powodzeniem i zainteresowaniem publiczności zwiedzającej wagon.

W związku z objazdem wagonu wystawy Ministerjum Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wydało następujący **Okólnik**:

MINISTERJUM
Wyznań Religijnych i Oświecenia
Publicznego.

Warszawa
Dnia 19 października 1936 r.
Nr. II w—6399/36.
Wystawa przeciwalkoholowa
Abstynenckiej Ligi Kolejowców

Abstynencka Liga Kolejowców przy poparciu Ministerjum Komunikacji uruchamia Wagon-wystawę przeciwalkoholową, wyposażoną w preparaty, wykresy, rysunki, obrazy i inne pomoce naukowe, zaznajamiające z zagadnieniem alkoholizmu.

Ministerjum, przychylając się do prośby Ligi, zezwala na organizowanie w czasie postoju Wagonu-wystawy na dworcu kolejowym danej miejscowości zbiorowych wycieczek młodzieży klasy 6 i 7 szkół powszechnych, oraz szkół ogólnokształcących i zawodowych pod kierunkiem nauczycieli w godzinach pozalekcyjnych.

Podsekretarz Stanu
Jerzy Ferek Błeszyński.

* * *

KURS ALKOHOLOGJI WE LWOWIE
(18.I. — 23.I. 1937 r.).

W czasie od 18 do 23 stycznia odbył się we Lwowie Kurs Alkohologji zorganizowany przez Zarząd Główny A. L. K. dla pracowników kolejowych i ludności cywilnej. Poparcia na zorganizowanie kursu alkohologji we Lwowie udzieliło Ministerjum Opieki Społecznej, zaś protektorat nad kursem raczyli przyjąć: P. Otton Grosser, Dyrektor Kolei Państw. we Lwowie i P. Dr. Stanisław Ostrowski Prezydent miasta Lwowa. Wykłady odbywały się w sali Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie. Jako prelegenci wzięli udział wybitni fachowcy ze Lwowa i Warszawy, a mianowicie: Dr. Juljusz Notz, Dyr. Bronisław Duchowicz, Dr. Piotr Kubikowski, Dr. Tadeusz Kielanowski, Prym. Dr. Aleksander Domaszewicz, Ks. Dr. Jan Ciemniewski, Dr. Juljan



Opłatek w Kole Lwów A. L. K. dn. 24.I. 1937.

Kochanowski, Dr. Henryk Mierzecki, Ks. Kan. Władysław Matus, Prof. Michał Orzęcki, Red. Jan Szymański, Mikołaj Skiba i Prok. Alojzy Gürtler.

Kurs zgromadził 95 słucaczek i słuchaczy:

Nauczycieli szkół powszechnych i średnich	5
Studentów różnych wydziałów	13
Kolejarzy	48
Różne zawody	13
Księża Rz.-kat.	2
Urzędników Państwowych	3
Policji Państwowej	2
Oficerów	5
Sędzia	1
Lekarzy	3

W uroczystości zamknięcia kursu wzięli: p. Red. Jan Szymański, jako przedstawiciel Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej, p. Dyrektor Bronisław Duchowicz, Ks. Dr. Jan Ciemniewski i liczni goście.

Przemawiali pp.: Dr. Juljusz Notz, Red. Jan Szymański, Ks. Dr. Jan Ciemniewski, Emil Koch i Antoni Wudkiewicz.

W związku z kursem Alkohologji we Lwowie zostały wydane przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Lwowskiego, oraz Pana Dyrektora O. K. P. następujące Okólniki:

* * *

Lwów, dnia 2 stycznia 1937 r.

Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych
we Lwowie
Biuro Personalne
Nr. P. l. c. 29/141/936.
I kurs Alkohologji Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

OKÓLNIK Nr. 755

do wszystkich Wydziałów i Biur, Oddziałów oraz jednostek wykonawczych na terenie Lwowa.

W czasie od 18 do 23 stycznia 1937 r. odbędzie się I Kurs alkohologji, zorganizowany przez Zarząd Główny Abstynenckiej Ligi Kolejowców dla pracowników kolejowych i ich rodzin, oraz szerokiego ogółu mieszkańców miasta Lwowa.

Wykłady odbywać się będą codziennie od godz. 17—21 w sali wykładowej gmachu Miejskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie przy ul. Hetmańskiej 20.

Z uwagi na doniosłe znaczenie dla przyszłości Państwa i Narodu głoszonej wśród pracowników idei wstrzemięźliwości i trzeźwości, polecam pp. Naczelnikom zainteresować podległych pracowników hasłami Ligi i zachęcić ich, aby w miarę możności służbowych wzięli udział w Kursie.

(—) *Grosser*,
Dyrektor Kolei Państwowych.

* * *



Opłatek w Kole Lwów A. L. K. 24.I. 37 od lew.: ks. prof. Wł. Smereka, Dr. Józef Polakowski, ks. kanonik Wł. Witkowski, red. J. Szymański, Józef Curyk.

KURATORJUM
Okręgu Szkolnego Lwowskiego
we Lwowie.
Dnia 11 stycznia 1937 r.
Nr. 0-209/37.
Sprawa: Kurs p. t. „Alkoholizm i jego zwalczanie".

Kuratorjum zawiadamia, że Abstynencka Liga Kolejowców organizuje przy poparciu Ministerjum Opieki Społecznej Departamentu Służby Zdrowia Kurs p. t. „Alkoholizm i jego zwalczanie".

Kurs odbędzie się we Lwowie w dniach od 18—23 stycznia 1937 r. Program kursu obejmuje zagadnienia alkoholizmu z punktu widzenia lekarsko-społecznego, podkreślając wpływ nałogu na poziom moralny i etyczny jednostki, na obniżenie jej sprawności fizycznej, oraz wartości społecznej i zawodowej.

Udział w kursie jest bezpłatny.

Wykłady odbywać się będą codziennie w godzinach od 17—21 w sali gmachu Miejskiego Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie, ul. Hetmańska 20.

Wszelkich wyjaśnień, dotyczących kursu udziela Sekretarjat w dniach od 16—18 stycznia w godz. od 17—19 w gmachu Muzeum (telefon 230-60), dokąd też należy składać zgłoszenia uczestnictwa w Kursie.

Ze względu na aktualność i ważność sprawy zwalczania alkoholizmu jako klęski społecznej, Kuratorjum O. S. Lwów podaje powyższe do wiadomości celem poinformowania nauczycielstwa o kursie i umożliwienia wzięcia w nim udziału, co jest zresztą ułatwione przez to, że prelekcje będą się odbywały wieczorem, w godzinach pozasłużbowych.

Za Naczelnika Wydziału
(—) *Dr. J. Pisch*
Wizytator Higjeny Szkolnej.

* * *

Z MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU KOLEJARZY PRZECIWNIKÓW ALKOHOLU.

(tłumaczenie z szwajcarskiego dwutygodnika Fortschritt).

Z Łotwy donoszą. Centralny Zarząd Łotewskiego Związku Kolejarzy (jednolita organizacja) donosi, że w łonie Związku tego powstała Sekcja Przeciwników Alkoholu.

Przewodniczącym i kierownikiem Sekcji jest p. Dr. O. Bergmann, a współpracownikami są: Pp. Inż. A. Sieverts. Łotewski Związek Kolejarzy pragnie, aby Sekcja ta przeciwników alkoholu była członkiem Międzynarodowego Związku Kolejarzy Abstynentów.

Równocześnie Związek ten nadesłał składkę za rok 1936. Łotewskiej Grupie Krajowej składamy serdeczne życzenia. Oficjalne przyjęcie do Międzynarodowego Związku nastąpi na Kongresie w Sztokholmie 7 i 8 lipca 1937 r.

Za Zw. Międzynarodowy
(—) *K. Weber.*

* * *

Na posiedzeniu Zarządu w Paryżu dnia 18.X. 1936 r. postanowiono zwołać następny Kongres do Sztokholmu na dzień 7 i 8 lipca 1937 r. Dnia 7 lipca przed po-



Postój wagonu-wystawy A. L. K. na rampie przy ul. Żółkiewskiej we Lwowie.

łudniem otwarcie i powitanie Zjazdu, dnia 8 lipca przedpołudniem zebranie delegatów, a wieczorem zebranie propagandowe z wykładami. Kongres ten poprzedzi Walne Zebranie Szwedzkich Abstynentów Kolejarzy w Norrköping dnia 4 i 5 lipca 1937 r. Jest również przewidziane, że uczestnicy Kongresu będą mogli dnia 6 lipca przyjechać okrętem z Norrköping do Sztokholmu. Co do jazdy na Kongres do Sztokholmu będą ułożone dwa programy jazdy na 8 i 14 dni (ewentualnie na 3 tygodnie). Program 14-sto-dniowy obejmuje czas od 27 czerwca ewentualnie 26 czerwca do 11 lipca z wycieczką do Norwegji (do Hardanger- lub Sognefjordów aż do Bergen) — zaś program 8-mio-dniowy obejmuje czas od 3—11 lipca 1937 r.

Bliższe dane będą później ogłoszone. Radzimy wszystkim, którzy chcą brać udział w Kongresie, by się na ten czas postarali o urlopy.

Nr. 4/37.

* * *

Komunikat.

Koło Lwów odbyło w sobotę dnia 16 stycznia b. r. XII Zwyczajne Walne Zebranie Członków Koła. Walne Zebranie przyjęło sprawozdanie ustępującego Zarządu Koła, wyrażając podziękowanie poszczególnym członkom Zarządu za pracę, która w miarę rozwoju Koła absorbuje coraz więcej czasu i energji i wymaga całkowitego oddania i poświęcenia.

Nowoobrany Zarząd Koła w osobach: Adam Rauch — prezes, Stanisław Zduńczyk — wiceprezes, Marjan Stańko — sekretarz, Władysław Filip — zastępca sekretarza, Stanisław Bargiel — skarbnik, Jan Moczurad — zastępca skarbnika, Ludwik Bańkowski — gospodarz, Justyn Friedel, Tadeusz Chwalbiński, Ludwik Błahut — członkowie Zarządu, oraz Wiktor Szyndelas, Jerzy Richter i Stanisław Kluz — Komisja Rewizyjna — poza prowadzeniem normalnej pracy dążyć będzie do powiększenia bibljoteki Koła — (koniecznego ze względu na duży wzrost czytelników i brak w tej dzielnicy Lwowa innych większych bibljotek), oraz przystąpi do rozpoczęcia wstępnych prac zmierzających do realizacji budowy „Abstynenckiego Domu Kolejarzy", zaprojektowanego przed laty.

Na Walnem Zebraniu prezes Zarządu Głównego p. Dr. Juljusz Notz wręczył prezesowi Koła p. Adamowi Rauchowi dyplom członka honorowego Abstynenckiej Ligi Kolejowców — nadany mu jednomyślną uchwałą Walnego Zjazdu Delegatów Okręgowych i Kół A. L. K. w dniu 22 maja 1936 r. we Lwowie, za dziesięcioletnią bezinteresowną i pełną poświęcenia pracę w A. L. K.

Walnemu Zebraniu przewodniczył sędziwy abstynent p. Justyn Friedel.

W dniach od 18 do 23 stycznia b. r. członkowie Koła brali udział w kursie alkohologji urządzonym staraniem Zarządu Głównego A. L. K. Kilkudziesiąt członków Koła, nie mogących z różnych przyczyn uczestniczyć w kursach alkohologji, urządzanych corocznie w Warszawie — miało jedyną okazję pogłębienia swoich wiadomości w zakresie alkohologji.

Łącząc się z ogólną akcją pomocy zimowej dla najbiedniejszych — urządziło Koło w niedzielę dnia 24 stycznia b. r. „Gwiazdkę" dla sierot i dzieci bezrobotnych. Obdarowano 43 dzieci, wydając 8 płaszczy, 28 par bucików i pończoch wełnianych i 7 ubranek. Dla obdarowanej dziatwy urządzono herbatkę. Dzieci obdarowano także słodyczami.

„Gwiazdkę" zaszczycili swą obecnością: pp.: Red. Jan Szymański, jako przedstawiciel Ministerjum Opieki Społecznej, Dr. Józef Polakowski, jako przedstawiciel p. Dyrektora Kolei Państw. we Lwowie, Ksiądz Kanonik Władysław Witkowski, Ks.

prof. Władysław Smereka, Dyr. A. Schimanek, Józef Curyk, jako przedstawiciel Zarządu Okręgowego Rodziny Kolejowej i inni.

Do dziatwy przemawiali Ks. Kanonik Władysław Witkowski i prezes Koła p. Adam Rauch, który zapewnił dzieci, że jeśli zajdzie potrzeba, to jak od lat dziesięciu Koło A. L. K. zawsze przyjdzie im z pomocą i zabiegać będzie o to, aby przyszłą „Gwiazdkę“ urządziły wspólnie wsystkiez organizacje społeczne Lewandówki — co umożliwi przyjście z pomocą znacznie większej ilości biednych dzieci.

Pobyt na „Gwiazdce“ uprzyjemniła dzieciom orkiestra harcerska złożona z synów kolejarzy.

„Gwiazdkę“ zakończył Opłatek członków Koła.

W uroczystości tej raczyli wziąć także udział goście obecni na „Gwiazdce“.

Opłatek zgromadził około sześćdziesiąt członkiń i członków Koła.

W sobotę w dniu 30 stycznia b. r. urządziło Koło w swej świetlicy wieczornicę abstynencką.

Sekretarz: (—) *Marjan Stańko.* Prezes (—) *Adam Rauch.*

* * *

Z RUMUŃSKIEGO ZWIĄZKU KOLEJARZY ABSTYNENTÓW.

Nowy Dyrektor Generalny Rumuńskich Kolei Państwowych, jest abstynentem.

Prezes naszej grupy Rumuńskiej (Asiociata Coferi stilor Abstinenti Alcool diu Romania), inspektor Barbulesku w Czerniowcach, uwiadamia nas, że generalny inspektor p. Inż. Macowei został zamianowany generalnym dyrektorem rumuńskich Kolei Państwowych, na miejsce p. Merenza, który został przeniesiony w stan spoczynku.

Fama poprzedza, że nowy generalny dyrektor jest nie tylko bardzo wybitną jednostką naukową i nadzwyczajną siłą w służbie kolejowej, ale i wielkim zwolennikiem ruchu abstynenckiego wśród kolejarzy, a nawet sam jest zdecydowanym abstynentem.

Nie dziwimy się przeto, że nasi rumuńscy Koledzy bardzo się z tej nominacji cieszą i przywiązują do tej nominacji bardzo wielkie nadzieje.

Zasyłamy bardzo serdeczne gratulacje.

(—) *K. Weber.*

* * *

Z ŻYCIA OKRĘGÓW I KÓŁ ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

OKRĘG KATOWICKI.

Koło Tarnowskie Góry. W dniu 3.II. b. r. odbyło się w Tarnowskich Górach Zebranie Członków A. L. K. Koła w Tarnowskich Górach. Zebraniu przewodniczył wiceprezes Zarządu Koła p. Mrzygłód. Jako goście wzięli udział w Zebraniu Ks. Wikary Wyciślik i p. Feliks Woźniaczka sekretarz Okręgowy K. S. M. M. w Tarnowskich Górach. Członkowie Koła Pp. Ulfik i Rymer wygłosili referaty p. t. „XI Kurs Alkohologji“ i „Ideał nowoczesnego Polaka“. Referaty spotkały się z dużem zainteresowaniem obecnych. Ks. Wikary Wyciślik — kapelan harcerzy — w serdecznych słowach podniósł dużą wartość ruchu A. L. K. na terenie Tarnowskich Gór, poczem scharakteryzował skutki pijaństwa. P. Woźniczka imieniem Kierownictwa Okr. K. S. M. M. wyraził uznanie Zarządowi Koła A. L. K., podkreślając, że Kierownictwo K. S. M. M. pragnie współpracować z A. L. K. Oświadczenie to przyjęto hucznemi oklaskami.

OKRĘG KRAKOWSKI.

Koło Kraków. Na terenie Krakowa działa z upoważnienia Zarządu Głównego A. L. K. p. Józef Sierpina st. kancelista Wydziału Mechanicznego D. O. K. P. w Krakowie. P. Sierpina przystąpi wkrótce do założenia Koła A. L. K. w Krakowie, które z braku kierownictwa zamarło. P. Sierpina jest łącznikiem między członkami pozostającymi w różnych miejscowościach Okręgu Krakowskiego.

Koło Bielsko. W dniu 31.I. 1937 r. Koło odbyło doroczne Walne Zgromadzenie Członków Koła, na którem dokonano wyboru nowego Zarządu Koła z prezesem p. Robertem Królem na czele.

Najważniejszą potrzebą Koła jest lokal, bez którego Koło ma utrudnioną pracę organizacyjną.

OKRĘG RADOMSKI.

Koło Dęblin. Koło współpracuje z K. P. W. i R. K. Ostatnio Zarząd Koła uzyskał możność bezpłatnego korzystania ze świetlicy Koła R. K. w Dęblinie i w związku z tym zakupił szafę i inne sprzęty celem urządzenia świetlicy.

Koło Kowel. Koło współpracuje z miejscowem Kołem Twe „Trzeźwość". Brak lokalu utrudnia pracę Zarządu Koła i zgromadzanie się członków.

Koło Równe. W dniu 8.XII. 1936 r. nastąpiło otwarcie świetlicy Koła A. L. K.. W uroczystości otwarcia wzięli udział członkowie i ich rodziny. Przemówienia wygłosili Pp. Ksawery Nawracki, prezes Koła i p. Elżbieta Sokołowa, która wygłosiła krótki referat o zgubnych skutkach nadużywania alkoholu.

Koło Skarżyska. Zarząd Koła odbył posiedzenia, na których omawiano program pracy organizacyjnej na najbliższą przyszłość.

Koło Kielce. Koło współpracuje z R. K. Koło nie posiada funduszów ani własnej świetlicy, co niezwykle utrudnia rozwój orgnaizacji.

OKRĘG WILNO.

Zarząd Okręgowy wykazuje ostatnio dużą aktywność organizacyjną. Jedynie brak środków hamuje rozwój organizacji na terenie wileńskiego Okręgu.

Koło Łapy. Koło pracuje nieprzerwanie dla rozwoju organizacji. Ostatnio przy Kole powstało Koło Młodzieży Harcerskiej w Łapach. O Kole tem jeszcze napiszemy w najbliższym numerze miesięcznika.

OKRĘG WARSZAWA.

Koło wykazuje ostatnio wzmożoną aktywność organizacyjną. Zarząd Koła rozwinął szeroką propagandę na rzecz A. L. K. W ciągu ostatnich 4 miesięcy Koło zyskało około 100 nowych członków. Dzięki tej akcji w Okęgu Warszawskim powstały nowe Koła A. L. K.: Miłosna, Szymanów, Wołomin, Rembertów, Skierniewice i Łuków. W trakcie założenia są dalsze Koła.

Za Zarząd Główny:

Sekretarz Generalny	Prezes
(—) *Stefan Ziemlański.*	(—) *Dr. Juljusz Notz.*

PRZEGLĄD PRASY.

W Dzienniku Urzędowym Kuratorjum Okr. Szk. Krakowskiego w części nieurzędowej ukazał się pod wyżej podanym tytułem doniosły artykuł p. W. Gałeckiego, Naczelnika Wydziału w tymże Kuratorjum; ze względu na niezmierną doniosłość tematu podajemy artykuł p. Gałeckiego w całości:

MŁODZIEŻ W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

„Obniżenie kultury towarzyskiej i obyczajowej wśród młodzieży staje się zastraszające. Kto obserwuje uczniów i uczennice w ich wzajemnem obcowaniu koleżeńskiem, kto słyszy, jakich zwrotów używają w rozmowach, lub widzi, jak zachowują się w miejscach publicznych: na ulicy, w parkach, w wagonach kolejowych, na wystawach, wycieczkach i t. p. — ten nabiera smutnego przeświadczenia o tryumfie bezprzykładnego niekiedy chamstwa, a w każdym razie rażącej brutalności, które kulturalnie dziesiątkują szeregi naszej młodzieży. Gdybyż to jednak chodziło tylko o formę towarzyskiego obcowania! Tej formie bardzo często odpowiada istotna treść, ujawniająca się w obniżeniu kultury obyczajowej. Do grzechów, niestety, drobnych wypadnie już zaliczyć wałęsanie się po ulicach niekiedy do późna w noc, przebywanie na dworcach lub w parkach w godzinach pracy szkolnej, tłumne nawiedzanie ordynarnych teatrzyków rewjowych, czy przyglądanie się nieodpowiednim programom kinowym, skoro dyrektorzy szkół jakże często nie mogą sobie poradzić z nagminnie ujawniającą się w szkole plagą kradzieży, skoro tajemnicą Poliszynela jest fakt, że zarówno chłopcy, jak dziewczęta przedwcześnie żyją pełnią życia płciowego, ponosząc wszelkie i, niestety, smutne tego zjawiska konsekwencje, skoro od czasu do czasu — a dość często — sumienie publiczne wstrząsa jakiś niezwykły, a potworny w swej treści wypadek, którego bohaterem jest chłopiec, czy dziewczyna z ławy szkolnej. Sumienie publiczne szybko jednak wraca do równowagi. uspokojone przeświadczeniem o wyjątkowości zdarzenia. A przecież okłamywać się nie należy. Dzieje się źle. Periculum in mora!

Więcej w tem niewątpliwie winy domu, niż szkoły, więcej ujemnego wpływu środowiska pozaszkolnego, poprostu ma się tu do czynienia z odbiciem cech powojennego społeczeństwa i jego nagminnych niedomagań. Dzieci nie biorą tego z siebie ale z bliższego, lub dalszego otoczniea, z przykładów życia, z książek, które czytają — a do bolączek w tej dziedzinie policzyć wypadnie — mówiąc nawiasem — i tę, że „młodzież i szkoła" stają się modni w literaturze i że do naświetlania czy rozstrzygania problematów młodzieżowo-pedagogicznych zabierają się ludzie nie zawsze i nie zupełnie do tego powołani, którzy wnajlepszym razie ostrzem krytyki czy ironji druzgocą, nic wzamian nie budując, a w gorszych wypadkach poprostu gonią za tanią sensacją. A jaka jest „dworność" i jaka „kultura słowa", niektórych poczytnych, zwłaszcza wśród młodzieży, elaboratów literackich — o tem opowiadać nie trzeba. Soczyste lekcje chamstwa i brutalności — znamy je wszyscy.

Trzeba dzwonić na alarm. W imię przyszłości narodu i państwa trzeba od narzekania, konstatowania, analizowania, czy poprostu przymykania oczu przejść do czynu. Najwyższy czas. I czynu w tej dziedzinie spodziewać się należy przedewszystkiem od szkoły, która jest powołana nie tylko do wychowywania ludzi zdrowych i uczciwych, ale także do pozytywnego wpływania na środowisko, które obok szkoły młodzież wychowuje.

Szkoła winna się odwołać do współpracy i pomocy społeczeństwa, wezwać go do współdziałania, do zwrócenia się frontem ku młodzieży i jej obyczajności. W szczu-

pl:ejszym zakresie wypadnie to zrobić na terenie jednego zakładu przez *stałe i systematyczne uświadamianie rodziców i opiekunów* o grzechach młodzieży i o zasadach, jakie winny być w nią wpajane, przez uporczywe aż w końcu skuteczne przekonywanie, że szkoła sama bez domu nic tu nie poradzi i że dom w pierwszym rzędzie może i powinien oddziaływać na uczniów w kierunku podnoszenia ich ogłady towarzyskiej i tępienia objawów złej obyczajności. Ale także musi dawać odpowiedni przykład: w imię dobra i zdrowia przyszłego pokolenia musi baczyć na siebie.

Na tym szczupłym zakresie nie trzeba jednak poprzestawać. Od rodziców i opiekunów, zainteresowanych bezpośrednio, trzeba przejść do szerszych kręgów społeczeństwa, aby mobilizować je do walki ze złem. W każdej miejscowości od grupy dyrektorów, czy nauczycieli szkół winna wyjść inicjatywa założenia *Towarzystwa Opieki nad młodzieżą*. Celem takiego Towarzystwa będzie istotne roztaczanie opieki nad uczniami i uczennicami szkół, względnie wogóle nad nieletniemi, aby uchronić ich od wpływów szkodliwych i tępić wśród nich objawy chamstwa czy zepsucia. Towarzystwo powinno posiadać swój statut, przez władze zatwierdzony, i zatroszczyć się o ścisły kontakt z władzami administracyjnemi i szkolnemi w celu wzywania tych władz do pomocy, gdy tego zachodzi potrzeba. Członków musi mieć Towarzystwo jak najwięcej, a wszyscy, zapisujący się do Towarzystwa, powinni być świadomi, że na członka spada obowiązek czynnego reagowania we wszystkich wypadkach dostrzeżonych niewłaściwości. Młodzież musi odczuwać, że zwrócone są na nią oczy społeczeństwa i że chamstwo, brutalność, czy inna niewłaściwość w zachowaniu, spotka się natychmiast z należną odprawą, że uchodzić bezkarnie nie będzie, że reagować może i powinien każdy obywatel, nie tylko zwierzchnik szkoły, czy członek rodziny. Legitymacja członka Towarzystwa opieki nad młodzieżą, powinna sprowadzić magiczny skutek natychmiastowego posłuszeństwa ze strony młodzieży, a w razie potrzeby współdziałanie ze strony organów bezpieczeństwa, czy jakichkolwiek czynników kontrolnych. Członek Towarzystwa reaguje w stosunku do kas teatralnych, czy kinowych, gdy dostrzega, że sprzedają one bilety na przedstawienia dla młodzieży niedozwolone, członek Towarzystwa może zażądać usunięcia z miejsca publicznego dziewczyny, czy chłopca, gdy to miejsce jest dla nich niestosowne, a wylegitymować młodzież, gdy zachowuje się niewłaściwie, członek Towarzystwa ma prawo pociągać do odpowiedzialności osoby, które świadomie lub nieświadomie demoralizują nieletnich. Gdy członków Towarzystwa będzie naprawdę wielu, opieka i kontrola nad młodzieżą wzmoże się znakomicie, a społeczeństwo będzie miało poczucie dobrze spełnionego obowiązku wychowawczego.

Obok zadań kontrolnych Towarzystwa opieki nad młodzieżą mogą wykonywać szereg czynności pozytywnych, zmierzających do zaspokojenia zarówno duchowego, jak i materjalnych potrzeb uczniów i uczennic. Towarzystwa mogą zakładać i utrzymywać bursy, prowadzić bibljoteki i czytelnie dla młodzieży, organizować specjalne przedstawienia teatralne, koncerty, odczyty, pokazy filmowe, mogą nawet posiadać swoje własne kina, urządzać, czy ułatwiać urządzanie wycieczek i t. p. — oczywista wszystko i zawsze w ścisłym kontakcie z zarządami szkół. Towarzystwa opieki nad młodzieżą podejmują również propagandową akcję wśród szerszych warstw społecznych pod hasłem „dbaj o zdrowie moralne przyszłego pokolenia!"

Tak pojęte zrzeszenia społeczne mogą oddać nieocenione usługi sprawie, mogą i powinny przełamać bierność i obojętność społeczeństwa, w szkole w jej pracy wychowawczej mogą przyjść z pomocą nader wydatną. Im większe jest miasto, im bardziej młodzież wymyka się w ludnem środowisku z pod opieki i kontroli, tem bar-

dziej istnienie takiego Towarzystwa w danej miejscowości staje się niezbędne. W naszym Okręgu szkolnym należy oczekiwać, że w pierwszym rzędzie Kraków, Częstochowa, Radom, Kielce, Zagłębie Dąbrowskie, Tarnów, Biała wyłonią z pośród siebie pomienione Towarzystwa i staną się z kolei zachętą dla miejscowości pomniejszych; należy oczekiwać, że w każdym z tych ośrodków znajdą się wrażliwi na dobro młodzieży, ambitni i utalentowani działacze społeczni, którzy podejmą inicjatywę sfer pedagogicznych, takie Towarzystwo założą i wyprowadzą je na szerokie wody. Zadaniem Dyrekcji, czy Rad Pedagogicznych byłoby wyszukanie takich ludzi i spożytkowanie ich dla sprawy. Niech szkoły w danej miejscowości porozumieją się między sobą i rozpoczną wspólną akcję. Nie należy zwlekać.

Wciągnięcie szerokich warstw społecznych do pracy nad młodzieżą nie zwalnia szkoły od trudu wyrabiania w swych wychowankach obyczajności i ogłady towarzyskiej. Zadanie to w pierwszym rzędzie należy do niej.

Przedewszystkiem trzeba młodzieży powiedzieć wyraźnie, co jej wolno, a czego nie wolno, — jasno sformułować swoje względem niej wymagania, aby oprzeć na nich zarówno plan wychowawczego oddziaływania, jak i należytą egzekutywę. Trzeba stworzyć podstawowe prawo szkolne. Do tego celu służyć będzie *regulamin dla młodzieży*, zawierający zasady jej zachowania się, a opracowany dla jednej szkoły, względnie dla grupy szkół w danej miejscowości. Regulamin taki musi być utrzymany w tonie kategorycznym, ale pozytywnym, powinien zawierać jak najmniej zakazów, a jak najwięcej wskazań właściwego postępowania. Nie może być nazbyt długi, aby mógł być zapamiętany. Raz ogłoszony, musi być święcie wykonywany.

Podstawy regulaminu, jak i wogóle zasady urabiania w młodzieży ogłady towarzyskiej i obyczajności oparte być muszą *o ideał pełni kulturalnego człowieka*, o pojęcie „dżentelmena" w najszerszym tego słowa znaczeniu, u którego forma odpowiada treści, a treść zbudowana jest na prawach etyki i piękna. Należy młodzieży przy każdej sposobności ten ideał stawiać przed oczyma, wskazując w życiu, w nauce, w literaturze czy w historji przykłady wysokiego poczucia godności osobistej, prawdomówności, dyskrecji, taktu, wzoru rycerskości względem kobiety, o której mniemanie winno być oparte na uczuciowo-etycznych podstawach stosunku chłopca do jego własnej matki, czy siostry, gdy — podobnie — stosunek dziewczyny do mężczyzny, należy kształtować na bezinteresownie głębokiem podłożu stosunku do brata, czy ojca. Obok tych przykładów niezaprzeczalnie przykładem najwymowniejszym i najmocniej działającym będzie *przykład samego dyrektora, czy przełożonej, nauczyciela czy nauczycielki*. Wygląd zewnętrzny przełożonych, ich mowa i postępowanie, ich stosunek do młodzieży i ludzi winny być nacechowane wysokim poziomem obyczajowej i towarzyskiej kultury, aby mogły uchodzić za wzór godny naśladowania. Jest to zagadnienie tak ważne, że na dobrą sprawę nauczyciele-abnegaci, brutale, czy nawet tylko lekceważący pewne formy towarzyskiego postępowania nie powinni mieć dostępu do młodzieży.

Stawiając wysoko przed oczami ideał pełni człowieka kulturalnego, szkoła musi zdecydowanie i systematycznie *tępić wszelkie objawy niechlujstwa, chamstwa, czy zepsucia obyczajów*, ośmieszając je, piętnując, czy wymierzając za nie kary. I nigdy w tej dziedzinie przy obecnym stanie rzeczy nie można być dostatecznie gorliwym. Trzeba to robić wytrwale, na każdym kroku, przy każdej sposobności.

Opierając oddziaływanie wychowawcze na przyjętych dziś zasadach samowychowywania się uczniów i uczennic, postaramy się wytworzyć wśród młodzieży, w jej zrzeszeniach, organizacjach, czy grupach naturalnych, jakiemi są klasy, czynnik *opinji publicznej*, opinji zdrowej i mocnej, której będzie się musiał podporządkować

każdy członek społeczności szkolnej. Ta opinja publiczna klasy, samorządu, hufca szkolnego, czy drużyny harcerskiej będzie lepiej stała na straży obyczajności i ogłady towarzyskiej młodzieży, niż może to uczynić zwierzchność szkolna, będzie dla tej zwierzchności walną pomocą i najmocniejszą rękojmią powodzenia sprawy. Trzeba jednak dopomóc do jej wytworzenia się, a to przez usunięcie w cień czynników destrukcyjnych i ujemnych, a wysunięcie na czoło młodzieży jednostek najbardziej etycznych, najbardziej twórczych i kulturalnych, i wspomaganie ich w uzyskiwaniu należytego wpływu na otoczenie. Trzeba to — oczywiście — robić umiejętnie i delikatnie, aby młodzież nie sądziła, że dzieje się to za sprawą zwierzchności szkolnej.

Pragnąc uchronić wychowanków przed destrukcyjnymi wpływami ulicy, czy środowiska, szkoła musi się starać o *wypełnienie młodzieży jej wolnego czasu i* danie *możności wyżycia się* w najrozmaitszych dziedzinach kulturalnych, zależnie od zainteresowań, czy dążeń jednostki. Do tego celu służyć będą rozumnie skonstruowane i żywą działalność rozwijające organizacje młodzieży, przeróżne koła i kółeczka, świetlice, zebrania dyskusyjne, pokazy, wycieczki i t. p. Bynajmniej nie należy lekceważyć zebrań towarzyskich, czy lekcji tańca, organizowanych w szkole i przez szkołę, młodzież bowiem bardzo wyraźnie i całkiem naturalnie pragnie się wyżywać i w tej dziedzinie, i jeśli szkoła odpowiedniej ku temu sposobności jej nie da, młodzież poszuka jej — mimo wszystkich zakazów — poza szkołą. Znaczenie specjalne w omawianym zagadnieniu mieć będzie koło o charakterze etycznym, w szczególności koło abstynenckie, rozpowszechnione bowiem wśród nieletnich używanie alkoholu najskuteczniej i najrychlej prowadzi do złego. W najrozmaitszych przejawach stosowany w szkole kult piękna jest również czynnikiem wagi pierwszorzędnej. Trzeba doprowadzić młodzież nie tylko do tego, aby rozróżniała dobro od zła, ale także i do tego, aby brzydziła się złych uczynków i unikała ich, bo są one jednocześnie brzydkie.

I na zakończenie jeszcze jedno. Nauczycielstwo na ogół bardzo niechętnie wgląda w życie pozaszkolne młodzieży i przeważnie powstrzymuje się od reagowania nawet na wyraźnie i jaskrawo ujemne przejawy obniżenia kultury i rozluźnienia obyczajów, zwłaszcza, gdy chodzi o uczniów, czy uczennice innych zakładów. Na usprawiedliwienie wysuwa się niechęć pedagoga do funkcji „policyjnych“ oraz argument, że „policyjna“ postawa nauczyciela podkopuje zaufanie, jakim go darzą uczniowie. Stanowisko takie nie wytrzymuje krytyki, a ci, co tak mówią czy postępują, nie są prawdziwymi przyjaciółmi młodzieży. Zaufanie u wychowanków bynajmniej nie pozyskuje się drogą pobłażliwości, czy przymykania oczu. W gruncie rzeczy młodzież takich zwierzchników nie ceni i nie szanuje. A czyż wolno nauczycielowi-wychowawcy nie uczynić wszystkiego, nawet rzeczy dla siebie przykrych, aby uchronić wychowanków przed niebezpieczeństwem? Czy chodzi tylko o niebezpieczeństwo fizyczne? Na moralne młodzież narażona jest częściej i dotkliwiej. To też niech mi wolno będzie zakończyć apelem do nauczycielstwa, aby wzięło do serca sprawę kultury i obyczajności naszej młodzieży, walkę ze złem postawić sobie na cel główny i zasadniczy, aby mocno w tej walce zrzeszyło się i weszło na tory stanowczości i wyraźnej egzekutywy, aby wciągało do współpracy społeczeństwo, a na czele swych programów wychowawczych wypisało hasło: „Brońmy młodzież przed chamstwem i zgnilizną moralną“.

Rozkładowy czynnik naszej epoki, czerwony upiór, dąży do pozyskania dusz młodzieży za wszelką cenę. Rzuca ponętne hasła walki z przesądami, z religją, rzekomą obłudą obyczajową i towarzyską. Brońmy naszych chłopców i nasze dziewczę-

ta, nie są oni bowiem ani źli, ani tem bardziej gorsi od nas, gdy byliśmy młodzi. Są jednak narażeni na większe od nas niebezpieczeństwo i mają przed oczyma gorsze przykłady. Brońmy ich! Brońmy przyszłości Polski!"

Włodzimierz Gałecki.

K R O N I K A.



P. W. Woytowicz-Grabińska i p. Prezes K. Kalinowski na plantach w Krakowie dn. 5.IV. 37 udają się na inaugurację Kursu Alkohologji w Uniwers. Jagiellońskim.

KURS ALKOHOLOGJI W KRAKOWIE od 5 do 18.IV. b. r. udał się znakomicie. Brak miejsca zmusza nas do odłożenia obszerniejszego sprawozdania do następnego numeru.

TOW. „MENS" w WILNIE rozwija niezwykle intensywną działalność, dzięki pełnemu poświęcenia i umiejętności organizacyjnej kierownictwu: Prezesa Zarządu p. *Prof. Dr. Zygmunta Hryniewicza*, oraz całego Zarządu z p.p. *Dr. Konstancją Kulejewską*, *Dr. Juljuszem Genzelem*, *Dr. Stefanem Gnoińskim* na czele. Niedawno urządzony II Kurs Alkohologji wypadł znakomicie. Obszerne sprawozdanie z całokształtu

niezmiernie skutecznej działalności Tow. „Mens“ podamy w następnym numerze „Trzeźwości“.

Wilno. Akademickie Koło Polskiej Macierzy Szkolnej rozwija szeroką akcję przeciwalkoholową. Napiszemy o niej obszernie w następnym numerze.

Święciany. Z inicjatywy p. Adama Kokoszko, a przy życzliwem poparciu starosty, p. Dworaka, prowadzona jest planowa akcja walki z alkoholizmem — m. in. odbył się 5-dniowy Kurs Alkohologji i Wystawa Przeciwalkoholowa. — O Święcianach więcej — w następnym numerze.

VIVANT SEQUENTES! Jeden z przyjaciół naszego pisma donosi nam, że dowódca pułku ułanów, mającego postój w najbliższem mieście powiatowem, jest zupełnym abstynentem.

Bezimiennemu sprzymierzeńcowi naszemu składamy wyrazy uznania i dziękujemy gorąco za poparcie przykładem naszych dotychczasowych wysiłków.

SĄDY W WALCE Z NARKOMANJAMI. Sąd Grodzki w Rybniku w wyroku o przemyt kokainy daje bardzo ciekawe uzasadnienie, które zasługuje na powtórzenie:

„Przy wymiarze kary, jako okoliczność obciążającą przyjęto w odniesieniu do wszystkich oskarżonych charakter przestępstwa i skutki handlu kokainą, który jest pasożytowaniem na cudzych namiętnościach i to kosztem degeneracji poszczególnych jednostek i społeczeństwa“.

Wyrokiem tym 3 oskarżonych skazano na 6 miesięcy więzienia każdego, przywódcę szajki na 7 miesięcy. Uprzednio był on już 7 razy karany za podobne przestępstwa.

RADOM. Walne Zebranie członków Koła Tow. „Trzeźwość“ odbyło się w Radomiu w sali Stow. Robotników Chrześcijańskich przy ulicy Trawnej Nr. 3 w dniu 11-go kwietnia 1937 r. o godz. 17-ej celem dokonania wyboru nowego Zarządu Koła Tow. „Trzeźwość“ w Radomiu. Obecnych na sali było przeszło 100 osób członków i sympatyków. Zebranie zagaił p. *dr. Juljusz Vorbrodt*, który wygłosił przemówienie o szkodliwości alkoholu i konieczności ożywienia Koła, poczem wezwał zebranych nienależących jeszcze do Tow. „Trzeźwość“ do zapisywania się na członków. Następnie przemawiali: p. Mierzejewski Leon, który wzywał młodzież do zapisywania się na członków „Trzeźwości“, oraz p. Kryśko Konstanty, który wyraził radość w imieniu Abstynenckiej Ligi Kolejowców z powodu rozwoju pokrewnej organizacji. Starał się przytem udowodnić potrzebę powiększenia w Radomiu Koła i wezwał gorąco zebranych do licznego zapełnienia szeregów Tow. „Trzeźwość“. Po dyskusji zapisało się 34 osoby na członków Tow. „Trzeźwość“ oprócz już należących do tego Tow.

Wyłoniony został następnie nowy Zarząd Koła i Komisja Rewizyjna. Jednogłośnie zostali wybrani do Zarządu Koła p.p.: Prezes Koła — dr. Juljusz Vorbrodt, viceprezes — Konstanty Kryśko, sekretarz — Leon Mierzejewski, skarbnik — Stanisław Przytocki, członkowie Zarządu: Franciszek Cybulski, ks. Jan Oracz, ks. Bolesław Strzelecki i Wojciech Wietrzyński. Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali p.p.: Stefanja Mierzejewska, Antoni Swigoń i Piotr Oździński. Na zastępców członków Komisji Rewizyjnej, wybrano p.p.: Klemensa Lichosika, Wincentego Sinkiewicza i Józefa Wesołowskiego.

ALKOHOL I WIEŚ. W Warszawie w dniach 31.I. — 2.II. b. r. odbyła się w Państwowej Szkole Higjeny, zwołana przez Instytut Spraw Społecznych, Konferencja, poświęcona opiece lekarskiej na wsi. W Konferencji, otwartej dłuższem przemówieniem p. Ministra Opieki Społecznej, Marjana Zyndram-Kościałkowskiego, wzięli udział liczni przedstawiciele władz, oraz instytucyj i organizacyj społecznych. Wygło-



Kurs Alkohologji w Krakowie (w audytorjum Kopernika) 5—18.IV. 1937.

szono szereg referatów. Szczególną uwagę poświęcono sprawie walki z gruźlicą, jaglicą i chorobami wenerycznemi i sprawie ośrodków zdrowia na wsi.

W oficjalnej części programu obrad pominięto zupełnie zagadnienie alkoholizmu i walki z nim, mimo, że na wsi sprawa ta posiada ogromne znaczenie, zwłaszcza w dziedzinie zdrowotnej, nie mówiąc już o innych, jak: moralnej, ekonomicznej i t. d., łączących się ściśle ze zdrowiem publicznem. W Konferencji w im. Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość“ wziął udział p. red. Jan Szymański, który dwukrotnie przemawiał, wskazując na niezbędność zwrócenia pilnej uwagi na sprawę alkoholizmu, jako wielkiej klęski społecznej na wsi; w związku z czem podniósł konieczność wprowadzenia obowiązkowego nauczania alkohologji w szkołach powszechnych, oraz ponownego nadania gminom prawa uchwalania na terenie swoim zakazu miejscowego. Konferencja odniosła się bardzo przychylnie do powyższych wniosków. Do sprawy tej powrócimy jeszcze.

„SĄD“, WIERSZ P. STANISŁAWA BIERNACKIEGO, drukowany w Nr. 1—4 „Trzeźwości“ z r. 1936 cieszy się dużem powodzeniem wśród abstynentów i był już wielokrotnie deklamowany na rozmaitych zebraniach, akademjach i wieczornicach. Ostatnio otrzymaliśmy wiadomość, że w Radomiu był on odczytany w przepełnionej sali Kolejowego Przysposobienia Wojskowego przez jednego z członków Abstynenckiej Ligi Kolejowców i „wywarł na słuchaczach wstrząsające wrażenie“, w związku z czem Prezes Kol. Przysp. Wojsk. „kazał wydrukować ten wiersz i rozesłać do wszystkich ognisk K. P. W. z zaleceniem odczytania podczas większych zebrań“.

TRZYDZIESTOLECIE ZWIĄZKU KSIĘŻY ABSTYNENTÓW WE LWOWIE.

Księża Abstynenci archidiecezji lwowskiej w roku bieżącym obchodzą trzydziestolecie swego istnienia, albowiem związek ten powstał we Lwowie dnia 8 lutego 1907 r. na zjeździe księży katechetów b. Galicji z inicjatywy ks. Wojciecha Bieli z diecezji przemyskiej.

Od swego powstania aż do zmartwychwstania państwa polskiego związek ten obejmował wszystkich księży z b. zaboru austrjackiego, przeważali w nim jednak księża z diecezyj lwowskiej i przemyskiej, gdyż w nich jedynie istniały lokalne organizacje Księży Abstynentów. W diecezji krakowskiej i tarnowskiej istnieli już wte-



Prezydjum Akademji Trzeźwości dn. 21.II. 37, od lewej: ks. Rekt. Dr. Wł. Padacz, b. sen. Al. Iżycki, Doc. Dr. G. Szulc — Dyr. P. Z. H., Dr. K. Mitkiewicz, Dyr. Grz. Chomicki, Dr. J. Babecki — Wicedyrektor Depart. Sł. Zdr. M. O. S. Przewodniczący Akademji, radca W. Woytowicz-Grabińska, K. Kryśko—czł. Zarz. Gł. A. L. K., inż. J. Szadziewicz—Wiceprezes Zarz. Gł. A. L. K., red. J. Szymański, przemawia: b. Minister i Senator T. Nocznicki.



Uroczystość otwarcia Wystawy Tow. „Trzeźwość" — wstęgę przecina p. Wicedyrektor Departamentu Służby Zdrowia, Min. O. Sp., Dr. Jerzy Babecki (5.II. 1937).



P. red. Jan Szymański udziela objaśnień tablic statystycznych na wystawie Tow. „Trzeźwość".

dy i dotąd istnieją Księża Abstynenci, ale nie byli oni i nie są dotąd zorganizowani w Koła diecezjalne.

Zarząd związku stanowili przeto księża z diecezji lwowskiej i przemyskiej — pierwszym prezesem związku był ks. Józef Makłowicz od r. 1907—1909, a po przeniesieniu się jego ze Lwowa do Kołomyi prezesem został ks. Józef Janiszewski, proboszcz w Hliboce na Bukowinie, i piastował godnie ten urząd aż do swego powrotu do Wielkopolski w r. 1915, kiedy to w uznaniu jego zasług dla Związku walne zebranie mianowało go członkiem honorowym. Odtąd t. j. od r. 1913 prezesem związku jest wciąż ks. Jan Ciemniewski, obecnie emerytowany katecheta gimnazjum VIII we Lwowie.

Przez pierwsze dziesięć lat istnienia Związku przesunęło się przez niego 110 księży, przy czem z archid. lwowskiej było 55 księży, z diecezji przemyskiej — 45, z diecezji tarnowskiej 4, a 6 z diecezji krakowskiej. W czasie tym Związek otrzymał medal złoty na wystawie podczas X-go zjazdu lekarzy i przyrodników we Lwowie w r. 1907 za swe grafikony i tablice statystyczne.

W r. 1912 Związek współdziałał w zorganizowaniu we Lwowie kongresu przeciwalkoholowego, który cieszył się dużą frekwencją i stanowił wielki krok naprzód w kierunku spopularyzowania walki z alkoholizmem wśród duchowieństwa i nauczycielstwa. W r. 1919 na kursie katechetycznym w Krakowie nowo wybrany prezes związku wygłosił referat o zwalczaniu alkoholizmu wśród młodzieży.

W r. 1917 z okazji swego istnienia Związek wydał zbiorową pracę, w której obok sprawozdania z działalności stowarzyszenia przez ks. Zygmunta Hałuniewicza znajdują się cenne prace naukowe ks. kan. Ignacego Chwiruta, ks. Wojciecha Stachyraka i ks. Franciszka Błotnickiego o rozwoju alkoholizmu w b. Galicji. W dwa lata potem — już w wyzwolonej stolicy kraju — w r. 1919 na pierwszym zjeździe przeciwalkoholowym z całej Polski prezes Związku wygłosił referat: „Alkoholizm, a moralność", a w trzy lata potem, w r. 1922 na Kongresie przeciwalkoholowym w Poznaniu miał odczyt na temat „Alkoholizm, a religja".

W r. 1925 odbył się we Lwowie ostatni zjazd Księży Abstynentów z Małopolski, albowiem już od r. 1922 zaczęły się organizować lokalne związki Księży Abstynentów w poszczególnych diecezjach, z których powstał w końcu „Polski Związek Księży Abstynentów" z siedzibą w Poznaniu. Na zjeździe tym we Lwowie ks. dr. Gerard Szmyd mówił o ruchu abstynenckim w harcerstwie i wykazał konieczność abstynencji wśród duchowieństwa przez wzgląd na nasze harcerstwo, które wymaga osobnych kapelanów-abstynentów. W r. następnym odbyło się jeszcze we Lwowie wspólne posiedzenie oddziału lwowskiego i przemyskiego dla wysłuchania referatu przybyłego z Poznania generalnego Sekretarza Związku ks. T. Gałdyńskiego o ruchu abstynenckim zagranicą, ale księża z diecezji przemyskiej obradowali już oddzielnie pod przewodnictwem swego prezesa, ks. Antoniego Cząstki.

Obecnie prawie we wszystkich diecezjach istnieją związki Księży Abstynentów, a wśród nich archidiecezja lwowska stoi na czele pod względem liczby członków, bo Koło lwowskie liczy obecnie 55 księży abstynentów. Z działalności tego Koła na szczególną uwagę zasługuje Liga Przeciwalkoholowa, założona przez księży lwowskich w r. 1928 i ciesząca się poparciem rady miejskiej. Dzięki znacznej subwencji ze strony zarządu miasta w latach 1928, 29 i 30 Liga zorganizowała cały szereg wydawnictw i broszur przeciwalkoholowych, oraz 120 serji grafikonów i wykresów, które rozeszły się po całym kraju i spopularyzowały ideę abstynencką wśród szerokich mas.

Liga przeciwalkoholowa znajduje się w ścisłym kontakcie z towarzystwem higjenicznem we Lwowie, które zajmuje się również walką z alkoholizmem, to też gdy towarzystwo higjeniczne przystąpiło w roku ubiegłym do stworzenia Muzeum higjenicznego, powierzyło Lidze zorganizowanie działu przeciwalkoholowego, oczywiście pod kierunkiem prezesa towarzystwa, prof. dra Witolda Nowickiego.



Akademja Trzeźwości w Warszawie dn. 21.II. 1937 w wielkiej sali Tow. Higjenicznego.

Muzeum, to prawdziwa ozdoba i chluba miasta Lwowa, mieści się przy ul. Bourlarda i obejmuje kilkanaście sal z cennymi, artystycznie wykonanymi pokazami.

Sądzimy, że Związek Księży Abstynentów przez zorganizowanie Ligi Przeciwalkoholowej, a następnie przez ufundowanie w Muzeum higjenicznem oddzielnego działu przeciwalkoholowego, który zwiedzać będą tysiączne rzesze młodzieży i obywateli całego kraju, przyczynił się walnie do rozbudzenia ruchu abstynenckiego w Polsce, to też w dniu swego trzydziestolecia — d. 8. lutego 1937 roku — z pokorą ale i z ufnością zarazem — członkowie Związku złożyli Bogu dziękczynienie za to, że pozwolił im w ten sposób przyczynić się do odrodzenia Ojczyzny.

Lwów *Ks. Dr. Jan Ciemniewski.*

OD REDAKCJI.

Brak miejsca, a wskutek tego niemożność korzystania w całej pełni z posiadanego materjału stanowi stałą troskę naszą; stąd pochodzi, że szereg artykułów i utworów literackich oddawna czeka na druk. Stąd też pochodzi w tym numerze konieczność podania w dziale kroniki tylko krótkich wiadomości o kursach alkohologji w Krakowie, Wilnie i Święcianach. — Obszerniej je omówimy w następnym numerze „Trzeźwości", który poświęcimy *w większej części sprawozdaniom z akcji przeciwalkoholowej w Kraju i w Stolicy.* Przepraszamy bardzo naszych Szanownych Korespondentów, że tak długo muszą czekać na druk ich sprawozdań, ale to jest wynikiem dylematu, co umieścić przy nadmiarze materjału? Jeżeli tak publicznie spowiadamy się ze swoich niedomagań, braków i kłopotów — to czynimy tak z dwu przyczyn: konieczności usprawiedliwienia się i skierowania do wszystkich przyjaciół pisma apelu, aby je popierali i propagowali, zyskując dlań nowych prenumeratorów; im większa będzie ich liczba, tem więcej będziemy mogli rozszerzać ramy „Trzeźwości", nie dopuszczając w ten sposób do wytwarzania się przykrych zaległości. — Pracując z nakładem wszystkich swych sił — pozwalamy sobie mniemać, że pismo nasze zasługuje na tego rodzaju formę uznania.

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 35 zł., ⅛ str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto pocztowe P. K. O. Nr. 270.
REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 843-04, godz. 18—19.
ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Oboźna 4 m. 28, telef. 511-07.

DRUK UKOŃCZONO DN. 1.V. 1937 R.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, SP. Z O. O., SENATORSKA 17. TEL. 251-58.